

63

ISSN 2449-5328

GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI
Towarzystwa Galeria Literacka

lipiec – wrzesień 2022



lgl

poezja • proza • szkice • recenzje • eseje • felietony • humoreski • fraszki • satyra



Wojciech Kotsut, „Srebrne marzenia”, technika własna

SŁOWO OD REDAKCJI

Bogdan Knop, Barbara Strzelbicka, *Zrządzenia losu* 3

WYDARZENIA

Kalendarium: lipiec-wrzesień 2022 r. 4

Barbara Strzelbicka, *Piano i forte* 6

LAURÓW WIENIEC

Barbara Strzelbicka, *Częstochowa nagradza* 8

POEZJA

Janusz Strojec, *Stygmaty XXI-XXX* 9

Wiesława Owczarek, *Pory roku. Jesień* 12

Tadeusz Wrona, *Trzy wiersze* 15

Małgorzata Franc, *Psalm – Na brzegu dnia* 16

Tadeusz Luterek, *Na kanikułę* 18

Ida Jadwiga Łubińska, *Matka natura* 20

Zbigniew Budek, *Z tomu „Rozproszenie”* 21

Anna Jędryka, *Koniec lata* 24

Zdzisław Opałko, *Jesienna piosenka o korzyściach* 27

Jacek Szczerbak, *małe kraiki, hikikomori* 28

WŚRÓD WIERSZY I POETÓW. DIARIUSZ CZĘSTOCHOWSKI

Arkadiusz Frania, *Blues w poezji Waldemara M. Gaińskiego* 29

PRZEKŁADY

Володимир Яворський-Волдмур, *Розмова з польським другом*

Wołodymyr Jaworski-Woldmur, *Rozmowa z polskim Przyjacielem*, przełożył

Bogdan Knop 36

Bogdan Knop, *Odpowiedź ukraińskiemu Przyjacielowi* 37

PROZA

Agnieszka Oknińska, *Wieżowiec* 39

NA SZTALUGACH

Wojciech Kołsut 58

Katarzyna Kołsut, *Jesteśmy w drodze* 61

CZĘSTOCHOWA Publikacja dofinansowana ze środków budżetu Gminy Miasta Częstochowy w ramach otwartego konkursu ofert na realizację w 2022 roku zadań publicznych z zakresu kultury i sztuki, dziedzictwa narodowego oraz upowszechniania kultury.

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

Olga A. Wiewióra, <i>Zapiski z czasu zarazy – o tomie wierszy „Małe nowe ciała”</i> Aleksandra Wiernego	63
Andrzej Piechocki, <i>Delacja z Krakowa</i>	71
Tomasz „Aztenty” Barański, <i>Na podbój stolicy naszego województwa</i>	74
Barbara Strzelbicka, <i>Balans dla równowagi. O książce-wywiadzie</i> Tadeusza Piersiaka z Jerzym Kędziórą	77

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K

Małgorzata Nowakowska-Karczewska, <i>Hipochondrycy i neurastenicy</i>	79
---	----

HISTORIA W GALERII

Jarosław Kapsa, <i>Pępek świata (opowieść w siedmiu odsłonach</i> <i>z dodatkiem Wielkiego Finału)</i>	87
---	----

WIDZIANE Z GALERII. Subiektywna kronika wypadków kulturalnych

Artur Gielezy, <i>Kulturalnie w Żarkach-Letnisku</i>	99
Barbara Strzelbicka, <i>Stuka i rzemiosło</i>	100
Barbara Strzelbicka, <i>Małe jest piękne</i>	102
Barbara Strzelbicka, <i>Para nie do pary</i>	103

NOTY O KSIĄŻKACH

Arkadiusz Frania, <i>Witryna i archiwum. Z kart poetyckiej Częstochowy</i>	105
<i>100 wierszy wolnych z Ukrainy w przekładzie Bohdana Zadury</i>	105
Serhij Żadan, <i>Historia kultury początku stulecia i inne wiersze,</i> przełożył Bohdan Zadura	105
<i>Historia i los. Szkice o twórczości Władysława Lecha Terleckiego</i>	106
<i>Szkicownik. O pisarzach lubelskich</i> , red. Z.W. Fronczek	106
Zbigniew Budek, <i>Rozproszenie</i>	106

ZAPISKI GALERJANA

Jan Ciesielski, <i>Dialog o stanie</i>	107
--	-----

NOTY O AUTORACH

Zbigniew Budek	23
Wojciech Kołsut	59

ZRZĄDZENIA LOSU

W jednym z poprzednich wstępniaków pisałem o związaniu się moim, a poniekąd i Towarzystwa, z Ukrainą i książkami ukraińskimi. Można nazwać zrządzeniem losu to, co się wydarzyło, choć wydarzyć się nie musiało. A skoro się wydarzyło, to i lawinę wywołało kolejnych losu zrzążeń. Współpraca z Bohdanem Zadurą i wydanie tomu poezji Wasyla Słapczuka, a potem eposu Wołodymyra Jaworskiego-Woldmura zaowocowały wydaniem przez Towarzystwo Galeria Literacka kolejnych jego przekładów autorów ukraińskich. W pierwszej kolejności *Wierszy jerozolimskich oraz 16 innych wierszy* Wasyla Machny, autora o znakomitym piórze, a znaczeniu na gruncie ukraińskim niekwestionowanym. Książka będzie miała premierę w listopadzie podczas festiwalu „Poezja jest najważniejsza” organizowanego przez Urząd Miasta Częstochowy. Jeden z dni festiwalowych Wydział Kultury oddał naszemu Towarzystwu, a my poświęcimy go miejscu i przestrzeni – rozważaniom o sztuce przekładu, o kontekstach pamięci i doświadczeniach granicznych. Bohaterami spotkania będą Wasyl Machno, Bohdan Zadura i Olga Wiewióra, a prowadzącymi Barbara Strzelbicka i Bogdan Knop. Już dziś zapowiadamy te ważne dla nas zdarzenia; szczegóły i program pojawią się niebawem na naszej stronie i na portalach miejskich.

To plany na najbliższą przyszłość, a za nami lato bogate w wydarzenia. O kulturalnych, mających miejsce w Częstochowie, staraliśmy się napisać; te o szerszym zasięgu również znalazły odbicie w „Galerii” 63. Ogromnie nas cieszy wykorzystanie przez miejskie instytucje kultury specyfiki Częstochowy jako atutu, czego przykładem jest promocja muzyki ze zbiorów jasno-górskich czy też dokumentowanie historii Fabryki Wyrobów Ceramicznych „Czyn”, gdzie powstawały artystyczne dewocjonalia.

Prezentowana twórczość jest silnie związana z aktualną rzeczywistością. W wierszach różniące się perspektywą głosu kilku pokoleń. Wiele w nich wspomnień – letnich oraz sięgających dalej, wywołanych wydarzeniami. Są obawy o przyszłość – w tym także całego pokolenia. W przekładach dialog ukraińsko-polski. W recenzjach przewaga na korzyść częstochowskiej liryki (o poezji Aleksandra Wiernego i Waldemara M. Gaińskiego). Prozę reprezentuje jedno opowiadanie, które można interpretować jako opowieść o dorastaniu. Sprawozdania z wydarzeń kulturalnych uzupełniają relacje z wakacyjnych wyjazdów. Obawy o zdrowie usprawiedliwia przegląd tekstów literackich o hipochondrykach i neurastenicach. Na zakończenie homeopatyczna dawka absurdu.

A wszystko to w oprawie prac artysty częstochowskiego Wojciecha Kołsuta, którego sylwetkę przedstawiamy dzięki zaangażowaniu żony Katarzyny i Jacka M. Krasuckiego.

Zrządzenia losu można przyjąć lub buntować się przeciw nim. Człowiek myślący decyzję poprzedza momentem zawahania, o którym mówił podczas gali Nagrody Literackiej „Nike” Przemysław Czapliński, laudację rozpoczynając od cytatu z wiersza Zbigniewa Herberta: „Najpiękniejsza jest Nike w momencie / kiedy się waha”. Przypomnijmy, że Nike to grecka bogini zwycięstwa, siostra – co ciekawe – boga siły i bogini przemocy. Poeta widzi piękno w tym, że wahając się, podlega wzruszeniu. My, „częstochowiaczy” – takiej formy używa Jarosław Kapsa w odcinku pisanej z pasją historii miasta – mamy swój sposób na to piękne wahanie: możemy go doświadczyć w kontakcie z rzeźbami balansującymi Jerzego Kędziory, w „Galerii” 63 występującego w roli bohatera książki Tadeusza Piersiaka.

Nie bójmy się więc momentów zawahania – one pomagają uporać się ze zrządzeniami losu.

BOGDAN KNOP, BARBARA STRZELBICKA

KALENDARIUM lipiec-wrzesień 2022



LIPIEC

- 1.07. – I. Festiwal im. Piotra Machalicy;
- 1.07. – prelekcja dr Katarzyny Sucharkiewicz „Odrzucić kicz i tandetę – w stronę artystycznych dewocjonaliów” – Muzeum Częstochowskie, Galeria Dobrej Sztuki;
- 2.07. – wernisaże wystaw Emilii Dudziec „Ranka na dłoni” i Aleksandra Szumlasa „Światy bezpodstawne” – OPK „Gaude Mater”;
- 2.07. – zmarł Peter Brook, reżyser;
- 6.07. – zmarła Krystyna Królówna, aktorka;
- 7.07. – zmarł Tadeusz Maciej Porębski, rzeźbiarz;
- 8.07. – wernisaż wystawy „Wdech.pauza.wydech” – Sętowski/Gawron Galeria Sztuki Współczesnej;
- 8.07. – wernisaż wystawy rysunku satyrycznego Dariusza Dąbrowskiego „Wojna i Pokój” – Galeria 4 Arte;
- 9.07. – premiera spektaklu „Apokalipsa covidowa” – Scena Muzyczno-Teatralna „Zygmunt”;
- 15.07. – spektakl „Homo sovieticus” Teatru Wojciecha Kowalskiego – Galeria 4 Arte;
- 17.07. – koncert Duch Delta – Scena Lokalna na Starym Rynku;
- 21.07. – premiera „Galerii” 62 – ogród Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej;

- 22.07. – Arek Skolik Jazz Night vol.2 – Galeria 4 Arte;
- 22.07. – koncert rapera Miksera – AVE PLAZA;
- 28.07. – Turniej Jednego Wiersza – Klubokawiarnia Bank;
- 30.07. – laureatem Nagrody im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego „Orfeusz” za najlepszy tom poetycki roku 2021 został Zbigniew Machaj za tom 2020, Orfeusza Mazurskiego odebrał Michał Fałtynowicz za tomik *Traktat barbarzyńcy*;
- 30.07. – wernisaż wystawy „Białoszewski narysowany” Antoniny Janus-Szybist – OPK „Gaude Mater”;
- 31.07-21.08. – VIII Festiwal Muzyki Organowej i Kameralnej „Sola Musica” – kościół ewangelicko-augsburski.

SIERPIEŃ

- 1.08. – zmarła Teresa Ferenc, poetka;
- 8.08. – zmarła Zofia Posmysz, pisarka i scenarzystka;
- 9.08. – zmarła Olivia Newton-John, aktorka;
- 11.08. – Retro w podwórku – koncert Krzysztofa Niedźwieckiego, Przemka Pacana i Marcina Adamusa – Biblioteka Publiczna;
- 11.08. – zmarł Jean-Jacques Sempé, rysownik;
- 12.08. – zmarła Natalia LL (Lach-Lachowicz), artystka wizualna;
- 12.08. – Salon Poezji – Zbigniew Budek – Kawiarnia Alternatywa 21;
- 14.08. – zmarł Stefan Gierowski, malarz;
- 19.08. – „Sztuka za szkłem” – wernisaż wystawy REDI.BO – Galeria4Arte;
- 19.08. – zmarł Alojzy Oborny, muzealnik;
- 22.08. – zmarł Piotr Szkudelski, perkusista zespołu „Perfect”;
- 24.08. – Dzień Ukraiński w Częstochowie – Stary Rynek;

- 24.08.** – Lwowska grafika przeciw wojnie. Wernisaż wystawy i koncert Ludmyły Kosteretskiej z okazji Dnia Niepodległości Ukrainy – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 25.08.** – Turniej Jednego Wiersza – Klubokawiarnia Bank;
- 26-28.08.** – 30. Dni Częstochowy;
- 27.08.** – zmarł Tadeusz Ferenc, wieloletni prezydent Rzeszowa;
- 30.08.** – zmarł Michaił Gorbaczow, polityk.

WRZESIEŃ

- 3-7.09.** – Festiwal Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!”;
- 4.09.** – zmarł Edward Hulewicz, piosenkarz;
- 6.09.** – zmarł Kazimierz Mazur, aktor;
- 7.09.** – zmarł Adam Florczyk, animator kultury, współtwórca Festiwalu Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!”;
- 8.09.** – zmarła Królowa Anglii Elżbieta II;
- 9-14.09.** – 31. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”;
- 10.09.** – Iga Świątek została mistrzynią US Open;
- 11.09.** – zmarł Javier Marías, pisarz hiszpański;
- 13.09.** – zmarł Jean-Luc Godard, francuski reżyser, scenarzysta i krytyk filmowy;
- 16.09.** – finisaż wystawy „CZYNIĄC PIĘKNO” – Muzeum Częstochowskie, Galeria Dobrej Sztuki;
- 16.09.** – wernisaż wystawy fotografii Joanny Sidorowicz „Getto częstochowskie – pamięć i przestroga. 80. rocznica likwidacji getta” – Galeria 4Arte;

- 16-18.09.** – Juromania;
- 17.09.** – finał 47. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych – Złote Lwy otrzymał film Agnieszki Smoczyńskiej „The Silent Twins”;
- 19.09.** – pogrzeb Królowej Elżbiety II;
- 19.09.** – zmarła Ilona Kuśmierska, aktorka;
- 21.09.** – promocja książki Tadeusza Piersiaka *Po drodze na igrce Częstocha. Przyczynek do biografii Jerzego Jotki Kędziorzy* oraz spotkanie z artystą – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 21.09.** – zmarł Mieczysław Hrehorów, działacz sportowy, nestor AZS;
- 21.09.** – zmarł Tomasz Wołek, dziennikarz;
- 22.09.** – wernisaż wystawy *street artu* „Chmura” – Miejska Galeria Sztuki;
- 24.09.** – wernisaż pokonkursowej wystawy 12. Międzynarodowego Biennale Miniatury – OPK „Gaude Mater”;
- 24.09.** – obchody 160-lecia IV LO im. Henryka Sienkiewicza;
- 27.09.** – wernisaż wystawy Grupy Artystycznej Werniks „Podróż poza horyzont świadomości” – ROK;
- 29.09.** – Turniej Jednego Wiersza – Klubokawiarnia Bank;
- 29.09.** – spotkanie autorskie z Przemkiem Corso – OPK „Gaude Mater”;
- 29.09-2.10.** – „Trzy muzyczne oblicza wiary” – cykl koncertów Chóru Filharmonii Częstochowskiej Collegium Cantorum.

BARBARA STRZELBICKA

Z wielkim bólem przyjęliśmy wiadomość o śmierci nieodżałowanej pamięci **Adama Florczyka**, animatora życia kulturalnego Częstochowy, wielbiciela literatury, współtwórcy Festiwalu Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!”, redaktora miesięcznika „Co? Gdzie? Kiedy?” i portalu cgk.czestochowa.pl, który zmarł nagle podczas wypełniania swoich obowiązków. Rodzinie i wszystkim, których dotknęła ta strata, składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Zespół redakcyjny Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria”
Zarząd i członkowie Towarzystwa Galeria Literacka

Barbara Strzelbicka

PIANO | FORTE



Foto Lukasz Kolewiński

HASŁEM PRZYŚWIECAJĄCYM 31. EDYCJI MIĘDZYNARODOWEGO FESTIWALU Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” był werset 31 Psalmu 69: „Pieśnią chcę chwalić imię Boga i dziękczynieniem Go wysławiać”. Zgodnie z nim w dniach od 9 do 14 września b.r. zaprezentowana została muzyka sprzyjająca modlitwie, a właściwie modlitwą będąca.

Charakter tegorocznej edycji nadała muzyka ze zbiorów jasnogórskich, ale też w organizacji festiwalu w większym stopniu włączyły się organizacje z Jasną Górą związane. Zapewne zawdzięczać to należy o. Nikodemowi Kilnarowi, którego zasługi dla zbiorów muzykaliów jasnogórskich nie sposób przecenić, a który w tym roku oficjalnie wystąpił w roli konsultanta muzykologicznego. Grono współorganizatorów także zostało poszerzone o Zespół Naukowo-Redakcyjny Jasnogórskich Muzykaliów, Stowarzyszenie Jasnogórska Szkoła Chóralna, Jasnogórska Szkoła Muzyczna I i II stopnia oraz o Klasztor SS. Bernardynek w Wieluniu, gdzie miała miejsce inauguracja liturgiczna, dotąd bez wyjątku odbywająca się w Bazylice Jasnogórskiej.

Otwarcia Festiwalu dokonał ks. bp Andrzej Przybylski. W rolę konferansjera wcielił się – także podczas koncertu finałowego – aktor Marian Florek. Ze strony Urzędu Miasta Częstochowy obecny na inauguracji był Aleksander Wierny, naczelnik Wydziału Kultury.

Krótkie wystąpienie miał Robert Jasiak, dyrektor OPK „Gaude Mater”, organizator Festiwalu, który wspomniął o nagłej śmierci Adama Florczyka, animatora kultury, współtwórcy Festiwalu Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!” i przyjaciela OPK „Gaude Mater”.

Koncert inauguracyjny został połączony z 15-leciem Stowarzyszenia Jasnogórska Szkoła Chóralna, a wykonane zostało „Completerium” (łac. ostatnia modlitwa liturgii godzin) ze zbiorów jasnogórskich, które skomponował żyjący w latach 1705-1760 paulin O. Eryk Briker. Wystąpili: Schola Gregoriańska, Chór i Orkiestra Jasnogórskiej Szkoły Muzycznej I i II stopnia w Częstochowie pod dyrekcją Jolanty Muratów i Joanny Klajnowskiej-Pełki, organista Hubert Prochota – muzykolog, dyrygent i pedagog oraz soliści: Marta Sołtys (sopran), Jacek Pacholski (bas).

Inauguracja liturgiczna Festiwalu dokonała się podczas mszy św. sprawowanej przez o. Nikodema Kilnara w kościele SS. Bernardynek pw. św. Mikołaja w Wieluniu. Homilię wygłosił ks. prof. Grzegorz Poźniak, dyrektor Instytutu Muzyki Kościelnej Diecezji Opolskiej, zaś oprawę muzyczną stanowił koncert organowy, wykonany na odnowionych i świeżo poświęconych organach Roman Hyla, który wśród wielu kompozycji wykonał także własną.

W kolejnych dwóch dniach na repertuar muzyczny składał się chorał gregoriański. Wystąpiły: żeńska Schola Gregoriana Flores Rosarum i męska Schola Gregoriana Sancti Joannis Pauli II, prowadzone przez urodzoną we Włoszech i od wielu lat mieszkającą w Polsce s. Susi Ferfoglię, znakomicie i wszechstronnie wykształconą organistkę, gregorianistkę i wykładowczynię, profesora Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, zafascynowaną postacią Hildegardy z Bingen. Ta średniowieczna mniszka, filozofka i kompozytorka, której utwory znalazły się w repertuarze koncertu, uważała, że śpiew podczas liturgii jest równie ważny jak modlitwa. Wierzyła, że dzieło artysty jest przekazem Boskim, bo od Boga pochodzi natchnienie. Jako ciekawostkę dodajmy, że według skrzypka i kompozytora Adama Bałdycha muzyka Hildegardy jest tak naprawdę muzyką... jazzową. Żeńskiemu śpiewowi towarzyszyły historyczne instrumenty: wirginał (odmiana klawesynu), portatyw (małe, przenośne organy piszczałkowe) i lira korbowa. W wykonaniu scholi męskiej usłyszeliśmy prawykonanie paulińskiego chorału gregoriańskiego ze średniowiecznych zbiorów jasnogórskich „Officium in Assumptionae Sanctae Mariae” (Oficjum o Matce Bożej Wniebowziętej).

Na zakończenie zabrzmiała muzyka Feliksa Nowowiejskiego, kompozytora istotnie związanego z Jasną Górą, w wykonaniu Jerzego Kukli, autora transkrypcji na organy, któremu w poemacie symfonicznym „Elenai” towarzyszyli Małgorzata Orłowska (recytacje) i Jacek Sribniak na klarncie. Kontrastowo monumentalna wobec kontemplacyjnego chorału gregoriańskiego muzyka organowa stanowiła mocny akcent 31. odsłony Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”, coraz silniej związanego z Częstochową – dzięki nieprzebranym, jak się wydaje, jasnogórskim muzykantom.

Po finałowym koncercie miała miejsce skromna uroczystość: podsumowując Festiwal Wiceprezydent Miasta Częstochowy Ryszard Stefaniak i Dyrektor OPK „Gaude Mater” w dowód wdzięczności i uznania wręczyli o. Nikodemowi Kilnarowi pamiątkowy grawerton.

Obraz tego, jak obecnie wygląda organizacja Festiwalu, ukazuje fotografia Łukasza Kolewińskiego, na stronie OPK „Gaude Mater” jako ostatnia dokumentująca wydarzenie. Na tle ołtarza Bazyliki Jasnogórskiej stoją: Robert Jasiak, Agnieszka Gepchard, Robert Sękiewicz, Mariola Florek, Marian Florek i o. Nikodem Kilnar. To organizatorzy Festiwalu, którym nisko się kłaniamy, dziękując za pracę i zaangażowanie.

Barbara Strzelbicka

CZĘSTOCHOWA NAGRADZA

JUBILEUSZOWA 30. EDYCJA DNI CZĘSTOCHOWY zakończyła się 28 sierpnia galą w Filharmonii Częstochowskiej, podczas której osoby i organizacje zasłużone dla miasta zostały uhonorowane nagrodami i wyróżnieniami. Najstarsze z nich – Nagroda Miasta Częstochowy w Dziedzinie Kultury, przyznawana od 1991 r. oraz wyróżnienie Mecenas Kultury – zostały uzupełnione o takie, które odzwierciedlają kierunki rozwoju miasta.

Nagroda „kulturalna” przyznawana jest w pięciu kategoriach. Oto tegoroczni laureaci.

Literatura i historia: Łukasz Suskiewicz – prozaik mieszkający, pracujący i tworzący w Częstochowie, autor książek *Egri Bikaver*, *Zależności*, *Mikroelementy*. Swoją prozę publikował na łamach wielu czasopism oraz w antologiach współczesnych polskich opowiadań. W 2022 r. ukazał się zbiór jego opowiadań *Hotele*.

Teatr i film: Bartosz Kopeć – aktor Teatru im. Mickiewicza w Częstochowie od 2005 r. Ukończył IX LO im. Norwida, a następnie Wydział Aktorski Akademii Teatralnej w St. Petersburgu. Współpracował z wieloma polskimi teatrami, ma na koncie role w serialach i filmach. Prowadzi szkolenia i warsztaty teatralne.

Sztuki plastyczne i fotografia: Małgorzata Sępnia – malarka i animatorka życia artystycznego, mieszka i tworzy w Częstochowie. Współtworzy Galerię Konduktorownia, jest wiceprezesem Regionalnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie oraz pomysłodawczynią i kuratorką wszystkich dziesięciu edycji Ogólnopolskiej Wystawy Sztuki „OSIEMKOBIEC”. Jest laureatką Nagrody Ministra Kultury i Sztuki oraz stypendystką w (2002 r.) Prezydenta Miasta Częstochowy. Swoje prace wystawia i sprzedaje w kraju i za granicą.

Muzyka i taniec: Chór Filharmonii Częstochowskiej „Collegium Cantorum” pod dyrekcją Janusza Siadlaka. Zespół funkcjonuje w filharmonii Od 2012 r., ale jego historia jest znacznie dłuższa – powstał w 1987 r. Koncertuje w kraju i na całym świecie, zyskując uznanie muzycznej publiczności oraz jurorów festiwalu.

Upowszechnianie i ochrona dóbr kultury: Stowarzyszenie Komunikat, istniejące od roku 2013, ale już od 2011 r. zajmujące się organizacją Festiwalu Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!”. W tym czasie Festiwal systematycznie się rozwijał, stając się jedną z ważniejszych imprez kulturalnych naszego miasta, angażując w nią twórców i animatorów kultury zarówno lokalnych, jak i gości z całej Polski.

Tytułem **Mecenasa Kultury** został w tym roku uhonorowany Press Glass Holding.

Wszystkim laureatom składamy gratulacje i życzenia dalszej owocnej pracy ku pożytkowi naszego miasta i jego mieszkańców.

Janusz Strojec

STYGMATY XXI-XXX

XXI. Ten wiersz
jest jak nasz egoizm
ja mnie mój mego
lubimy patrzeć
i ronić łzy
wzruszamy się
oburzamy
gdy lecą rakiety bomby
pilnie śledzimy
czy jeszcze nie nas
w zamaskowanym dronie
zapuszczamy wyobraźnię
w metaforę dobroci
jest miasto
było miasto
jest człowiek
był człowiek
wyruszyła z Dnipra
zabrała cztery koty
rodzina pod gruzami
oglądam wojnę na plazmie
budzą się demony mej wyobraźni
drzę

XXII. Ten wiersz
jest jak refleksja
czarną robotę
wykonują biali niewolnicy
w świecie zauszników
szarych eminencji
i pisarzy – cieni
Bóg własnoręcznie
dnia ósmego kreśli Biblię
bez kleksów i skreśleń
ani pomocy drinka
czy jakiejś tam muzy
opieramy się o strefy cienia
między grobem
a kokluszem Dawida
transparentnie

XXIII. Ten wiersz
jest jak vice versa
wciąż szukamy świętego Graala
cyborium
w które Józef z Arymatei
zebrał krew Chrystusową
codzienne studiowanie
jak wielkie terrarium
w kolejnej stacji metra
gdzie grasują chuligani
wśród nich Blaise Pascal
w sporze z Bogiem
w gramatyce wywiedzionej z rozumu
niczym fundamenty wieży Babel
słodkiego parlowania

XXIV. Ten wiersz
jest jak pory roku
wydarte wszechświatu
zatrzymane leniwie na dyftongach
ja liryczne
usadziło swa przestrzeń
na wysokim stołku
bohater liryczny zapalił gaz
nalał mleka wsypał kasze cukier i
zaczął mieszać łyżką
po czym oglądał książkę z obrazkami
o życiu mrówek i pszczoł
mamy w sobie za wiele istnień
za mało życia
i za wiele pór roku
rdzewiejących w głowie

XXV. Ten wiersz
jest jak uśmiech Mona Lizy
w którego promieniach
ogrzewamy swoją próżność
to jak szarlotka pod jasnożółtą galaretką
jak się zdaje z gruszek
jak obrączka w pączku
na tłusty czwartek
czy słodkie wino
wniebowzięcia
kiedyś oparty o blat stołu
patrzyłem zazdrośnie
na robaka który mnie gryzie
bez prawa decydowania o sobie

XXVI. Ten wiersz
jest jak śmierć
śmierć to fizjologia
i nic więcej
błądzą spojrzeniem kreta
zapachem uwiędłych kwiatów
zimorodek zanurkował
w moją głowę
jest we mnie ból
Jemen Syria Etiopia Czeczenia Ukraina
zaklinam rzeczywistość
obok mnie ludzkie kulomioty
pozostawili swoje życie
błądzą z tobołkiem przeszłości
w obcej przestrzeni
w obcej teraźniejszości
odarci z marzeń bliskości rodziny
poszukują swojej tożsamości

XXVII. Ten wiersz
jest jak wspomnienie
kiedy zamykam oczy
widzę paradny dziedziniec
obsadzony platanami
zimą owijam szyję
czerwonym szalikiem
młodość rozplywa się
w powietrzu kiedy
szalona porzuca te mury
czas wysypany
nie białym żwirem
ale tłuczniem
w lejach w pożogach
w kaskadzie bombowców
uciekający mały chłopiec
z paszportem
na śmierć

XXVIII. Ten wiersz
jest jak próba opisanja
świata przez kurkumę
pieprz krajeński goździki
kminek ostropest
pieprz i paprykę
a tu tylko
zielona pietruszka
i król Jagiełło
z kufkami srebra i bursztynu
jakby mi z oczu chciał
wydziobać perłowość
miejskich gołębi
czy ostatni śnieg tej wiosny
w lazurowych wspomnieniach Francji
odwrócony w stronę D.11.
właśnie wyszła naprzeciw
jakaś kobieta
i patrzy mi w oczy
jakbym widział
kawałek świata

XXIX. Ten wiersz
jest jak spotkanie z Afryką
chłopak z Etiopii z cienką
jak żyletka dziewczyną
odłożył toast na cześć króla Nepalu
i jak większość Francuzów
podziwiał spektakl rozpętanych żywiołów
był częścią tropikalnej ulewy
kataraktą drążącą świętokradczy czas
między sklepieniami
szaleństw śmiertelnych
i życiodajnych pól lawendowych
w tęsknocie
za krajem ojców
przyklejony do smartfona

XXX. Ten wiersz
jest jak zaproszenie do Monaco
zabandażowanych ofiar
z przylepcem Indochiny
wśród nich para zbawicieli
z kraju Luksusu
wśród paradnych wulgarności
samozadowolenia
i próżności
w kostiumie wyrzeźbionym na ciele
Herkules ujarzmiający byka kreteńskiego
próbuję odnaleźć prawo natury
odmowa wymaga odwagi
akceptuje zgodę permanentną
świat próbuje budować
wspólną przyszłość
mimo wszystko

Wiesława Ovczarek PORY ROKU – JESIEŃ

BUKIET SUSZONYCH KWIATÓW

Kiedy tak stoisz w wazonie
cały w pastelu beżowo-różowym
w pełnej kruchości wciąż trwasz
nieprzerwanie,
nie, nie trzeba zagłuszać tej ciszy
i tak lekki powiew powietrza
skrzypi w twych martwych liściach
i dosyć tego bólu,
twojego żalu za latem
nie trzeba

róża jeszcze rumieńcem płonie
by dać odpór powszechnej obmowie,
że koniec już, że z końcem lata
tylko ten wazon, przetrwanie
i że nie wróci młodzieńcza werwa,
nie, nie trzeba zagłuszać tej ciszy
pastelu beżowo-różowy,
który w moim pokoju na stole
bez skargi mi towarzyszysz,
już dosyć twojego bólu
i twoich wspomnień o lecie
nie trzeba

DESZCZOWY ZMIERZCH

niech to będzie opowieść o mieście,
co niebieską bibułą wchłaniało wilgoć
zmierzchu, na chodnikach cicho
umierały liście, skręcając w agonii
zrudziałe powierzchnie

zamykało się miasto przemijaniem
perspektyw, cielska autobusów
przemykały stadami,
tak iść przez ciebie zapraszałaś
niezmiennie, mamiąc deszczem
w zaułkach, wymarłymi bramami

przemoknięte ulice cierpiały
leżąc krzyżem w schemacie miasta,
moje sam na sam z tobą
szło niespiesznie
nucąc kołysankę w opuszczonych gniazdach

W KAWIARNI

ta pani w wielkim kapeluszu
to podobno poetka. na poręczy krzesła
kołyszą się jej wiersze
i srebrzysta torebka

zagląda tutaj malarz, co maluje niebo
w obłoki albo w różnobarwną tęczę.
właśnie wypił kawę i wyszedł,
zostawił na stoliku swoje serce

za firanką Jesień z czarnym parasolem
waha się, czy wstąpić na kawę i wino.
cicho szumi ekspres. po tęczowym niebie
wysrebrzone wiersze powolutku płyną

LISTOPAD

Furtka się skarży rdzawo, jękliwie,
że wiatr ją przestraszył, że zmokła.
W powietrzu szaro i szare chmury
na niebie, w kałużach i w oknach

Ogród jest nagi i zawstydzony
przykrywa ziemię ostatnim liściem.
Wszystko mu wzięto, tylko przysłano
spóźnioną stokrotkę na szczęście

Kocur przybłąda, zmoknięty i zły
tkwi w listopadzie rudym akcentem,
i mrużąc oczy zielone jak mchy
przeklina jesień w swym kocim lamencie

Zmęczona trawa, wieczna jak życie
do snu się kładzie zmierzwioną kołdrą.
Nie marudź, kocie, bo jeszcze będzie
dla nas błękitnie, słonecznie, zielono

JESIENNE RÓZE

Róże jesienne
takie dzisiaj senne,
poprzez mgłę słońca wypatrują.
Gubią ostatnie listki,
myślą: – Więc to już po wszystkim?
I zazdroszczą zielonym tujom

ASTRY

Astry się dzisiaj nie cesały
i takie potargane stoją dzień cały.
Wiatr im jesienią w grzywki dmucha
a one śmieją się kolorowo
od ucha do ucha



Wojciech Kołsut, „Kraina marzeń”, technika własna

Tadeusz Wrona

TRZY WIERSZE

Niebieski curling

Brzozowe miotełki
Zamiatają niebo
Drobnymi listkami
Zrodzonymi wczoraj

Czyszczą gładkie niebo
Żeby szybciej po nim
Przesuwał się obłok
Jaśniejący blaskiem

János

Do nieba muzyków
Odszedł właśnie János
Za rękę z dziewczyną
O perłowych włosach

Zawsze już będzie
Nucić tę melodię
Co tak dawno przecież
Pieściła Twe włosy

Młodości nasza
Na plantacji brzoskwiń
Gdzie ten śpiewny język
Pieśni niósł radosne

Coś w sercu zostało
Jak stara tradycja
Jak prawda przyjaźni
I mocny głos: TAK – IGEN

(Ju)rajska łąka

Tuż za domami za ruchliwą drogą
Wyrasta nagle świat baśni serdecznych
Gdzie okiem sięgnąć po wysokich trawach
Płynie letniego wiatru oddech ciepły

W osnowę traw wplecione kwiatuszki
Kołyszą w ciszy gamą kolorów
Słyszę w końcu ciszę i kolory
Widzę w końcu dźwięki i podmuchy

Rajska to łąka bo tylko w raju
Tyle motyli wlatuje i siada
Całuje kwiaty popija ich słodycz
Rozdając błyski skrzydeł rozkładanych

Tuż za domami za ruchliwą drogą
Wyrasta nagle świat baśni serdecznych
Gdzie okiem sięgnąć po wysokich trawach
Płynie letniego wiatru oddech ciepły

Olsztyn, 21.07.2022 r.

Małgorzata Franc PSALMY – Na brzegu dnia

*

Wypijmy do dna
ten kielich goryczy
co nam zamyka
spopielale usta
i martwa cisza
niech nagle
nie krzyczy
cichym wyzwaniem
oczodołów pustką.

Niech się otworzą
przymknięte powieki
uśpione kiedyś
nagłym pożegnaniem
i pamięć słów
Twych niechaj
w nas zostanie
jak powiew wiatru
tuż przed słońca wstaniem.

Nim zadrzą dzwony
poruszone ręką
co naszych przewin
tak łatwo nie liczy
na brzegu dnia
na krok przed
rozstaniem
wypijmy do dna
ten kielich goryczy.

**

Na brzegu dnia
każda chwila miła
z wielkim podziwem
znów otwieram oczy
i patrzę w niebo
na lekki lot motyla
gdy skrzydeł jego
piękno mnie zaskoczy.

Na brzegu dnia
spokojnie myśli płyną
obrazy mkną jakby
na kształt przeźroczy
za oknem brzask
leniwie mrużę oczy
oddalam się godzina
za godziną.

Na brzegu dnia
nowa nadzieja świta
na jutro które być może
nie przeminie
zaciskam dłonie
bezpiecznie jak na linie
uśmiecham się gdy
Ty jesteś przy mnie.

Chóry anielskie
pieśni śpiewają
na Twoją chwałę.

Święci swą mocą
góry przenoszą
na Twoją chwałę.

Ludzie w modlitwie
dłonie składają
na Twoją chwałę.

Zmarli z nadzieją
wiernie czekają
na Twoją chwałę.

Wybacz mi Boże
że nie umiem
modlić się głośno
a tylko myśl płynię
prosto do Ciebie
w cichej pokorze
Wybacz mi Boże...

Wybacz mi Boże
że ukrywam
twarz w dłoniach i
odwracam głowę
gdy łzy płyną
słone jak morze
Wybacz mi Boże...

Wybacz mi Boże
że nie spełniłam
wszystkiego i
wszystko w nic
zamieniłam
jak na ugorze.
Wybacz mi Boże...

„Świat to nie tylko to co widzimy”
słyszymy czasem
mądre słowa.

I często rano na powitanie
wracają do nas
wciąż i od nowa.

Gdzieś w dal
odchodzi wszelki
smutek i strach
już nie ma
wielkich oczu.

Bo jesteś Ty
wiosną i zimą
nawet gdy stoisz
na uboczu.

W krzyżu przy drodze
lub w kapliczce
odgadniesz nasze
myśli wszystkie.

I nie opuszczasz
nas w potrzebie
choć nie zawsze
jest jak w niebie.

6-7 września 2022 r.

Tadeusz Luterek NA KANIKUŁĘ

DOKĄD TO?

Nienasycenia lokomotywo szalona,
dziś z filozofią w podróży wagonach.

W pierwszym odległe mity i legendy,
ich niezliczone odrośla i pędy.

W drugim rozparta starożytna wiedza,
choć wie niejedno, to czas ją uprzeda.

W trzecim wygodny kąt dla średniowiecza,
niestroniącego od modłów i miecza.

W czwartym idealizmu nieporadne mrzonki,
co chcą zapuścić w ziemię snu korzonki.

W piątym płonące oświecenia znicze,
idee uczą wyjścia na ulice.

W szóstym materializmu niespełnione dzieci,
niepowstrzymane w pożądaniu rzeczy.

W siódmym współczesne mody oraz trendy,
im nie przeszkodzą zaciśnięte zęby.

Dalszych wagonów tu już nie wymienię,
choć zaślugałyby na wyliczenie.

Dokąd to zmierzasz, myśli parowozie,
iskro postępu, formo w zmiennej pozie?

Czy nie obmyślasz pięknej katastrofy,
którą opiszą nieśmiertelne strofy?

KTO PRAWDĘ POWIE...

Kto prawdę powie, dlaczego szalony
świat zasłuchany w bajki i androny,

dlatego pędzi na złamanie karku,
zamiast podziwiać zieleń w głębi parku,

z pewnością sięgnąć po rozum do głowy,
by podjąć wątek poważnej rozmowy

i dojść do wniosku, że mylne pojęcia
są jak choroby, co mnożą nieszczęścia,

on wie dzie jednak dziwną grę pozorów,
jakby był uczniem prestidigitatorów...

KONIEC. KROPKA.

Na koniec kropka stawia swe pieczęcie,
stwierdza: „to wszystko, nic więcej nie będzie”.

Sprawy rozstrzyga, co długo się toczą,
duchowo bliska zamykanym oczom.

Zdanie uwieńczy, słowa nie wypowie,
nikt bez jej zgody prawdy się nie dowie.

Głosem, symbolem natury się staje,
niedomówieniu przyzwolenie daje.

I akceptuje sądy ostateczne,
gdy mówi *amen*, zgłębia rzeczy wieczne.

NA KANIKUŁĘ

Bezsilnym, odsuniętym na boczne pozycje
albo przewrażliwionym na mowy uliczne

trudno o myśl, inwencję, przecieranie szlaków
czy też wznoszenie hasła „ratuj miasto Kraków”,

lepiej nawiedzić bliższe ciału okolice,
jurajskie Sokole Góry, Mirów, Bobolice,

gdzie czekają spokojne dla przybyszów strony,
ptaków gatunki, choćby wszędobylskie wrony,

by ciszę czule dotknąć i nią się zachłysnąć,
choć erudycją tutaj nie ma gdzie zabłysnąć,

może znajdziesz dla siebie niewielkie poletko,
pejzaż dla oczu, lekko szkicowany kredką,

a czas wyjaśni duszy zawile pytania
i znaki, które stale są do odczytania.



Wojciech Kołsut, „Jesienne rozlewiska”, technika własna

Ida Jadwiga Łubińska MATKA NATURA

Chwała matce naturze

Za zmienność krajobrazu
 O poranku, w jaskrawym świetle
 Z rosą pobieloną mgłą
 Otulającego cieniami
 Antracytu i kobaltu
 Drzewa krzewy i kwiaty
 Słońce zalotnie muska
 Ich grzbiety złotem i bielą
 Jarzębina lśni czerwienią koralu
 A różowe winogrona
 Pod uginającą się gałęzią
 Zachęcają do poczęstunku
 Wrzosa przypominają
 Że czas podumać o jesieni
 Trawa pod stopami
 Jak miękki dywan
 Pieści gołe stopy
 A orkiestra ptasich treli
 Wypełnia poruszaną wiatrem
 Przestrzeń mojego obrazu
 Chwilo, trwaj, oczarowuj
 A jutro za tydzień miesiąc rok
 Kolejny dzień zadziwi innością
 Harmonią i niespodzianką
 Chwalmy życie
 Chwalmy matkę naturę

Smutny kłoc

Była pięknym drzewem
 Rozłożystym, silnym
 Obok w alei radośnie
 Kłaniały się wiotkim gałązkami
 Szeleszcząc liśćmi
 Inne brzozy.
 Te dojrzałe, stateczne
 I smukłe, delikatne
 Młode brzożki.
 Teraz nie ma sąsiadek
 Ich fragmenty
 Z żałością wyprostowanymi
 Gołymi kadłubami
 Tak jak ona
 Chciałaby pocieszyć
 Powiedzieć żyję
 Jeszcze żyję
 Chcę żyć
 Wiatr pojękując
 Próbuje przekazać
 Inną opowieść.

Nuda

Jak mgła
 Pajęczna siatka
 Lepka
 Ciągliwa
 Monotonna
 Bez nastroju
 Uczucia
 Jak pustka
 Jak studnia
 Bez dna
 Bez pamięci
 Jak nuda
 Ziewam
 Za oknem krajobraz
 Bez kolorów
 Zamglony, niewyraźny

Zbigniew Budek

Z TOMU ROZPROSZENIE

wiersze poniewierają się po kątach

dookoła umywalka i stół
 a ty tak po prostu dla siebie
 rzucasz wierszami z kąta w kąt
 nikt nie odsłania okna
 nie odbiera suchego chleba
 – czerstwieje ciemno

tak po prostu

trzymam ręce w kieszeniach
 ołów w głowie przygniata
 nadzieja obok nie rozpoznaję
 rysów
 miłość
 nie goni
 ani nawet nie zaczepia

a ja szukam

obrazu przez dziurkę od klucza
 do przesady ciemny dla słów
 światło przeminęło w oku
 grzechem pięknym
 wyjdzie
 tak czy inaczej bokiem

gdy po latach jak w bajce
 przypominam sobie moje
 panięńskie nazwisko
 zdarza się – że nowego
 nie akceptują wspólne dzieci

tak naprawdę

J.W. Goethe:
*Kto mnie nie kocha,
 nie może mnie oceniać.*

w Rzymie każdy dom jest piękny
 tu się nikt nie męczy
 – nic nie umiera
 takie rzeczy należy przeżywać boso
 szukam kogoś kto wymyśli
 poza wszystkim
 piękniej o czymś pisać
 co już jest doskonałe w procesie
 wierzyć czy nie wierzyć w siebie

opisywanym teraz
 – a w międzyczasie i dzisiaj
 chcę być wspanialszy od
 wszystkich moich podmiotów lirycznych

o klaunie i wierszu

ej poeci poeci
 spójrzcie na klauna
 jak mu do kapelusika
 grosik po grosiku leci
 a wam co?
 na nos z papieru
 was nie stać
 od czasu do czasu
 atramentowa łezka
 wchodzicie z wiersza do wiersza
 w poszukiwaniu sensu
 na wiersz stulecia
 kłaniacie się wszystkim
 baśniom i bajkom
 zaklinaniem
 po każdej następnej bitwie
 częstochowskich rymów
 że w tym momencie
 będziesz królem
 tego jedyne wiersza
 i to już z początkiem
 nowego tysiąclecia
 ej poeci poeci

dialog

(upadek konwersacji)

To jest dom
 dom ma swój dach
 jego piorunochron ma już
 siedemdziesiąt kilka lat
 – (tyle co po wojnie) kamienica
 pamięta rodzinę poetów
 ich wiersze poprzyklejane na ścianach
 tu był sam Bóg z nimi
 a oni uciekli – wydawało im się
 że Boga nie ma
 przecięło się ich życie
 poskracali wersy
 zaniedbali interpunkcję
 nie chcą nic o sobie słyszeć
 – pokłócili się o dwa słowa
 które określały ich byt
 niepodległość i suwerenność
 w literackiej biedzie
 bez pomysłu na jutro
 omijali sztukę zadawania pytań
 i nawet gdy są już świadomi
 swoich win i grzechów
 nie znajdują odpowiedzi
 bez umiejętności
 doręczania pytań

oczekiwanie na proces

za wszystkie grzechy
po chrześcijańsku niewymienione winy
przewinienia i uproszczenia polskiego
gadania
w dramatycznym wierszu
łatwopalny język
od dawna nie wyjaśnia lingwistycznych
niuansów
przepoczwarza się z pomocą czterdziestu
kilku procent

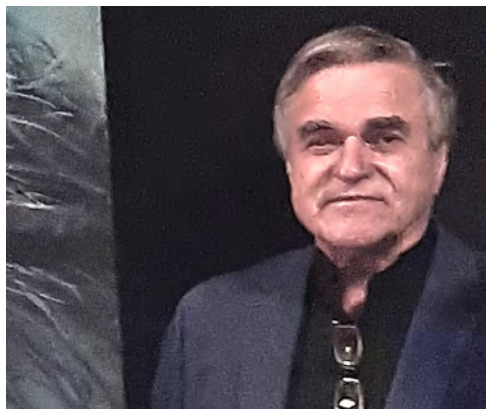
wierszowania rozpada się na drobne i
krótkie wersy
klękanie raz na jedno
innym razem na dwa kolana
w rozwojowym dochodzeniu za różne
przewinienia
nie przyznają się do winy
tłumaczenie tkwi w literackim motywie ojca
przeładowanym historiami o wywodach
winny czy niewinny
przegrywa
przez siebie posadzone sady

tożsamość

szukam rozstrzygającej frazy
w międzyczasie to co czytasz
nic ci nie mówi o rytmie
który ustawia się w szyku
zakłada się strofa za strofą
przed ostatnim mostem

po tej stronie jest wiosna
psy gonią cienie drzewa
moczą korony w rzece
to wszystko jest istnieniem
nie ma mowy o bezrobociu
kto by pomyślał o nieprzeżyciu
jest jeszcze jeden brzeg
jedna pora roku następne nadbrzeże

musisz tylko patrzeć
nawet gdy boję się puenty
nie można mówić
że nie ma życia przed śmiercią



Zbigniew Budek urodził w 1948 r. w Wejherowie. W Częstochowie mieszka od niedawna, przyjechał tu z Niemiec, gdzie mieszka na stałe, a dokąd wyjechał w wieku lat dwudziestu. Wiersze pisze od kilkunastu lat. Tom *Rozproszenie* jest piątą z kolei książką poetycką po *Repetitorium z historii* (2008), *Seansie za dwadzieścia kilka groszy* (2011), *Słowie jak dotyk* (2015) i *Pod prąd* (2015). Interesuje się także malarstwem i operą, chętnie podróżuje.

Anna Jędryka KONIEC LATA

JARZĘBINA

Już dojrzeła jarzębina, czy to koniec lata?
Wszak niedawno była wiosna zielenią bogata.

Wciąż w pamięci mamy jeszcze ślady mroźnej zimy,
a już w słońcu się rumienią grona jarzębiny.

Tak niedawno się budziły z letargu rośliny,
a już w czerwień się malują kiście jarzębiny.

Jeszcze wczoraj kwitły maki, pachniały jaśminy,
a dziś stroi się w korale drzewko jarzębiny.

W noc czerwcową wianki rzeką puszczały dziewczyny,
a dziś suknie ozdabiają perłą jarzębiny.

Tak niedawno białym kwiatem sypnęły maliny,
a już jesień przepowiada owoc jarzębiny.

Każda nowa pora roku codzienność umila,
ale życie z nią umyka niczym jedna chwila...

24.07.2022 r.

TAMTO LATO

Już nie wrócą tamte chwile,
co dawały szczęścia tyle,
co fruwały jak motyle.

Już nie wróci tamto życie,
co pławiło się w zachwycie,
co darzyło nas obficie.

Już nie wrócą czasy dawne,
takie piękne i powabne,
tak radosne i zabawne.

Już nie wrócą lata młode,
co dawały wdzięk, urodę,
niosły wolność i swobodę.

Odpłynęły z nurtem wody
wdzięk i powab, dar urody,
zdrowie, młodość, i przygody.

Nie poradzi żadna siła,
choćby nie wiem jaka była,
aby młodość znów wróciła.

20.07.2022 r.

ZABRAŁŚ MI

Oddałam ci mój cały świat,
poranną mgłę
i błądy świt
i letni zmierzch
i ciemną noc
i niebo gwiazd
i morze łez
i szczęścia łut.

Oddałam ci codzienny trud,
radosny śmiech,
milczący ból,
szczęśliwy los,
stęskniony wzrok,
kobiecy wdzięk,
młodości czar
i powab ust.

Oddałam ci mój każdy sen,
miłości znak,
przyjaźni dar,
pożegnań smak,
bojaźni łyk,
zazdrości kęs,
godziny trosk
i życia bieg.

Zabrałeś mi mój każdy dzień
i każdą noc –
bez czułych słów,
bez jednej łzy,
bez złudzeń stu,
bez blasku świec –

jak własność swą,
jak zwykłą rzecz...

28.04.2022 r.

WYJEŹDŹALI NA CHWILĘ

Oni wyjeżdżali na chwilę,
chyłkiem opuszczali swe domy –
mając w oczach obraz najśladzszy,
mając w myślach obraz znajomy.

Zabierali – ile wziąć mogli;
uciekali przed zemstą wroga –
byle dalej, byle bezpieczniej,
a goniła ich wieczna trwoga.

Zostawiali dorobek życia,
by ratować swoją rodzinę;
bo nieważne były bogactwa,
gdy wróg wtargnął na Ukrainę.

Opuszczali miasta i wioski
na dni kilka – może tygodni;
udawali się w świat nieznany,
co nakarmił, gdy byli głodni.

Choć minęło kilka miesięcy,
oni nadal są na obczyźnie
i nie mają planów na przyszłość,
bo wciąż wojna trwa w ich Ojczyźnie.

Jak łodygi złamane wiatrem –
choć korzenie ciągle tkwią w ziemi –
rozzuceni we wszystkie strony,
żyją przecież – puści i niemi.

I nie wiedzą, co będzie jutro,
ich nadzieją wiadomość każda.
Ile czasu jeszcze upłynie,
nim zaświeci bezpieczna gwiazda?

05.08.2022 r.

ZAPROWADŹ MNIE

Zaprowadź mnie w krainę słońca,
Gdzie ciągle lato trwa,
Gdzie miłość nigdy nie ma końca,
Gdzie zgodne serca dwa.

Zaprowadź mnie w krainę nieba,
Gdzie skrzydła daje Bóg,
Gdzie więcej nic już nie potrzeba,
Byś tylko kochać mógł.

Zaprowadź mnie w rajskie ogrody,
Gdzie się nie liczy lat,
Gdzie nigdy nie ma złej pogody,
Gdzie jest przyjazny świat.

Zaprowadź mnie w krainę kwiatów,
Gdzie zimą kwitnie bez,
Gdzie nie ma łez ani dramatów,
Gdzie wieczna miłość jest!

26.05.2022 r.



Wojciech Kołsut, „Driada Nimfa Leśna”, technika własna

Zdzisław Opałko

JESIENNA PIOSENKA O KORZYŚCIACH

Na drzewach znowu ubywa liści
w ogrodach owoców ślad
tak myślę – ile miałabyś korzyści
gdybym wyruszył w świat

Gdybym jesienią razem z ptakami
odleciał gdzieś w siną dal
nie będzie wiele chwil za oknami
aż taki nie byłby żal

Nowy wiatr szybko rozwiałby chmury
smutki już w chwili tej
wkrótce odczujesz że idziesz z góry
będzie ci łatwiej i lżej

Niczym wygrana z milionami
zdarzy się porządku cud
znikną z widoku pod krzesłami
moje skarpetki i but

Nie będziesz gderać: lampka nie świeci
czy miałem czas by coś zjeść
nie będziesz musiała wręczać mi worka
na śmieci bym zniósł go gdzieś

Przestaną płynąć z oczu łez stróżki
myśli: czy ja – to ten
zasną beze mnie twoje poduszki
głęboki zmorzy je sen

Może już wkrótce do twego serca
zapuka inny ktoś
i z bombonierką zaczniesz się wkręcać
licząc na ekstra coś

A gdy już w twojej duszy i w domu
zagoszczą spokój i ład
może nie mówiąc nic nikomu
wyruszysz za mną w świat

Na drzewach nowych przybędzie liści
zawieje ciepły wiatr
myślę że wiele miałabyś korzyści
gdybym wyruszył w świat

Jacek Szczerbak

małe kraiki

małe kraiki o wielkiej przeszłości
 wciąż cierpią na manię wielkości
 w rezultacie rośnie góra kości
 wielka rada małych kraików
 zaprosiła największych magików
 od zaklinania rzeczywistości
 i oświadczyła w ich obecności
 że obierze duży kraj do ości
 tak jej dopomóż Ameryka
 nie wiadomo czyja jest racja
 co nacja to inna wariacja
 czarne jest białe u jednych
 u drugich na odwrót – tych
 zabijają chłopcy a tamtych
 móżdżerze i każdy ma swoją
 ulubioną zbrodnię – rząd oswaja
 swoich poddanych kartoflami
 z Caritasu, flagami
 słusznej sprawy i kazaniami
 uciekałbym codziennie do lasu
 ale spalili go napalmem
 w ramach energetycznej
 wojny ekonomicznej
 wojna robi tyle hałasu
 nie wolno już płynąć promem
 bo blokada, sankcje, embargo
 i kurtyna informacyjna
 przyleciało UFO z bardo
 mówi gwiazda telewizyjna
 ale nikogo to nie obchodzi
 bo na innym kanale
 leci akurat bitwa live
 o wieś bunkier i chwałę

każdy ogląda w ogrzewanej
 publicznej sali telewizyjnej
 zawinięty w koc z Caritasu
 i próbuje nie słuchać hałasu
 politycznych kłótni sąsiadów
 o to który kanał informacyjny
 jest lepszy bo ponadpartyjny
 najgłośniej krzyczą ci od Trwam

hikikomori

pytasz o samotność
 wieloletniego
 hikikomori
 wiem o niej wszystko
 jest wszędzie tam
 gdzie jestem obcym
 świadkiem przemocy
 gdzie wojenny tam-tam
 i figurki voodoo znają
 z hollywoodu i mają
 takie świętoszkowate miny
 kiedy wzywają do ludobójstwa
 w imię obcego mocarstwa
 a polityka to farsa
 jedna klika jedna klinika
 psychuszka narodowa
 europejska natowska
 rusofobska sinofobska
 antyislamska
 antyafrykańska
 antylatynoska
 i antyludzka
 za to atlantycka
 sarmacko-łużycka
 my im mociumpanie
 atomówkę pif-paf
 oto moja polska
 ojczyzna emigracji wewnętrznej
 a oto już nie moje niemcy
 kraj równie zagubiony
 i popieprzony jak mój
 oba tak samo zaczarowane
 niedziałającymi już dawno
 zaklęciami zza oceanu
 mieszkałem kiedyś w azji
 tam też byłem samotny
 z nikim nie mogłem się dogadać
 oprócz turystów i hotelarzy
 to było fantastyczne
 jak trzy miesiące w kinie
 dużo scen kręconych
 na plaży tylko ja
 i księżyc
 samotni
 obecni
 księżyc był
 trochę do góry
 nogami

Arkadiusz Frania

BLUES W POEZJI

WALDEMARA M. GAIŃSKIEGO

WALDEMAR M. GAIŃSKI (1952-2011), jeden z reprezentantów pokolenia Nowych Roczników czy też Nowej Prywatności, z okazji przypadającego w 2004 roku jubileuszu trzydziestolecia działań-bitew literackich udzielił redaktorowi naczelnemu Kwartalnika Kulturalnego Częstochowy „Aleje 3” Marianowi P. Rawinisowi wywiadu, który został dość frapująco zatytułowany: *30 lat pracy twórczej. „Chciałem być perkusistą”*. W rozmowie padły słowa wyjaśnienia: „Byłem perkusistą w różnych zespołach. Ale gdy kiedyś na festiwalu Jazz Jamboree usłyszałem, jak grają inni, taki na przykład Buddy Rich, pomyślałem, że nigdy tak grać nie będę”¹. Dzięki temu bolesnemu samouświadomieniu piśmiennictwo polskie zyskało pióro cięte, złośliwe, ale zawsze mięsiste, przesycone treścią². Waldemar M. Gaiński postanowił tworzyć poezję dzięki muzyce, co potwierdza inna rocznicowa konwersacja (tym razem z Haliną Piwowarską z „Gazety Częstochowskiej”), rozwijająca perkusyjny wątek:

Zacząłem pisać późno, gdy miałem 21 lat, debiutowałem w wieku 22 lat, a do tego czasu widziałem siebie jako perkusistę, grałem na perkusji w zespołach rockowych. Poprzez muzykę nastąpiło zetknięcie z poezją. Czytałem miesięcznik „Jazz”, tam była kolumna pod nazwą „Kawalkada”, gdzie drukowano wiersze związane z muzyką. Od czasu do czasu drukował tam mój mistrz, Roman Śliwnik, i jego wiersze strasznie mnie poruszały, te utwory coś we mnie otworzyły. Jakoś wtedy ukazał się „Nowy Wyraz”, pokolenie Nowej Fali zaczęło mówić

- 1 *30 lat pracy twórczej. „Chciałem być perkusistą”. Rozmowa z Waldemarem M. Gaińskim, poetą, rozm. M.P. Rawinis, Kwartalnik Kulturalny Częstochowy „Aleje 3” nr 49, styczeń-marzec 2005, s. 20.*
- 2 T. Gierymski pisał w 1991 roku, prezentując w „Okienku z wierszem” na łamach „Dziennika Częstochowskiego. 24 Godziny” utwór W.M. Gaińskiego *Gościnnie*: „W naszym mieście dał się również poznać jako zdolny dziennikarz, którego pióro zdążyło już niejednego porządnie pokuć. Jego temperament polemiczny, nonkonformizm w publicystyce – sprawiły, że zyskał sobie tyle samo przyjaciół, co przeciwników. Piszący te słowa należy oczywiście do tych pierwszych, chociaż nieraz, na krótki czas, przechodzi na drugą stronę. I dodajmy jeszcze dla sprawiedliwości: to właśnie Waldemar M. Gaiński zainicjował przed rokiem «Okienko z wierszem». Obecnie jednak jego nietuzinkowa osobowość i cięte, zjadliwe, ale zawsze celne pióro ożywia i zasila «Gazetę Częstochowską» i jej zespół redakcyjny” ((TAG) [T. Gierymski], „Okienko z wierszem”: W.M. Gaiński *Gościnnie*, „Dziennik Częstochowski. 24 Godziny” 1991, nr 191 (3 października), s. 4). Warto również przytoczyć prasowe „sprawozdanie” z niezwykle gorącego spotkania zorganizowanego w 1994 roku z okazji 20-lecia pracy twórczej Waldemara M. Gaińskiego: „Dyskusja o wierszach zaczęła się od poetyckiego absurdu – jeden z miejscowych poetów zarzucił jubilatowi brak spójności między poetyckim „ja” a osobą autora. Gaiński oczywiście rozprawił się z tym zarzutem. Uznał, że z takiego rozdźwięku można będzie go rozliczać, kiedy napisze pamiętniki. Zakończył wywód złośliwością, że może dzięki tym wspomnieniom pytający zaistnieje w literaturze. Pytanie, absurdałne z punktu widzenia poetyki, okazało się być jednak harcem przed większą batalią. Obecni na sali literaci częstochowscy zaatakowali jubilata, zarzucając mu pogardzanie częstochowskim środowiskiem i przerost w ocenę własnej twórczości, czego można było domyślać się z pytania: – Kiedy zamierzasz otrzymać Nobla? Gospodarze spotkania, słusznie oceniając, że kierunek dyskusji nie licuje z jubileuszową okazją, próbowali skierować rozmowę na poetyckie tory. Gdy te usiłowania okazały się bezskuteczne, zakończyli spotkanie” ((T.P.) [T. Piersiak], *20 lat wierszem*, „Gazeta Wyborcza” – „Gazeta w Częstochowie” 1994, nr 298 (23 grudnia), s. 4).

moim głosem, stwierdziłem wówczas, że też mam w sobie taki potencjał twórczy. A z karierą perkusisty pożegnałem się, chodząc na Jazz Jamboree, słuchając gry takich muzyków, jak Elvin Jones czy Buddy Rich. Doszedłem do wniosku, że nigdy tak nie zagram³.

Instrument sekcji rytmicznej był ważny dla Waldemara M. Gaińskiego nie tylko we wspomnieniach, „ożywiał” umysł poety już w okresie debiutu książkowego, w notce odautorskiej bowiem zamieszczonej na okładce *Poematu ulicznego* zawarto *curriculum vitae*: „Spodziewano się, że będę technikiem, inżynierem, w najlepszym wypadku oficerem lub... księdzem. Nieco później sam myślałem, że jestem perkusistą. Być może stałoby się tak, gdyby nie kilka przypadkowo przeczytanych wierszy” (PU, [okładka]⁴). W biografii twórczej tego kontrowersyjnego pisarza znajdują się także teksty piosenek i wspólna trasa poetycko-muzyczna z kompozytorem i pieśniarzem Jerzym Filarem: „Z Jurkiem mieliśmy taki program, jeździliśmy z tym po Polsce przez parę lat. Nazywało się to *Na peronie wiersza*. Było tam trochę moich tekstów, Jamesa Jonesa, Romana Śliwonika i in.”⁵.

Tych kilkanaście zdań wstępu niech będzie zaproszeniem do odczytania liryki Waldemara M. Gaińskiego w kontekstach muzycznych. Przegląd tytułów jego wierszy ukazuje widoczną frekwencyjność terminu „blues”. Najjaskrawiej świeci on w nazwie drugiego zbioru (*Asfaltowy blues*), będącej jednocześnie tytułem cyklu i utworu. Także w następnych książkach znajdziemy interesujące nas liryki: w *Roczniku pięćdziesiątym drugim – Blues dla dyktatora* (RPD12) i *Blues hotelu „Cristal”* (RPD49), zaś w *Miasto już przestało boleć – Blues śpiewany szeptem* (MJPB40) i *Blues szuflady* (MJPB84). Poza korpusem książkowym wydrukowano liryk *Blues kwaterunkowy*⁶. Słowo „blues” pojawia się też m.in. w tekstach: *Asfaltowy blues* (AB18), *Przy drzwiach otwartych* (AB62), *Łatwopalne wiersze* (WO31). W toku spisywania swoich spostrzeżeń rozszerzę je oczywiście i o inne motywy muzyczne.

Obecność bluesa w poezji Waldemara M. Gaińskiego wynika z cech tego „negro-amerykańskiego gatunku pieśni osobistej (solowej)”, wszak „tekst poetycki bluesa operuje asonansami, rymami i nieregularną stopą metryczną dostosowaną do improwizowanych treści, nawiązujących do bolesnych ludzkich doświadczeń: nieodwzajemniona miłość, osamotnienie, katastrofy żywiołowe, choroby, głód, więzienie, źli ludzie itp.”⁷. Należy mieć na uwadze, że termin w języku

3 *Trzydzieści lat minęło*, rozm. H. Piwowarskiej z W.M. Gaińskim, „Gazeta Częstochowska” 2004, nr 18 (6-12 maja), s. 7. W.M. Gaiński, jako dziennikarz i publicysta, również nie unikał tematów muzycznych, np. przeprowadzając wywiad z heavymetalowym zespołem Załoga G. (*Metalowa załoga. Rozmowa z zespołem heavy metal Załoga G., jednym z dwóch laureatów „Garażu 87”*, „Gazeta Częstochowska” 1987, nr 6 (11 lutego), s. 1, 7) czy pisząc o Częstochowskiej Kapeli Podwórkowej „Wiarusy” (*Wiarusy*, Kwartalnik Kulturalny Częstochowy „Aleje 3” nr 51, lipiec-wrzesień 2005, s. 47).

4 W eseju zastosowano następujące skróty tytułów książek poetyckich W.M. Gaińskiego: PU – *Poemat uliczny*, Zarząd Warszawski Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, Warszawa 1977 [seria „Premiery”];

AB – *Asfaltowy blues*, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1981;

RPD – *Rocznik pięćdziesiąty drugi*, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1988;

MJPB – *Miasto już przestało boleć*, Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater”, Częstochowa 1997;

WO – *Wiersze ostatnie*, oprac. red. T. Piersiak i O. Wiewióra, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2016. Cyfra Arabska obok skrótu oznacza numer stronicy, z której pochodzi cytat lub odwołanie.

5 *30 lat pracy twórczej. „Chciałem być perkusistą”*, s. 21.

6 *Poeci Częstochowy. Zeszyt Poetycki Środowiska Częstochowskiego*, red. W.M. Gaiński i T. Gierymski, Urząd Miejski – Wydział Kultury i Sztuki w Częstochowie przy współpracy Towarzystwa Przyjaciół Częstochowy, Częstochowa 1989, s. 6.

7 Źródło: <https://www.rmflclassic.pl/encyklopedia/blues.html> – dostęp 5.04.2019.

angielskim oznacza „troski, rozterki”. Czyż takie w duchu i tkance lirycznej nie są wyznania Waldemara M. Gaińskiego? Czyż nie traktują one o smutku ludzkiego żywota, o rozczarowaniu, poczuciu pustki, nicości, słabości? *Asfaltowy blues* to relacja z wypadku, podczas którego dziewczyna została potrącona przez samochód ciężarowy: „zmarznięty asfalt śpiewał / Czarnego Bluesa Pierwszeństwa Przejazdów / na Wolnej Drodze HIGH WAY” (*Asfaltowy blues*, AB18). Dotykamy więc tutaj spraw ostatecznych, sfery bólu, cierpienia. Gdzie indziej czytamy, że nasze życie staje się pasmem codziennych udręk: „między pulsem ścian i ziewaniem krzeseł / między sennym bluesem kropli ściekającej z kranu / [...] / między gitarowym szlochem z płyty swingiem przebiegających jelit” (*Przy drzwiach otwartych*, AB62). Osaczył nas świat, człowiek i miasto – moloch⁸, jawiący się jako geneza największego rozgoryczenia podmiotu lirycznego: „uszy wygwizdane do mózgu / melodią ulicy” (*Miniatura*, AB36). Warto przywołać dwie „urbanistyczne” w wymowie opinie o *Poemacie ulicznym*. Na czwartej stronie okładki wydrukowano: „Nasycone realiami poetyckie fabuły Gaińskiego stanowią próbę rozeznania etycznej sytuacji współczesnego człowieka. Są zarazem zapisem jego wielkich i małych dramatów, rozgrywających się w «asfaltowej dżungli» wielkiego miasta” ([Notka redakcyjna], [w:] AB[czwarta stronica okładki]). Z kolei Zbigniew Mikołajko, idąc nieco tropem wskazanym przez redakcję tomu, uzupełnia:

Podmiotem lirycznym wierszy Waldemara M. Gaińskiego jest [...] tzw. „szary człowiek”, mieszkaniec wielkiego miasta. Poezja Gaińskiego – w której trudno nie dostrzec fascynacji pisarstwem *beat generation* i twórczością amerykańskich poetów ulicy – to właściwie prosty, behawiorystyczny, choć celny zarazem, zapis obserwacji, których przedmiotem są drobne zdarzenia codzienne, mające miejsce w „asfaltowej dżungli”⁹.

W *Bluesie dla dyktatora* (będącym bluesem o pamięci) dominuje ujarzmienie osobowości przez system, szarość i beznadzieję: „pamięć która goni i osacza nie / pozwala wyjść na miasto spotkać / starych kumpli” (*Blues dla dyktatora*, RPD12). Aurę alienacji potęguje *Blues hotelu „Cristal”*; bohater przegrał walkę o czułość, próbuje więc zaakceptować odrzucenie i oswoić nieoswajalne, czyli samotność:

tyłem mi zostało ciebie w hotelowym prześcieradle
lecz bez skutku szukam ciepłej fali twego głosu
kręcąc skalą zepsutego radia [...]
wiem że tylko tyle mi zostało
po trzydziestu latach przeludnionej samotności
(*Blues hotelu „Cristal”*, RPD49).

- 8 W.M. Gaiński był jednym z założycieli (wspólnie z Bolesławem Kowalskim i Krzysztofem Wasiakiem) Grupy Poetyckiej „Moloch” funkcjonującej w Warszawie w okresie od września 1974 roku do września 1977 roku. Skład formacji zmieniał się, a należeli do niej m.in. Katarzyna Boruń, Piotr Bratkowski, Ryszard Holzer i Waldemar Strzelczyk. Autor *Poematu ulicznego* tak określił założenia „stronnictwa”: „Członkowie Grupy postanowili nie ogłaszać manifestu artystycznego, aby tworzone przez nich wiersze nie były ograniczane ramami wytyczonego programu. Większą wagę przykładaliśmy do kształtu artystycznego utworów i ich ciężaru gatunkowego, niż do opowiadania się za tą lub inną szkołą wierszorstwa” (W.M.G. [W.M. Gaiński], [tekst o Grupie Poetyckiej „Moloch”], [w:] *Studenckie grupy i kluby poetyckie. Wiersze – manifesty – samookreślenia*, wybór, oprac. i red. J. Leszin-Koperski i A.K. Waśkiewicz, Zarząd Główny Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, Warszawa 1979, s. 135). O „Molochu” zob.: E. Głębička, *Grupy literackie w Polsce 1945-1989. Leksykon*, wyd. II rozszerz, Wiedza Powszechna, Warszawa 2000.
- 9 Z. Mikołajko, *Pięć poetyckich debiutów* [w tym rec. W.M. Gaiński, *Poemat uliczny*], „Nowy Wyrz” 1978, nr 7 (lipiec), s. 119.

Oba cytowane przed momentem utwory pochodzą, jak już wzmiankowałem, ze zbioru *Rocznik pięćdziesiąty drugi*, który poeta sklasyfikował w następujący sposób: „[książka] jest, w moim zamierzeniu, zapisem stanu świadomości pewnej formacji pokoleniowej, w czasie bezpośrednio poprzedzającym Sierpień 1980 r. i Grudzień 1981 r., a także w trakcie tych wydarzeń i tuż po nich. Choć może nie tylko” ([Notka odautorska], [w:] RPD [skrzydełko okładki]). Do spętania przez rzeczywistość Polski lat 80. czy nawet wprost do dążeń władzy dotyczących ograniczenia wolności obywateli nawiązuje *Blues szuflady*: „jeszcze wam przeczytam wiersze / wymuszonych zeznań sygnowane / autografem skutej dłoni” (*Blues szuflady*, MJPB84). Szufladę (pisanie do szuflady) można też potraktować jako pojęcie z kategorii emigracji wewnętrznej, schowania się nie tylko w siebie, ile przed sobą, bo w „stanie strachu” (nawiązanie do filmu Janusza Kijowskiego o stanie wojennym z 1989 roku – *Stan strachu*) wszyscy są podejrzani i coraz częściej traci się zaufanie do samego siebie. W książce Andrzeja K. Waśkiewicza *Ósma dekada. O świadomości poetyckiej „nowych roczników”* zakreślił fragment, który można również odnieść do utworów przedstawiciela tej formacji – Waldemara M. Gaińskiego:

Wiersze te diagnozują bowiem nie społeczną sytuację zbiorowości, ale psychiczne nastawienia podmiotu. Zamknięcie wewnątrz własnej jaźni i jednocześnie rozpaczliwe pragnienie wyjścia z tego „więzienia”. To wszelako, co się na zewnątrz azylu znajduje, zostało już wcześniej określone jako sfera działań nieetycznych i manipulatorskich, jako to, co wywiera presję na jednostkę, wymusza uległość¹⁰.

W ujęciu Stanisława Podobińskiego:

Gaiński sięga po „męską” leksykę, po obscena, co jednak nie jest przejawem wulgarności, lecz wysoce naturalnym, sfunkcjonalizowanym działaniem – mocne słownictwo jest zharmonizowane z bezwzględnością życia w warunkach miejskich, gdzie – skoro nie ma sielskości w żadnym niemal przejawie – nie może być oleodrukowego języka, oddającego te realia i przeżycia.

(Stanisław Podobiński, *Gorzkie smakowanie życia w wierszach Waldemara M. Gaińskiego*, [w:] MJPB7)

Natomiast Piotr Kuncewicz dodaje: „jest to poezja bardzo konkretna, wręcz dosadna i brutalna, pełna goryczy i nazywania rzeczy po niepięknym imionach”¹¹.

Prywatna historia bohatera wierszy Waldemara M. Gaińskiego nie prowadzi do szczęśliwego zakończenia. Andrzej K. Waśkiewicz w książce poświęconej pokoleniu Nowych Roczników zauważył: „Ten świat, w którym wszystko dzieje się pozornie, odczuwany jest jako koszmar. Jako rzeczywistość, z którą dialog jest niemożliwy”¹². Uczestnik tego ruchu Marek Jędrzejewski porównał natomiast cechy „Nowej Fali” i swojej generacji:

10 A.K. Waśkiewicz, *Ósma dekada. O świadomości poetyckiej „nowych roczników”*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław 1982, s. 179.

11 P. Kuncewicz, *Leksykon polskich pisarzy współczesnych*, t. 1.: A-M, GRAF-PUNKT, Warszawa 1995, s. 236. Na pikantne słownictwo poezji W.M. Gaińskiego zwracali uwagę także: Jan Marx („*Skurwiale róże*” [rec. *Poematu ulicznego*]), cyt. za: J. Marx, *Gry krytyczne*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1985, s. 255-256 [seria „Współczesna Krytyka Polska”]) i Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki (*Poniewczasie. Gaiński Waldemar Michał* [o tomiku *Asfaltowy blues*], strona internetowa Wydawnictwa FORMA: <http://www.wforma.eu/poniewczasie-gainski-waldemar-michal.html> – dostęp 12.04.2019).

12 A.K. Waśkiewicz, dz. cyt., s. 176.

„Nowa Fala” atakowała rzeczywistość społeczną, świat polityki, stereotypy myślenia kształtowane przez propagandę w sposób prześmiewczo-ironiczny. Młodzi zaś z drugiej połowy lat 70. deklarowali raczej swoją nieistotność, nieważność, a nawet nieobecność – *Dam wam swoją nieobecność* (wiersz Czesława Markiewicza z arkusza *Modlitwa oszukanych*). Zresztą podobne nastroje wyrażali młodzi poeci warszawscy z grupy poetyckiej „Moloch” (Katarzyna Boruń, Waldemar M. Gaiński, Piotr Bratkowski): poczucie rezygnacji, utratę wiary w czyn, zwątpienie w przyszłość, izolacjonizm, nawet katastrofizm¹³.

Psychika człowieka wrażliwego zderza się z murem niezrozumienia, z kakofonią rozmów, z chłodem kolejnych miejsc zamieszkania, kwater i przeprowadzek. Najdobitniej o niemożności znalezienia własnego miejsca na ziemi grzmi *Blues kwaterunkowy*:

dom to miejsce nudy przed telewizorem
rozmów z radiem i lektury gazet
to gorąca szklanka na zniszczonym stole
i dwa metry pod składane łóżko
dom to miejsce czujnych snów i niedziel
ale prawdę mówiąc
dom to żadne miejsce¹⁴.

Dwa ostatnie wersy zioną jak otwarta rana. Stąd wyraz pragnienia miłości z nutą goryczy i frustracji:

chcę się
kochać jak oddycham po miłości
tak jak słucham bluesa albo
tak jak nienawidzę kilku osób
(*Łatwopalne wiersze*, WO31).

Zgaszony czy też zszarzały erotyzm stanowi część immanentną niepokoju wyrażonego w *Bluesie śpiewanym szeptem*:

zbudzeni
śpiewającym bólem krwi
i powiek jeszcze długo
rozmieniamy niespokojnie
czułki naszych palców
(*Blues śpiewany szeptem*, MJPB40).

Wynotujmy również inne przykłady przenikania muzyki do sfery erotycznej. W liryku *Przygotowania do miłości* czytamy: „ale teraz to nie czas na telewizję / na muzykę rolling stonessów” (*Przygotowania do miłości*, WO26), z kolei seks został określony mianem swingu w wierszu *Taki swing*, skąd płynie wyraz pożądania: „tak się lubię z tobą kochać / i nasycić ściany twoim

13 M. Jędrzejewski, *Młodzi poeci w PRL. Młoda poezja jako wyraz świadomości pokolenia lat 1976-1980*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2015, s. 128.

14 *Poeci Częstochowy. Zeszyt Poetycki Środowiska Częstochowskiego*, s. 6.

cieplem” (*Taki swing*, WO35). To chyba jedna z nielicznych chwil, kiedy „ja” zapomina, że świat wali się w bez-świat. Charakterystyka partnerki zawiera nie tylko rys fizyczny, ale również informacje o zainteresowaniach: „jego dziewczyna ma jasne włosy / i oczodoły pełne dyskotek / lubi aperitif i mc cartney’a” (*Life story*, PU20). Jako uzupełnienie zasygnalizowanego obszaru skojarzeń z lokalem tanecznym przywołajmy wiersz *Noc w dyskotece* (PU18).

W ukształtowaniu światów przedstawionych Waldemar M. Gaiński czerpie z osiągnięć muzykologii, używając odniesień do form muzycznych: toccata („piszę toccatę na trzask ognika zapałki”, PU4), dynamiki muzycznej: mezzo forte (wiersz *Mezzo forte* [dość głośno], PU12), pianissimo (wiersz *Pianissimo* [bardzo cicho], PU17 i AB9), rodzajów tańców, np. kankan, twist („skończony papieros kosztował go / ułamek kiepskiego wiersza / woskowe lalki wcale nie tańczyły kankana / był to śmieszny twist świętego don kichota”, *Samotwórca*, PU15). W tytułach kilku innych utworów występują i inne terminy (od- i do-) muzyczne: *Heavy metal* (RPD44), *Banalna piosenka* (WO19).

W dorobku poety wyodrębnimy kilka tekstów dedykowanych ludziom sztuki muzycznej bądź z mottami zaczerpniętymi z ich wypowiedzi dla własnych przedstawień lirycznych. Fraza wprowadzająca: „... czas wszystko zmienia”, wyjęta z twórczości Boba Dylana, pozycjonuje wiersz ***(*złość i apatia stygną w kieliszkach*) (WO52). *Mrok* został napisany „W pierwszą rocznicę śmierci Mieczysława Kosza”, polskiego pianisty i kompozytora jazzowego; tekst przybiera formę spowiedzi, autobiografii, z krwawiącym „ego”, jakby na granicy znaczeń, rzeczywistości i snu, partytury życia i śmierci:

ja chirurg dźwięku
 skamieniały mrokiem
 cisza z c-moll
 z as-dur niepokój
 burza na fis
 na całą oktawę
 JA ŚPIEWAM
 JA ŻYJĘ
 JA ZDAŻĘ
 PRZEGONIĘ BURZĘ
 ZAGŁUSZĘ PIORUNY
 (*Mrok*, PU16).

Gdy mowa o jazzie, nie sposób pominąć urywku przekonującego o sensie życia: „jeszcze nie umieraj [...] / jest jeszcze maj tłusty od czerwieni / jest jeszcze Brueghel Gombrowicz jazz alkohol” (*Zamiast snu*, AB38). Lekturę, pisanie, wódkę i muzykę należy zaliczyć do pasji życiowych autora *Asfaltowego bluesa*, gdyż jego wizje artystyczne to efekt talentu podsycanego trunkiem. Poeta nie mógł istnieć bez wierszy i alkoholu; gdy wódka go niszczyła, poezja ocalała – a może było odwrotnie?

Zwróćmy jeszcze uwagę na wiersze *Może* (RPD61) i *Rocznik pięćdziesiąty drugi* (RPD68-69). Pierwszy skrzy się odwołaniem do „Pamięci Włodzimierza Wysockiego”. Warto zaznaczyć, iż Waldemar M. Gaiński poznał osobiście tego wielkiego rosyjskiego barda i aktora, zaś swoje wspomnienie przekazał w niezwykle plastyczny sposób:

Napisałem też monodram o Włodzimierzu Wysockim. Ja go zresztą miałem przyjemność poznać osobiście. W osiemdziesiątym roku, chyba dwa miesiące

przed śmiercią przyjechał Teatr na Tagance z dwiema sztukami: *Dobry człowiek z Seczuanu* i z *Hamletem*. Jeszcze z pierwszą żoną na tym byłem. Wysocki już był wtedy chory, w *Dobrym człowieku*... grał dubler, ale na *Hamleta* przyjechał. Było kiedyś takie pismo „Student” i tam parę jego wierszy przetłumaczyłem, weszliśmy za kulisy. Dwie baby pilnowały garderoby, no i te baby nie chciały nas wpuścić, więc ja się rozpędziłem i wpadliśmy do tej garderoby, przewróciliśmy się... Wysocki podniósł się, zobaczyć, co się dzieje, ja mu krzyknąłem, że *periewoditel*, że *jewo stichi* – on: *podnimajties, sadities* i wygonił te baby. Zaczęliśmy gadać, on chciał usłyszeć, jak jego wiersz brzmi po polsku. Niedługo później, pamiętam, wróciliśmy z Bieszczad, jakoś w nocy dotarliśmy, włączyłem radio i mówią, że umarł Włodzimierz Wysocki¹⁵.

Z kolei po części pokoleniowy *Rocznik pięćdziesiąty drugi* poeta przypisał „Ewie i Jurkowi Filarom”: „adapter mister hit katował moją spracowaną / matkę gdy czytała trędowną lub słuchała matysiaków / [...] / już nie słucham głośnej płyty nie używam cukru” (*Rocznik pięćdziesiąty drugi*, RPD68, 69).

Często u Waldemara M. Gaińskiego powraca motyw słuchania piosenek, czynność na pozór zwyczajna, ale poeta wprzęgnął ją w bolesną opowieść o losie. Dźwięki płyną z radia („zastuchany w wielkie przestarzałe radio”, *Sąsiad*, RPD16), w którym podmiot liryczny pragnie znaleźć wiedzę i ukojenie („może słuchasz płyty albo w radiu / poszukujesz wiadomości i nadziei”, *Pieśń sennego gazu*, RPD48). Najmocniejszych wrażeń dostarcza jednak odtwarzanie płyt winylowych: „sąsiadom przeszkadzały nasze płyty / drażniły ich słowa piosenek” (AB43), „nastawimy jakiś longplay ze starymi piosenkami” (*Do artysty w środku nocy*, RPD29). Nie jest to jednak „dzianie się” czysto kontemplacyjne czy relaksacyjne, skoro uruchamia kontekst egzystencjalny, służąc mechanizmowi metafory: „gdy nastawiasz zdartą płytę wspomnień / na gramofon wibrujących nerwów” (*W ciemnym świetle*, RPD8) lub – wraz z czytaniem, myśleniem i odczuwaniem – opowiada prawdę o powierzchowności życia człowieka i zadawaniu się półproduktami emocjonalnymi:

to co słuchasz – nie jest już muzyką
to co czytasz – nie jest już poezją
to co myślisz – nigdy się nie spełni
to co czujesz – nie jest nawet nienawiścią
(*W załączeniu*, RPD51).

Coś się zmieni lub nie zmieni, wydarzy lub nie wydarzy, „gdy osypią się ubrania w szafie / i adapter skończy rżnięcie mojej ulubionej płyty” (*Piękna trzydziestoletnia*, RPD26); widzimy w tym *passusie* cezure, granicę między stanami bytu.

Znakomity polski pisarz Jacek Durski w zbiorze *Myśli* zadał pytanie, którym zadrecza się każdy żyjący twórca (po śmierci bowiem znikają wszelkie wątpliwości i powracają właściwe proporcje): „Czy świat zatrzyma, co piszę?”¹⁶. Waldemar M. Gaiński powinien stać się przedmiotem częstszych analiz, wystarczy jedynie, by krytycy literaccy odrzucili uprzedzenia i urazy.

(Esej pochodzi z książki: A. Frania, *Witryna i archiwum. Z kart poetyckiej Częstochowy*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2022, wydano w serii Biblioteka Galerii.)

15 30 lat pracy twórczej. „Chciałem być perkusistą”, s. 21.

16 J. Durski, *Myśli*, Norbertinum, Lublin 2017, s. 35.

Володимир Яворський-Волдмур

ROZMOWA Z POLSKIM DRUGOM

Богданові Кнопу

Знаю,
доля поляка нелегка –
без міри гіркот і скорботи
у його житті.
Та українська доля
трагічніша –
у безвиході днів і ночей
нескінченних
вона як забута мрія,
якої не було.

Wołodymyr Jaworski-Woldmur

ROZMOWA Z POLSKIM PRZYJACIELEM

Bogdanowi Knopowi

Wiem,
los dla Polaka niełaskawy –
gorczy, smutku bezmiar
w jego życiu
lecz ukraiński los
o wiele gorszy –
w zaułku ślepych dni i nocy
nieskończonych
jest jak marzenie zapomniane,
które zabrał los

przełożył Bogdan Knop



Bogdan Knop

ODPOWIEDŹ UKRAIŃSKIEMU PRZYJACIELOWI

Wołodymyrowi Jaworskiemu-Woldmurowi

Tak,
krew pobratymcza nie toczy
już trucizny.
Niedola Wasza
pogrzebała gorycz naszą
i na ramieniu polskim
wsparł się ukraiński los.
Nadejdzie czas
że miecz wiszący szczeźnie
wróci marzenie –
łaskawy czas
wieczorów i poranków
które są.

Wybuch wojny na Ukrainie przygnał w marcu Wołodymyra i jego żonę Katerynę do naszego domu. Ich pobyt, z przerwą na wyjazd do Włoch, trwał prawie dwa miesiące. Mieliśmy dużo czasu na rozmowy o Ukrainie, Polsce, Rosji, o książkach, autorach i dziwnych zdarzeniach. Po powrocie do swej wsi Jewminki, Wołodymyr przysłał mi wiersz, który był wspomnieniem naszych rozmów – jak sam to określił. Przełożyłem go i od razu napisałem odpowiedź, do której wykorzystałem znany *passus* Sienkiewiczowski. Chciałbym, by moja (za Sienkiewiczem) wizja się spełniła. A czy się spełni...?



Wojciech Kołsut, „Czarodziej”, rzeźba z masy papierowej miedziowanej, technika własna

Agnieszka Oknińska

WIEŻOWIEC

Anecie Lasak, mojej najbliższej Przyjaciółce – za to, że jest

WINDY BYŁY DWIE. JEDNA – DUŻA, PRZY GŁÓWNYM WEJŚCIU, druga – mała, między mieszkaniami na parterze.

Były ciasne. Wewnętrzne drzwi skrzypiały i trzeba było je w czasie jazdy przytrzymywać ręką, bo inaczej winda się zaciniała. Kiedy nią jechałam, czułam, że przez coś się przeciska – skrzypiało i dudniło – i z drżącym sercem czekałam, czy tym razem się uda. Często stawała między piętrami. Był guzik, którym można było wezwać pomoc, ale nie działał. Trwało to długo, ale w końcu zawsze ruszała sama.

Czasami siedziałam w niej godzinę. Czytałam, co było napisane na ścianach. Sześciornamienną gwiazdę i napis „jebać Żydów” już znałam. To było pierwsze, co rzucało się w oczy po wejściu do środka. Na inne miałam czas, kiedy byłam uwięziona. Mogłam dowiedzieć się, kto jest „chujem”, a kto „ostatnią kurwą”. No i kto kogo kocha. To akurat sama wyskrobałam. Spieszyłam się na spotkanie z Rolką, nie domknęłam drzwi i winda się zacięła. A ja chciałam opowiedzieć jej o Serdelu. Brzuch był ściśnięty, policzki paliły i prawie nie mogłam złapać tchu – taka byłam szczęśliwa. A winda stała. Wtedy wyskrobałam długopisem na ścianie to wyznanie i od razu zrobiło mi się lepiej.

Najgorzej było utknąć w niej w niedzielę. W sobotę drzwi mieszkań trzaskały aż do rana, a w niedzielę nikt nie sprzątał. Wchodząc do środka, chowałam nos w kurtkę, żeby się nie udusić. Zamykałam oczy i wyobrażałam sobie krzaki dzikich róż, z których w czerwcu zbierałam płatki kwiatków. Babcia zasypywała je cukrem. Czekwały w słoiczku do tłustego czwartku, wtedy nadziewała nimi pączki. Ten zapach pozwalał mi przeżyć niedzielne uwięzienie w windzie.

Wieżowiec był moim światem.

Lidka

Parter był zimny. Drzwi z jednej i drugiej strony piętra były otwarte, więc panował tam przeciąg. Kiedy jeszcze na piętrach były zsypy na śmieci, parter śmierdział najbardziej. Potem je zlikwidowano.

Na parterze wszyscy byli szarzy. Może dlatego, że dochodziło tam najmniej słońca. Stare pojedyncze drzewa zasłaniały większość okien. Potem drzewa wycięto i wydarzyło się coś, co nauczyło mnie nie oceniać ludzi pochopnie i zbyt szybko. I jeszcze, że szarość wcale nie jest najbrzydsza.

Był późny wieczór gorącego lata. Okna wszystkich mieszkań były szeroko otwarte. Wieżowiec zbudowano z wielkich płyt. Ludzie mówili, że w każdej chwili mogą się złożyć – jak domek z kart. Często stawałam na górcie, patrzyłam na wysoki, dotykający chmur dom i wyobrażałam sobie, jak ściany każdego piętra składają się do środka.

Tego wieczoru też stałam na górcie i patrzyłam w niebo. Nagle zauważyłam, że w narożnym mieszkaniu na parterze po prawej stronie coś się dzieje. Wszystkie światła były zapalone i ktoś wykonywał dziwne ruchy.

Mieszkała tam rodzina z córką. Ta pani była nauczycielką. Zwróciłam na nią uwagę w bibliotece, kiedy przeglądała te same książki co ja. Zdziwiona spytałam, dlaczego, skoro one nie są dla dorosłych. Patrząc mi w oczy uśmiechnęła się i odpowiedziała, że to nie ma znaczenia. Dorosłe życie jest trudne, a te książki pomagają jej wrócić do marzeń. Potem spotkałam ją kilka razy z mężem. Był gruby i zawsze spocony, nawet zimną. Nie lubiłam jeździć z nim windą. Kropelki potu spływały mu po czole i po skroniach i tak kwaśno pachniało, że myślałam, że zwymiotuję. Poza tym miał spierzchnięte usta, które ciągle oblizywał. I bez przerwy tarł opuszkami palców o siebie. Mieli córkę, Lidkę. Była starsza ode mnie o trzy lata. Kilka razy zamieniłyśmy parę słów, ale nie byłyśmy przyjaciółkami. Lidka rzadko wychodziła na podwórko bawić się z innymi dziećmi. Ciągle była zamyślona, a jak się uśmiechała, to ten uśmiech był smutny.

Podeszłam bliżej w stronę okna, ale nie za blisko, bo się bałam. Zobaczyłam Grubasa jeszcze bardziej spoconego niż zwykle. Widziałam go do połowy. Miał na sobie biały podkoszulek i wyglądał, jakby się gimnastykował. Pot spływał strumieniami, miał szeroko otwarte oczy i usta, poza tym poruszał brodą w dół i w górę. Pomyślałam, że może robi przysiady, bo miał uniesione ramiona. Ale stał w miejscu. Ciekawość mnie paliła, ale zrezygnowałam. Był dziwny i bałam się, że mnie zobaczy, a potem będę musiała jechać z nim windą. Często jeździł na osmie, do kolegi. Mama powiedziała, że to żaden kolega, tylko kumpel do chlania. Mówiła jeszcze, że szkoda pani nauczycielki, bo taka porządna kobieta. Tak więc postanowiłam wracać do domu – i tak było już późno.

Kilka dni później spotkałam go na kładce. Kładka była mostem przerzuconym nad drogą szybkiego ruchu i łączącym dwie części osiedla. Szłam z Rolką po lody. Minęłyśmy go, ale zawrócił i siedł za nami. Nie zauważyłyśmy tego. Nie dostałam pieniędzy, bo przyniosłam złe stopnie, a Rolka miała tylko na jednego loda. Byłam zła i głośno o tym mówiłam. Wtedy ktoś złapał mnie za ramię. Odwróciłam się, a to był on. Powiedział, że może dać mi na loda, ale muszę iść z nim do domu, bo zapomniał portmonetki. Przez chwilę nie wiedziałam, co robić. Uśmiechał się dziwnie i pachniał rozgrzaną gumą. Spocone palce trzymające moje ramię przyklejały się do skóry. Podziękowałam grzecznie i poszłyśmy dalej.

Następnego wieczoru wracając do domu zauważyłam, że znów wszystkie światła w narożnym mieszkaniu na parterze są zapalone. Tym razem podeszłam dużo bliżej. Grubas był nie tylko spocony, ale i czerwony na twarzy. Sapał, jakby nie mógł złapać powietrza. Ręce były lekko uniesione – jakby na czymś leżały albo czymś poruszały. Wspięłam się, ciekawa, na palce, ale niechcący coś szturchnęłam i narobiłam hałasu. Spojrzał szybko w okno. Na pewno mnie poznał. Zanim zaciągnął zasłonę, zobaczyłam Lidkę. Podnosiła się z kolan. Miała spoconą, zapłakaną twarz. Ocierała ręką nabrzmiąle usta. Włosy przyklejały się jej do czoła, na którym pulsowała nabrzmiąła żyła. Spojrzała na mnie krótko, nieprzytomnie i zaraz potem uciekła z pokoju.

Nie wiedziałam, co to było, ale czułam, że powinnam mu schodzić z drogi. Po wakacjach wyprowadzili się. Złotowska z piątego, która często siedziała w oknie i wszystko wiedziała, mówiła, że każde do innego mieszkania. Pani nauczycielka z Lidką podobno zamieszkała blisko szkoły, w której uczyła. Gdzie zamieszkał Grubas – nikt nie wiedział. Do mieszkania na parterze wprowadziła się nowa rodzina z dwojgiem dzieci i wydawało się, że sprawa została zapomniana. Aż do zimy. W styczniu w czasie kolędy po mieszkaniach zaczęła chodzić policja.

Podczas kolędy sąsiedzi stali na korytarzach i głośno rozmawiali. Na którym piętrze jest ksiądz? Kiedy będzie u nas? U kogo będzie kawę pił? A u kogo coś zje? Kto nie otworzył drzwi? Tym razem poza księdzem mieszkania, w których były dzieci, odwiedzała policja. Ludzie wyszli na korytarze, podekscytowani wypatrywali – czy to ksiądz, czy policja wchodzi po schodach. I czy, jak się spotkają, to policjant powinien powiedzieć „szczęść Boże”, czy wystarczy „dzień

dobry”. Policja była też u nas. Pytali o Grubasa. Czy ze mną rozmawiał, czy zapraszał do domu i czy mnie dotykał? Wszystkiemu zaprzeczyłam, nie mogłam powiedzieć o spotkaniu na kładce, bo rodzice siedzieli przy mnie. Gdyby się dowiedzieli, że rozmawiałam z obcym, byłaby straszna awantura.

Potem się okazało, że to sąsiad z ósmego zawiadomił policję. Bo Grubas łapał jego córki za pupy i robił dziwne rzeczy. Mama dowiedziała się tego od Złotowskiej. Powiedziała, że to obrzydliwy człowiek i dobrze, że już nie mieszka w naszym domu.

Długo potem nie mogłam wieczorami zasnąć. Przed oczyma pojawiała się spocona, zapłakana twarz Lidki. Nabrzmiałe usta, które ocierała z obrzydzeniem i pulsująca na czole żyła.

Ciocia Janka

Na miejscu wyciętych wyrosły nowe drzewka – znów zasłaniając okna mieszkań na parterze.

Na pierwszym piętrze mieszkała przyjaciółka mamy, ciocia Janka. Z mężem i córką. Wujek Janusz tak jak mój tato był inżynierem i pracował na hucie. Razem jeździli do pracy i razem z niej wracali. Córka miała na imię Karolina i chodziłyśmy do tej samej szkoły, tyle że do różnych klas.

Rolka – to zdrobnienie od Karolka – była dobra z polskiego, pisała mi wypracowania, a ja pomagałam jej w matematyce. Miałyśmy szalone pomysły. Któregoś roku wakacje były brzydkie. Ciągle padało i było zimno. Postanowiłyśmy, że będziemy się bawić we wczasy nad morzem. Najpierw próbowałyśmy z koców i poduszek zbudować plażę w domu. Ale przedpokój był za mały. Wyciągnęłyśmy wszystko na korytarz – tu było dużo miejsca. Zapaliłyśmy światło, ale część żarówek nie działała. Rolka przyniosła lampkę nocną z pokoju rodziców, miała nam zastąpić słońce. Ubrane w stroje kąpielowe położyłyśmy się na kocach i zaczęły rozmawiać, jakie piękne w tym roku jest lato. Wtedy wyszedł na korytarz Jurek. Popatrzył przez chwilę, zniknął w swoim mieszkaniu i wrócił z gitarą. Stanął nad nami i zaczął grać. Zamknęłam powieki i czułam, jak słońce ogrzewa mi twarz, z daleka słychać szum morza, a przesuwanie się pod kocem ziarenka piasku łaskoczą skórę.

Lubiłam siedzieć u Rolki w stołowym. Dwie ściany od góry do dołu wypełnione były książkami. Przy trzeciej stała kanapa. Kiedy wieczorami ciocia zapalała w rogu kanapy nocną lampkę i całą resztę pokoju przykrywał cień, wydawało mi się, że w każdej z książek ktoś jest i zaraz wyjdzie, żeby się z nami, posłuchać, jak ciocia Janka czyta wiersze. W czasie czytania podnosiła wzrok i mówiła z pamięci. Wtedy widziałam w jej dużych, niebieskich oczach wszystko, o czym mówi. Zaspy śniegu, przez które brnie, nie mogąc złapać oddechu. Gęsią skórę na ciele, kiedy daje nieść się wodzie jeziora. Słyszałam zamszowy, lekko drapiący głos, który otulał ciepłym szalem.

Nawet jeżdżącej windy nie było słychać. A słychać było zawsze, bo mieszkanie do niej przylegało.

Czasami wujek Janusz – tata Rolki – wracał wcześniej z pracy. Widząc, że ciocia czyta wiersze, wychodził do kuchni i trzaskał naczyniami. Potem zaczynał krzyczeć, że jest bałagan i nie ma nic do jedzenia. Wchodził roztrzęsiony do stołowego i mówił, że powyrzuca książki. Wymykałyśmy się z Rolką do jej pokoju, a ciocia z wujkiem zaczynali się kłócić. Było coraz głośniejsze, ciocia płakała, a wujek wychodził z domu trzaskając drzwiami. Wiedziałyśmy, że idzie do mojego taty i będą pić wódkę. A jak wrócę do domu, ojciec każe mi wziąć jedną z dwóch książek, które były u nas i czytać na głos. Zawsze ten sam fragment, który zaczynał się słowami „Już w gruzach leżą Maurów posady...”. Kiedy skończę, będzie miał nieprzytomne oczy, zacznie płakać, że dziadek kazał mu być inżynierem, a on chciał być maszynistą lokomotywy.

Zacznie krzycheć na mamę, że zniszczyła mu życie i będziemy znów razem spały na moim wąskim tapczaniku. Ale wszystko to było warte tych ciocinych wierszy. Zamykałam oczy i widziałam zażawione, nieprzytomne oczy ojca, który chciał, żebym tak jak on została inżynierem. Potem słyszałam głos cioci i widziałam jej oczy – pełne obrazków. To mnie uspakajało. Ja chciałam być dziennikarką i wiedziałam, że będę.

Rolka była niższa ode mnie, miała ładniejsze nogi i niebieskie oczy tak jak jej mama. Długie blond włosy często splatała w warkocze. Lubiła siedzieć na podeście przed klatką i patrzeć w niebo. Uśmiechała się do gwiazd i robiły jej się w policzkach dołki. Kiedy była zakochana, siedziałyśmy na podeście prawie każdego wieczoru. Zakochana była często i zawsze otoczona gromadą wielbicieli. Nie wiedziałam, czemu tak jest. Czy to uśmiechnięte dołki, czy duże niebieskie oczy? Zazdrościłam jej. Na mnie nikt nie patrzył rozmydłym wzrokiem. Raz jeden się ze mną umawiał, nawet zaczęłam wtedy nosić spódnice. Potem okazało się, że robił to, bo chciał być blisko Rolki. Bardzo mnie to zabolalo i byłam na nią zła. Wtedy pierwszy i ostatni raz zachowałam się jak świnia i do dziś tego żałuję. Nie wiedząc, co zrobić z gniewem i zazdrością, posłam do wujka Janusza i powiedziałam, że Rolki nie było na religii, bo umówiła się z chłopcem. Była wielka awantura. Potem obydwie spały u nas. Rolka ze mną na wąskim tapczaniku. Długo dziękowała mi, że jestem – a ja całą noc nie mogłam spać, bo dusiłam się wyrzutami sumienia.

Kiedy pojawił się Serdel, nie mogłam powiedzieć jej prawdy. Rolka by tego nie zrozumiała. Powiedziała by, że się nie szanuję. Ona nie pozwoliłaby dotykać się facetowi, który mówi, że przychodzi odpocząć od własnych problemów, a nie słuchać o moich. W ogóle nie pozwoliłaby się dotykać. Najpierw musiałaby być faza mgieł unoszących się nad zaspanym miastem. Potem wróblu stukających smutno w parapet i pewności, że tylko ona i to na całe życie. Ja nie potrzebowałam poezji. A może potrzebowałam, ale dużo ważniejszy był dotyk. Po nim czułam się tak, jakby ktoś w ciasnym mieszkaniu otworzył wreszcie okno i wypełniało mnie świeże powietrze.

Rolka często spała z mamą u nas albo my z mamą u nich. Ciocia Janka była mi bliższa niż prawdziwe ciocie. Bez niej i bez Rolki nie wyobrażałam sobie życia.

Pamiętam, że to był wigilijny wieczór. Wujek Janusz pojawił się u nas bardzo późno i do tego sam. Przyniósł dwie butelki wódki. Siadł w stołowym, milczał przez chwilę, a potem powiedział, że ciocia Janka wzięła Rolkę i się wyprowadziły. Znalazła jakiegoś gacha, z którym – jak mówiła – w końcu będzie mogła czytać wiersze. Siedzieli obydwaj z ojcem, narzekając na niewdzięczność kobiet. Że udają święte, a są ladacznicami. I że w Wigilię nawet bezdomnych nie zostawia się samych, a zostawić męża to taki sam grzech, jak złamać małżeńską przysięgę. W końcu obydwaj zasnęli. To akurat było dobre, bo inaczej ojciec całą złość na kobiety wypławałby na nas, a tym razem nie miałyśmy dokąd uciec. No i nie musiałam na głos czytać książki.

Czekałam na koniec ferii świątecznych, żeby zobaczyć Rolkę. Dowiedzieć się, co się dzieje. Pojawiła się w szkole, uściskała mnie ze łzami w oczach, mówiąc, że mama chyba zwariowała. Mieszkały teraz u babci, u niej spędziły święta. I to były najgorsze święta w jej życiu. Mama cały czas płakała, że nie widzi tamtego. On jest żonaty i był z rodziną. Po świętach pojawił się z kwiatami i już było dobrze. Ciocia Janka do końca dnia chodziła w skowronkach, mówiąc, że jest miłością jej życia. Babcia nic się nie odzywała, tylko kręciła głową i wznosiła wzrok do sufitu. Potem przez kilka dni odbierał ją z pracy i przywoził późnym wieczorem. Wczoraj wróciła zapłakana. Dziś została w domu, mówiąc, że od niego odchodzi. Rolka nie miała pojęcia, co będzie dalej. Siedziałyśmy myśląc, że miłość jest jednak ciężką sprawą.

Miłość cioci Janki trwała do ferii zimowych. Potem wróciła do wujka Janusza. Ale nie było dobrze. Coraz częściej spały u nas. Któregoś wieczoru rozległo się mocne walenie w drzwi. Ktoś przyciskał guzik dzwonka. Byłam sama w domu i trochę się bałam. Ale w końcu posłam

sprawdzić, bo po drugiej stronie drzwi ktoś dobijał się jak na alarm. To była Rolka. Bielsza niż ściany korytarza. Zresztą może mi się wydawało, bo ściany były brudne. Patrząc przerażona wyszeptala „on ją zabije”. Ogarnął mnie strach. Chwyliłam klucze od mieszkania i razem z Rolką zbiegłam na pierwsze piętro. Takiego wujka Janusza jeszcze nie widziałam. Zrzucił z półek książki, a jak ciocia Janka próbowała go powstrzymać, bił ją po twarzy. Zsuwała się na fotel, wtedy krzyczał, że jest „ostatnią kurwą”, po czym dalej brał się za książki. Pomyślałam, że może to wujek Janusz jest autorem świeżego napisu, który przed kilkoma dniami pojawił się na ścianie dużej windy: „ostatnia kurwa”, i rysunku twarzy z otwartymi ustami i rozszerzonymi oczami. Wtedy Rolka chwyciła mnie mocno za ramię i wróciłam na ziemię. Poczulałam przerażenie i gorączkową gonitwę myśli, co robić. Rolka tymczasem – widocznie ze mną czując się pewniej – próbowała rozdzielić rodziców. Wtedy wujek zaczął w nas rzucać książkami. Wpadł mi do głowy pomysł, żebybiec na trzecie, do pani Iwony. Była pielęgniarką. Może da mu jakiś zastrzyk i go uspokoi. Pobiegliśmy szybko z Rolką do niej. Pukałyśmy, ale nikt nie otwierał. Potem zaczęliśmy walić. Było późno, ale przez szparę u dołu drzwi wypadła smużka zapalonnego w mieszkaniu światła. Nie pamiętam, która z nas nacisnęła klamkę, ale drzwi się otworzyły. W obydwu pokojach i w kuchni były zapalone światła. Pani Iwona siedziała w kuchni przy stole. Przed nią stała szklanka z wodą, a do niej wrzucone tabletki. Wpatrzona w okno nie słyszała nas, mimo że obydwie zaczęliśmy krzyczeć. Dopiero gdy Rolka mocno szarpnęła ją za ramię, ocknęła się. Długo trwało, zanim oczy zrobiły się przytomne, zaczęło pojawiać się w nich przerażenie. Dobrze – bo ta chwila trwała wieki i moja wystraszona wyobraźnia już malowała obrazki, na których ciocia Janka nie wstaje z fotela, a duże, niebieskie oczy powoli się zamykają. Zerwała się z krzesła, chwyciła w przedpokoju jakąś białą torbę i zbiegła z nami na pierwsze. Ciocia rzeczywiście nie wstawała już z fotela, ale oczy miała otwarte. Wujek stał nad nią i krzyczał, a nogi pod nim się ugiwały. Pani Iwona wcisnęła mi w rękę białą torbę. Podeszła do chwiejącego się wujka i uderzyła go w twarz, z jednej i z drugiej strony. Spojrzał na nią wściekle i podniósł rękę z zamiarem oddania ciosu. Ale wtedy dostał w twarz trzeci raz i upadł na podłogę. Pani Iwona zadzwoniła po pogotowie, które zabrało ciocię do szpitala. Chciała wezwać policję, ale ciocia się nie zgodziła. Po kilku dniach wróciła do domu. Przez pierwsze noce spałam u nich, bo Rolka mnie prosiła. Wyglądało jednak na to, że wujek się uspokoił.

Powoli wszystko wracało do normy. Było prawie jak dawniej. Przychodzili do nas na imieniny, a my do nich. Ja spałam u Rolki, ona u mnie. Tylko książki z pokoju stołowego zniknęły. Pomagałam je pakować do kartonów, a później wynosić do piwnicy. No i ciocia przestała czytać nam wiersze. Czasami, kiedy byłam u Rolki, a wujka Janusza nie było – widziałam, jak siedzi patrząc w okno. Wydawało mi się, że widzę w szeroko otwartych oczach obrazki. Uśmiechniętą, spoconą twarz z kosmykami włosów przyklejającymi się do policzków. Albo smutną, zapłakaną, drżącymi dłońmi zaciskającą wokół szyi wełniany szal, chroniący przed szalejącym wiatrem. I prawie czułam ten wiatr na twarzy.

Wujek przychodził do nas na wódkę, ale już nie rozmawiali o kobietach. Głównie o tym, że życie jest parszywe, a marzenia są dla naiwnych. Potem znowu musiałam czytać „Już w gruzach leżą Maurów posady...”. Tylko teraz tata pilnował, żeby mama nie słyszała i kazał jej wychodzić do kuchni. Bo jak mówił – trzeba uważać, żeby jej od poezji, tak jak cioci Jance, nie odbiło. Na koniec płakał, że nie jest maszynistą lokomotywy i zasypiał. Życie toczyło się dalej.

Dziecko szczęścia

Jurek grał na gitarze. Nosił kwieciste koszule. Kiedy szedł, wyglądało jakby miał w stopach sprężynki. Ledwo dotykał palcami podłoża, a całe ciało podskakiwało – łącznie z tyśiącem

loczków ozdabiających jego głowę. Chodził zawsze zgarbiony, tak jakby brzuch uciekał przed bolesnym ciosem. Był w wieku moich rodziców, ale my – wszystkie blokowe dzieci – mówiliśmy do niego po imieniu. Nie można go było traktować poważnie. Niewiele z nim rozmawialiśmy. Za każdym razem wydawało się, że jest nieobecny. Tylko kiedy mowa była o graniu na gitarze, podróżach autostopem i karierze, która na niego czeka – wtedy był obecny. Zawsze pachniało od niego alkoholem. Tata mówił, że jest alkoholikiem. Kiedy spytałam, czy on sam też jest alkoholikiem, bo przecież wciąż pije, odpowiedział, że nie. Że on nie musi pić, ale pije, bo lubi, więc mogę myśleć, że jest pijakiem. A Jurek pewnie już nie lubi, ale musi.

Mieszkała tak ja, na drugim, razem z matką. Ona też pachniała alkoholem. Widocznie była to rodzinna przypadłość. Lubili gonić się po korytarzu. Albo pani Wiesia z wałkiem do ciasta goniła Jurka, krzycząc, że alkohol go zgubi, a niepłacone alimenty posadzą w więzieniu. Albo Jurek z patelnią w rękę gonił matkę, krzycząc, że przepija ciężko zarobione przez niego pieniądze i chyba będzie musiał przywiązywać ją do kaloryfera, kiedy wychodzi z domu. Musiało być u nich bardzo gorąco, bo za każdym razem biegali po korytarzu tylko w białym. Często słychać było zza zamkniętych drzwi, jak Jurek gra na gitarze. Było w tym coś niezwykłego. Czułam, jakby szarpał strunami moją duszę i uwalniał wszystkie głęboko schowane smutki. Potem budziły się tęsknoty. Chciałam tańczyć. Kiedy akurat byliśmy z Rolką razem, robiłyśmy to bezszelestnie na korytarzu. Dźwięki dodawały lekkości, palce prawie nie dotykały podłoża, a ręce miękko malowały w powietrzu kolorowe plamy. Potem czułyśmy się lekkie i pewne, że wszystko będzie dobrze.

Pojawił się pod drzwiami pani Wiesi z walizką i gitarą – kiedy żona wyrzuciła go z domu. Pani Wiesia przyszła potem do nas czegoś pożyczyć i opowiadała mamie, jaka z tej żony zła kobieta. Wiadomo, że jak chłop zmęczony po pracy, to musi się napić. A jak się napije, to przestaje myśleć i za innymi babami się ogląda. A że rękę podniesie? Kobięcie czasami trzeba przyłożyć, bo inaczej w babską histerię wpada, a na to ratunku nie ma. Przychodziła coraz częściej i buzia jej się nie zamykała. Aż w końcu mama spytała, co z jej mężem się stało. Powiedziała, że ona chłopca nie potrzebuje, Jureczek jej wystarczy, zrobiła obrażoną minę i więcej nie przychodziła. Złotowska z piątego mówiła, że pani Wiesia za młodu zabawowa była i sama nie wie, kto ojcem Jureczka jest. A jego żona wyrzuciła, bo całe wypłaty przepijał i chłopcu też alkohol dawał.

Widziałam tę żonę kilka razy. Nie wyglądała na czarownicę. Kojarzyła mi się z obłokiem, co latem pojawia się na niebie, obiecując ładną pogodę. Długowłosa, jasna blondynka z niebieskimi oczami i uśmiechniętymi dołeczkami na twarzy. A synek wyglądał zupełnie jak ojciec, tylko sprężyste loczki były jasnego koloru. Kiedy ze sobą rozmawiali, to było w tym coś tak ładnego, że ścisnęło w piersiach – zupełnie jak ta Jurkowa gra na gitarze. Potem przestała przychodzić, a Złotowska powiedziała, że złożyła pozew rozwodowy. Jurek pił coraz więcej. Po jakimś czasie zaczął przychodzić komornik z policją, a pani Wiesia opowiadała sąsiadom, że wszystkie pieniądze chce z Jureczka wyskubać i z dzieckiem nie pozwoli się widywać. Zdarzało się, że Jurek nie miał sił zapukać i spał na wycieraczkę pod drzwiami mieszkania. A może po prostu bał się wałka?

Aż przyszedł dzień cudu. Był wczesny poranek. Czekaliśmy na windę – ja, mama i Jurek. Widać było, że miał za sobą ciężką noc. Ręce mu się trzęsły, oddychał ciężko i pachniał kwaśnym winem. Winda przyjechała, Jurek otworzył drzwi i miał do niej wejść, kiedy nagle zaskrzygotało tak, że aż zatkało mi uszy i ze strachu stanęło serce. Potem winda wydała dźwięk – jakby tysiące noży przejechało mocno po szybach – aż usta wypełniły się śliną. Coś huknęło i winda zaczęła opadać w dół. Zsunęła się do połowy piętra i tak została. Nikomu nic się nie stało. Reperowali ją potem i przez miesiąc wieżowiec miał tylko jedną czynną windę.

Dla Jurka był to omen. Tego dnia przestał pić, a krótko potem wyprowadził się od mamy. Pani Wiesia nie trzeźwiała. Wracając ze sklepu z siatkami pełnymi butelek krzyczała, że ta suka zmarnowała jej syna. Przez jakiś czas jej nie widziałyśmy, a kiedy znów się pojawiła – była trzeźwa. Którejś niedzieli zobaczyłam, jak pani Wiesia razem z Jurkiem i jego rodziną idą do kościoła. Nie widziałam go dość długo. Trzymali się z żoną mocno za ręce i było między nimi coś takiego, że od razu przypomniało mi się, jak grał na gitarze. A ja czułam, że struny szarpiają moją duszę i wychodzą z niej najgłębiej pochowane uśmiechy.

Pani Iwonka

Pani Iwonki nie widziałam od czasu ratowania cioci Janki. Ale nie było w tym nic dziwnego. Pracowała w szpitalu, miała nocne dyżury i często w dzień odsypiała.

Tego dnia byłam zmęczona i postanowiłam jechać windą. Już zamykałam wewnętrzne drzwiczki, kiedy ktoś chwycił za drzwi główne. Do windy weszła pani Iwonka. Widząc mnie, zmieszała się trochę. Po chwili jednak uśmiechnęła się i powiedziała „dziękuję”. Nie bardzo wiedziałam, za co. To ja powinnam jej podziękować. Nagle pani Iwonka zaczęła płakać, że gdyby nie my, to... – dalej nie zrozumiałam. Wystraszyłam się, pierwszy raz płakała przy mnie obca dorosła osoba. Przytuliłam ją, ale to tylko pogorszyło sytuację. Do tego winda stanęła między pierwszym a drugim piętrem i nie chciała ruszyć.

Przypomniały mi się zajęcia z psychologiem w szkole o tym, jak wyrzucać złe emocje. Nabrać powietrza, wyciągnąć przed siebie ręce i wypuścić je, wydając jakiś dźwięk, np. „bum”. Spojrzałam na nią, ale w tym wypadku to by nie pomogło. Zresztą nie zawsze pomagało. Czasami dobrze było walić pięściami w poduszki, ale byliśmy w windzie – jak zaczniesz walić w ściany, to ta cholerna winda może się urwać. Wpadłam na inny pomysł. Wyjęłam z plecaka długopis i mówię do niej, żeby pomyślała o jakimś zdaniu, którego w życiu nie wypowiedziałaby na głos. A później niech napisze je na ścianie. Ona do mnie, że lepszy jest flamaster. Powiedziałam jej, że długopis lepszy, bo trzeba siły, żeby wydrapać, a flamastrem nic się nie czuje. Wzięła ode mnie długopis, odwróciła się, chwilę zastanowiła, po czym wydrapała na ścianie „chuj ze wszystkim”. Już nie płakała, nawet się uśmiechała. Też się uśmiechnęłam, bo wiedziałam, jak dobrze się człowiek po czymś takim czuje.

Mimo że dobrze się skończyło, czułam niepokój. Po powrocie do domu opowiedziałam o wszystkim mamie. Oczywiście nie o drapaniu ściany, ale o tym, że pani Iwonka płakała. Zamyśliła się, mówiąc, że już wcześniej zauważyła, że pani Iwonka jest samotna. Nic nie powiedziałam, pomyślałam tylko, że mama pewnie nie widzi, że sama jest samotna. Ale z panią Iwonką miała rację. Nie chodziła w niedzielę do kościoła i miała długie paznokcie, pomalowane na ładny kolor. Poza tym zawsze chodziła na obcasach i nosiła krótkie spódnice. Wszystko razem powodowało, że trudno było jej w wieżowcu znaleźć przyjaciół. Wiem, bo sama słyszałam rozmowy w windzie i na korytarzach. Ludziom nie podobały się te krótkie spódnice i długie paznokcie. Mama postanowiła zaprosić ją na kawę.

Bardzo byliśmy z Rollką ciekawe, o czym będą rozmawiać. Mama specjalnie na tę okazję upiekła ciasto i postawiła na stole wino. Tato miał wrócić późno, więc cały wieczór miały dla siebie. Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, kazała nam iść do mojego pokoju i nie wychodzić. Poczekaliśmy, aż zamkną za sobą drzwi kuchni i zaczną rozmawiać. Wystarczyło się cicho pod drzwiami – szpara między nimi i podłogą była szeroka i wszystko było słychać. Tak zrobiliśmy. Na początku było bardzo grzecznie. Pani Iwonka zachwycała się ciastem i wyborem wina, które nie było za słodkie i świetnie się komponowało z wypiekiem. Później alkohol je trochę rozluźnił i zaczęły obgadywać sąsiadki. W końcu pani Iwonka zaczęła dziękować, mówiąc,

że gdybyśmy wtedy nie przyszły, to kto wie, czy nie zrobiłaby czegoś głupiego. Spojrzałyśmy z Rolką po sobie zdziwione, nie wiedząc, o co chodzi.

Pani Iwonka miała w pracy koleżankę. Jej mąż zakochał się w pani Iwonce i odszedł od żony. Potem rozeszli się i nie wrócił, więc nie było to powodem rozpadu małżeństwa. Tamta twierdziła jednak uparcie, że to Iwona zrujnowała jej życie i robi wszystko, żeby ją zniszczyć. Ostatnio, wykorzystując nieuwagę, podmieniła leki, przez co jeden pacjent został przewieziony na intensywną terapię. Pani Iwonka się broni, ale nie ma dowodów. Jest tak zmęczona tym wszystkim, że tamtego wieczoru chciała ze sobą skończyć. Przyniosła ze szpitala leki i kto wie, czy nie zrobiłaby tego, gdybyśmy nie zapukały do drzwi.

Spojrzałam na Rolkę przerażona, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszałam. Przypomniała mi się szklanka z wodą stojąca na stole, pełna kolorowych tabletek. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak trzeba się czuć, żeby rozważać coś takiego.

Kiedy Serdel mnie zostawił, bolało przy każdym oddechu. Tak że aż zwijałam się w kulak, przyciskając kolana mocno do brzucha i myśląc, że to się nie skończy. Wszystko wydawało mi się beznadziejne. Ale taka myśl nie przyszła mi do głowy.

Mama powiedziała pani Iwonce, że dobrze się stało. Potem zaproponowała, że skontaktuje ją ze znajomym prawnikiem, bo nie można tej sprawy tak zostawić.

Tym razem wszystko dobrze się skończyło. Spotykały się coraz częściej, a mama zaczęła nawet malować paznokcie. Ale nie zawsze w naszym wieżowcu wszystko kończyło się dobrze.

Sądecy

Spotykałam ją często w windzie. Mieszkała na czwartym i miała na imię Dorota. Trudno było jej nie zauważyć. Miała kasztanowe włosy i wielkie, brązowe oczy. Wyglądały jak orzechy w babcinym keksie. I zawsze były smutne. Przyjaźniła się z bliźniaczkami z szóstego. Wszędzie chodziły razem. Później, jak skończyły podstawówkę i one poszły do liceum, a Dorota do technikum krawieckiego – przyjaźń się skończyła. Nikt nie wiedział, dlaczego.

Kilka razy spotkałyśmy się na schodach i zawsze wyglądało to tak samo. W domu była awantura, zapłakana zatrzaskiwałam za sobą drzwi i biegłam na półpiętro na schody, obiecując sobie, że ucieknę stąd i nigdy nie wrócę. Na schodach siedziała Dorota, ocierająca łzy. Siadałam obok, próbując złapać oddech, a ona obejmowała mnie ramieniem, mówiąc, że dam radę. Nigdy nie rozmawiałyśmy, co u której się stało i dlaczego tu jest. Siedziałyśmy przez chwilę, potem bez słowa ścisaliśmy się i rozchodziły do mieszkań. Było ciężko i każda wiedziała, że jakby co, to są te schody.

Tak naprawdę rozmawiałyśmy tylko raz. Winda się zacięła i stała między piętrami półtorej godziny. Najpierw stałyśmy bez słowa. Ale jak długo można analizować zdanie „jechać Żyda” i liczyć ramiona gwiazdy, kiedy wiadomo, że jest ich sześć? W którymś momencie Dorota powiedziała, że jej rodzice się rozwodzą. Nic się nie odezwałam. Bo niby co miałam powiedzieć? Że chciałabym, żeby moi też się rozwiedli i wtedy zostałabym z mamą? Powiedziała, że tata z siostrą się wyprowadzają.

Znałam jej rodzinę z widzenia. Sądecy nie chodzili do kościoła, ale zawsze w niedzielę szli na przystanek autobusowy, żeby jechać odwiedzić babcię, która mieszkała w centrum miasta. Dziwnie wyglądali – niby razem, ale jakby nic ich nie łączyło. Pan Sądecki przypominał aktora grającego w serialu o kancelarii adwokackiej. Siostra Doroty wyglądała jak z amerykańskich filmów o bogatych dzieciach. Mama kojarzyła się ze sklepową z warzywniaka Wiśniewskiego i zawsze szła za mężem. Dorota przy mamie, a jak była starsza, to całkiem obok, oddzielnie. Tylko oczy było widać, duże i smutne, jak orzechy z babcinego keksu.

Nie tylko mnie wydawało się to dziwne. Sąsiadki rozmawiały, że tych dwoje w ogóle do siebie nie pasuje, jak z różnych bajek.

Niby nie byliśmy blisko, ale tylko ja wiedziałam o rozwodzie. I tylko ona wiedziała, że boję się, że jestem w ciąży. Serdelowi pękła prezerwatywa, a mnie spóźniał się okres. Z Rolką nie mogłam na ten temat rozmawiać. Dla niej miłość była czysta, a seks po ślubie. Wiersze i motylki latały jej przed oczyma, a gumka była absolutnym tabu. Dorota zrozumiała. Powiedziała, że nie mam co panikować, bo stres może zatrzymać. A jakby co, to ona mi pomoże załatwić problem. Potem dostałam okres, Serdel odszedł ode mnie i więcej na ten temat nie rozmawialiśmy.

Byliśmy w połowie szkół średnich, kiedy z Dorotą zaczęło dziać się coś dziwnego. Coraz rzadziej spotykałam ją na schodach. Coraz częściej wieczorami widziałam ją na huśtawkach z jakimiś podejrzanymi typami. Na osiedlu mówili, że to ćpuny, a jeden nawet w więzieniu siedział. Wąchali klej. Potem do mieszkania mamy Doroty wprowadził się mężczyzna. Znów spotykałyśmy się na schodach, ale było już inaczej. Ona siedziała z woreczkiem i śmierdziało butaprenem. Kilka razy dała mi, mówiąc, że to jest fajne, bo robi się wszystko jedno. Nie spróbowałam, bo się bałam. Któregoś razu wybiegłam na schody i siedziała, ale nie z woreczkiem, tylko ze strzykawką. Miała zaciśniętą pięść i uderzała szybko palcami w przegub, aż wyjdzie żyła. Wtedy wbiła strzykawkę. Kiedy skończyła, zauważyła mnie. Uśmiechnęła się i powiedziała „Cześć, to ty jeszcze żyjesz?”. Nic nie odpowiedziałam. Patrzyłam przerażona w keksowe orzechy, które były coraz ciemniejsze. Ich ciemność ciągnęła mnie jakby chciała wessać w jakąś czeluść. Zaczęłam bać się Doroty i jej unikać. Wspomnienie nieobecnego wzroku wzdrygało mną – chciałam zapomnieć.

Któregoś wieczoru ktoś zadzwonił do drzwi. Mama otworzyła, a za drzwiami stało kilkoro sąsiadów zbierających na kwiatki pogrzebowe, bo Dorota umarła. Mama wygoniła mnie do pokoju. Zdążyłam jeszcze usłyszeć, że przedawkowała. W nocy nie mogłam spać. Wiele razy zbierane było w wieżowcu na pogrzeb, ale wszystko to byli staruszkowie, których nawet nie kojarzyłam. Tym razem leżałam w łóżku, myśląc, jak to jest – kiedy cię już nie ma. Zaczęłam się zastanawiać, czy jak mnie tu nie będzie, to czy będę mogła chociaż przyglądać się toczącemu się życiu... chociaż tyle...

Na pogrzebie nie było ojca Doroty ani jej siostry. Dziwny był ten pogrzeb. Patrzyłam na opuszczaną trumnę i myślałam o tym, czy Dorota miała marzenia. Nie wiedziałam, nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Wtedy postanowiłam sobie, że zrobię wszystko, żeby moich marzeń nie zgubić.

Mamę Doroty spotkałam po kilku tygodniach. Była wysuszona i zapadnięta. Patrzyła na mnie, nic się nie odzywając. Dopiero jak lzy zaczęły szklić jej oczy, takie jak u Doroty, duże i brązowe, zapytała:

- Ksiądz powiedział, że na uzależnienia nie ma rady. Miał rację? Skinęłam bez słowa głową.
- Przecież zrobiłam wszystko, co można. Tak?
- Znów tylko skinęłam głową, bo nie wiedziałam, co powiedzieć.

Jadzia i Tomek

Lubiłam u Rolki jeść. U mnie w domu wszystko było kwaśne i wcale mi nie smakowało. U niej było delikatne, po jedzeniu zawsze czułam spokój. Najsmaczniejszy był rosół, w którym pływały kawałki kurczaka. Moja mama dodawała wołowinę i musiałam się zmuszać, żeby przełknąć. Lubiłam też, kiedy było u niej pranie. Siedziałyśmy w łazience na posegregowanych kupkach ubrań, pralka kręciła się i pachniało zmiękczacem do tkanin, najczęściej lenorem.



Wojciech Kołsut, „Zegarmistrz wenecki”, technika własna

Ciocia Janka przychodziła do nas co jakiś czas mówiąc, że nam się dziwi. W mieszkaniu jest tyle miejsca, a my siedzimy na podłodze w łazience. Ale co miałyśmy zrobić, kiedy wilgotne, pachnące powietrze szybciej ocierało łzy, a marzenia wydawały się łatwiejsze do spełnienia.

Tylko w łazience, kołysane zapachem morskiej bryzy mogłyśmy uwierzyć, że ja kiedyś będę lekarzem, a Rolka dziennikarką. Będziemy dorosłe i szczęśliwe.

Rolka przez chwilę była zakochana w Tomku. Mieszkał na piątym. Jechali windą i razem niechcący dojechali na dziesiąte. Bogu dzięki, że on powiedział, że się zagapił, bo Rolka mogła przyznać, że ona też.

Siedząc na kupkach bielizny w łazience słuchałam, jak mówi, że wszystkie znaki pokazują, że to ten. Na przykład wpadali na siebie na ulicy. On zauważył, że ona trzyma w ręku tomik wierszy i powiedział, że też lubi poezję. Nic się nie odzywałam, bo nie chciałam jej robić przykrości. Ale nie było zrzędzeniem losu wpaść u nas na osiedlu na siebie na ulicy. Szczególnie kiedy było się zakochaną Rolką, która nawet w ciągu dnia szukała gwiazd na niebie. Później zobaczyła go kilka razy z Jadźką. Rozzłoszczona powiedziała, że Jadźka jest płaska jak deska i zachowuje się jak facet, więc to czytanie wierszy nic mu nie dało.

Jadzia mieszkała z rodzicami i siostrą na ósmym. Lubiła grać w piłkę nożną. Moim zdaniem była dziwna. Nie wyprowadzałam Rolki z błędu, że przecież nie biust czyni kobietą. Ale jak z Jadźką rozmawiałam, to nie wiedziałam, czy jak z chłopakiem, czy jak z dziewczyną. No... ale była starsza i niewiele ze sobą miałyśmy wspólnego. Rolce zaczęło przechodzić, a ja byłam zadowolona, bo Tomek już pracował i według mnie był dla niej za stary.

Rodzice Jadźki mieli sklepik. Sąsiedzi kupowali tam wiejskie jajka i ręcznie robione białe sery. Zawsze pachniało świeżym koperkiem. Kiedy Jadźka z Tomkiem zaczęły ze sobą chodzić – drzwi do sklepu się nie zamykały, ciągle było pełno ludzi. Bo Jadźka była z Tomkiem w kościele. Rodzice byli protestantami. Nikt nie wiedział, co to znaczy, ale było to inne, czyli złe. Wystarczyło, że Jadźka pojawiła się w kościele i już cała rodzina była „swoja”.

Ksiądz ogłosił na ambonie datę ślubu i wieżowiec zaczął się przygotowywać. Ślub był tematem głównym. Wszyscy o nim rozmawiali, w windzie i na korytarzach. Byli zdziwieni, że tych dwoje tak długo w jednym bloku mieszkało i dopiero teraz się odnalazło. Niektórzy nie wierzyli w uczucie – mówili, że Tomek na pieniądze idzie. Bo rodzice panny młodej interes mają. Inni oburzeni protestowali, że z tym sklepikiem to ledwo koniec z końcem wiąże i że to Jadźka Tomka przygarnęła, jak mu matka rok wcześniej w Wigilię zmarła.

Słuchałam zdumiona, że ludzie tyle wiedzą. Ciekawie, co wiedzą o mnie i o tym, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami naszego mieszkania. Ale tego się przecież nie dowiem.

Nie wiedziałam, ile w tym, co mówią, prawdy. Nie wierzyłam, że Tomek leci na pieniądze, bo czytał wiersze, więc musiał być uczciwy. Ale że Jadźka miłosierna i kogoś cierpiącego przygarnia, wydało mi się jeszcze mniej prawdopodobne. W domu też o tym mówiono. Mama stwierdziła, że Jadźka na pewno jest w ciąży. Powiedziałam o tym Rolce. Wiedziałam, że się oburzy – z tym swoim wielbieniem cnoty i czystości aż do ślubu. Zrobiłam to specjalnie, żeby łatwiej jej było ten ślub przelknąć. Była dzielna – udawała, że jej to nie obchodzi, ale ja wiedziałam swoje.

W wieżowcu wrzało. Powstał komitet blokowy. Któregoś wieczoru pod drzwiami stała grupka sąsiadów. Tym razem uśmiechniętych – w końcu to nie pogrzeb. Zbierano pieniądze na dekorację domu i prezent dla młodej pary. Był to pierwszy ślub w blokowej rodzinie. Odtąd o Jadźce i Tomku mówiono „nasze dzieci”.

Nadszedł ten dzień. Sto dziesięć rodzin poszło do kościoła. Piętra udekorowano girlandami i balonikami. Windy błyszczały złotymi wstążeczkami. Napisu „jebać Żyda” nie dało się ukryć.

Przyjęcie nie było planowane. Sąsiedzi utworzyli małe grupki libacyjne. Bo oblać trzeba było. Ugruntować procentami, żeby małżeństwo trwałe było. Wódka się mroziła.

Pierwszy raz widziałam Jadźkę w sukience. Żadnego brzucha nie widziałam, więc mama chyba się myliła.

Był upał, w kościele nie było czym oddychać. Ksiądz skrócił ceremonię, a potem wszyscy razem poszliśmy do wieżowca. Prezenty zostały rozdane, kwiatki wręczone. Rodzice panny młodej przeszli po piętach z butelkami i kieliszkami, wznosząc z sąsiadami toasty. Pani Iwonka poszła do pracy, bo miała dyżur. Reszta sąsiadów w grupkach porozchodziła się do domów. Było tak gorąco, że nagrzana wielka płyta pociła się mimo pootwieranych okien i przeciągu. Ludzie zaczęli wystawiać stoliki na korytarze.

Do nas na drugie przyszedł wujek Janusz z cocią Janką. Pani Krysia, przedszkolanka, która mieszkała po drugiej stronie piętra – wyniosła na korytarz krzesła i sałatki. Jurek, który mieszkał z mamą w największym mieszkaniu, ale bez balkonu – wyniósł gitarę.

Było już bardzo późno, kiedy na drugim piętrze pojawił się wystraszony i nie całkiem trzeźwy Tomek. Spytał, czy nie widzieliśmy Jadźki. Szuka jej od godziny i zaczyna się martwić. Sąsiedzi mieli kolejne zadanie – znaleźć pannę młodą. Tomek powiedział, że rodzice Jadźki są na piątym i też nie wiedzą, gdzie jest córka. Ktoś wpadł na pomysł, żeby sprawdzić w mieszkaniu na ósmym. Może Jadźka tam uciekła. Kilku sąsiadów poderwało się, żeby wspierać Tomka. Podeszli do windy, a winda zacięta. Stała gdzieś między piętami. Na ósme na nogach nikt nie miał siły wchodzić. Pan Henio z siódmego powiedział, że on może pomóc. Trzeba przeczyszczyć olej, żeby ruszyła. On ma w piwnicy narzędzia – nigdy tego nie robił, ale można spróbować. Poszli całą grupą do piwnicy, a kiedy wrócili, winda ruszyła. Zatrzymała się na drugim. Drzwi się otworzyły.

W środku była Jadźka z panią doktor z dziewiątego. Obydwie nagie. Całowały się, pani doktor pieściła dłonią pierś Jadźki tak, że aż mnie dreszcz przeszedł. Odwróciłam głowę, żeby nie patrzeć, co dłoń Jadźki robi między udami pani doktor. Były sobą pochłonięte. Chyba same zatrzymały windę i nie zauważyły, że znów ruszyła, zatrzymała się na piętrze i że nie są same. Stojący przed otwartymi drzwiami windy ludzie nagle otrzeźwieli. Tomek zaczął wrzeszczeć „ty kurwo”, rzucił się na Jadźkę z pięściami, a potem złapał za ramiona i uderzając nią o ścianę krzyczał, że teraz wie, dlaczego mu nie chciała dać. Pani doktor złapała sukienkę, wyslizgnęła się z windy i chciała uciekać, ale mężczyźni złapali ją jeszcze na piętrze. Pan Henio trzymał jej rękę, a wujek Janusz, krzyżąc „ja ci przypomnę, po co babie dziura”, ściągał spodnie. Ciocia Janka próbowała go uspokoić, ale zamachnął się na nią tak, że upadła z zakrwawioną twarzą. Reszta sąsiadów próbowała odciągnąć Tomka od Jadźki, w końcu Jurek uderzył go gitarą. Ktoś zadzwonił po policję. Przyjechało też pogotowie.

Patrzyłyśmy z Rolką po sobie, nie mogąc wykrztusić słowa. Czulałam, że drżą mi nogi i jest mi zimno. Chwyciłam stojącą na stole prawie pełną butelkę wódki, złapałam oszołomioną Rolkę za ramię i pociągnęłam za sobą, myśląc, że musimy na powietrze – na podest przed klatką. Pomyślałam, że może te jej gwiazdy nam pomogą.

Na zewnątrz było trochę chłodniej i cicho. Milczałyśmy, patrząc w niebo. Po chwili Rolka szepnęła tak cicho, że nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam – że z nią też próbowała. W pierwszej chwili nie wiedziałam, o co chodzi, później się domyśliłam, ale nie wiedziałam, która – Jadźka czy pani doktor. Bałam się przerywać, bo czulałam, że Rolkę dużo kosztuje mówienie o tym. Wypiliśmy po dwa łyki wódki i zaczęła mówić dalej.

Utknęły w windzie. Ona i pani doktor. Rolka miała klaustrofobię, więc po kilka minutach zaczęło brakować jej oddechu. Pani doktor kazała jej usiąść na podłodze i podała papierową torebkę. Przyłożyła do twarzy, kazała trzymać, mówiąc, że zaraz przejdzie. Najpierw głaskała ją

po głowie i po twarzy – to było przyjemne, tak robiłaby mama. Później po ramionach, ledwie muskając piersi. Rolka poczuła się nieswojo. Sama nie wiedziała, co czuje. Potem objęła w tali, szepcząc, że wszystko będzie dobrze. Kiedy położyła rękę na kolanie, winda ruszyła.

Rolka wypijała dwa kolejne łyki wódki, a ja czekałam, czując niepokój. Przez chwilę milczała, pociągnęła trzeci łyk, oddała mi butelkę i patrząc w ziemię, zaczęła mówić. Po wyjściu z windy czuła się dziwnie. Nie wiedziała, czy to było miłe, czy obrzydliwe. Wystraszyła się, czy z nią wszystko w porządku. Wtedy spotkała Serdela. Szedł do mnie i zatrzymał się przy niej, bo zauważył, że coś jest nie tak. Zaczęła mówić prosząc, żeby zachował dla siebie. Kuliła się coraz bardziej w sobie i czuła, że oddech jest coraz krótszy. Zaczął ją głąskać po głowie i po twarzy. To było przyjemne i poczuła ulgę, że jest normalna. Dotknął piersi, a ona chciała, żeby nie przestawał. I żeby ją wziął, bo rozdygotane ciało nie chciało żadnych wątpliwości. Tak się stało.

Zapadła cisza. Teraz ja wypijałam dwa łyki wódki, bo czułam, że brakuje mi oddechu. Rolka nie była już dziewczicą, różniła się z moim Serdelem. Nie mam przyjaciółki i teraz wiem, czemu nie mam chłopaka. Zostawił mnie, bo ze mną za dużo stresu. Bo nie wypinam pośladków wtedy, kiedy mu się zachce. Policja zabrała Tomka i wujka Janusza. Jadźka jest lesbijką i pani doktor też. I nikt nie wie, dlaczego Jadźka z Tomkiem chcieli się pobrać. A wszystkie dobre omeny w tym wieżowcu to pic na wodę. Po kolejnym łyku zaczęło mi się kręcić w głowie, ale było mi wszystko jedno. Przytuliłam się do podestu. Patrzyłam na rozmywające się gwiazdy myśląc, że chciałabym teraz polecieć wysoko do góry i ochłodzić twarz puchatym obłokiem.

Bliźniaczki

Nie chciałam rozmawiać z Rolką. Wiedziałam, że pierwsza nie podejdzie. Widziałam w jej wzroku prośbę, ale nie mogłam jej wybaczyć. Rozumiałam lęk, ale nie rozumiałam, dlaczego musiała sprawdzać to natychmiast i do tego z moim chłopakiem. No i Serdel znów wyszedł w duszy na wierzch i bolało. Był tchórzem – nie powiedział mi, co się stało. A do tego łajdakiem – bo przy pierwszej okazji spuścił spodnie przy mojej najlepszej przyjaciółce. Potem ogarniała mnie złość, że jestem głupia, czegoś głodna i biorę każde słowo jak podarowany cukierek. Przychodziły wątpliwości, że ze mną coś nie tak, że widocznie jestem nic niewarta. Próbowałam to wszystko od siebie odsunąć. Kiedy widziałam Rolkę – natychmiast wracało, więc nie mogłam jej wybaczyć.

Bliźniaczki mieszkaly na szóstym. Były do siebie niepodobne. Jedna wyglądała jak mama, druga jak ojciec. Zazdrościłam im, że miały siebie i żałowałam, że nie mam siostry. Zazdrościłam im też mamy. Kiedy szły gdzieś razem, we trzy, wyglądały jak siostry, zawsze uśmiechnięte. Poza tym u nich w mieszkaniu było cicho. Wiedziałam to z dobrego źródła – Złotowska wiedziała wszystko najlepiej. Po śmierci Doroty byłam na nie zła. Może dlatego, że tak najłatwiej wytłumaczyć sobie czyjąś śmierć – znaleźć winnego. Kiedy odeszły od Doroty, zaczęło dziać się z nią gorzej. Czy odsunęły się od niej dlatego, że wahała klej? Uważałam, że powinny pomóc. Ale może nie da się pomóc komuś, kto sam tego nie chce. Może najlepszym wyjściem jest zostawić go i mieć nadzieję, że się ocknie.

Któregoś dnia spotkałam je w windzie. Miały ze sobą pusty słoik, tak jak ja – czyli też jechały do Złotowskiej po żurek. Kiedy ktoś w wieżowcu gotował barszcz, nie chodził po żurek do sklepu. Wszyscy kupowali u Złotowskiej. Kisiła go w domu. Nie zarabiała na tym dużo. Zakup za każdym razem trwał długo, bo próbowała wyciągnąć z człowieka możliwie dużo informacji.

Złotowska była dużą kobietą. Miała też wielkie piersi, które ciągle wysuwały się z biustonosza, więc próbowała je co chwilę dyskretnie wsunąć z powrotem. Ale i tak przez cienkie bluzki widać było ciemne brodawki. Zawsze czułam się nieswojo i odwracałam wzrok. Miałam problem

z własnymi piersiami – wydawały mi się za małe. Ale kiedy widziałam jej biust, to z dwojga złego wołałam jednak własny.

Złotowska poza kieszonką żurku siedziała w oknie. Okno było zawsze szeroko otwarte, nawet zimą. Na parapecie kładła poduszki, opierała o nie łokcie i obserwowała. Czasami cały dzień. Zimą zarzucała na plecy kożuch. W niedzielę w kościele była pierwsza. Siedziała przy wejściu i witała każdego sąsiada z osobna. Potem szła do przodu, pod sam ołtarz. Wiedziała, kto był w kościele i kto nie przyjął komunii.

Mówili, że coś ma z księdzem proboszczem. Podobno stara miłość, która nigdy nie zgasła. Kiedyś mieli wypadek motocyklowy. Potem ona długo leżała w szpitalu, a on poszedł do zakonu. Dlatego była sama i zawsze pierwsza do pomocy w kościele. Ksiądz z kolędą szedł do niej na końcu. Nikt nie wiedział, kiedy wychodził, bo zwalniał ministrantów – mówiąc, że poradzi sobie sam.

Tak więc jechałam z bliźniaczkami windą po żurek. Nagle blondynka, ta podobna do taty, zaczęła płakać. Ciemna przytuliła ją mówiąc „przestań, wszystko będzie dobrze...”. Nie wiedziałam, o co chodzi i nie mogłam zapytać, więc udałam, że nie słyszę. Złotowska otworzyła nam drzwi. Poprawiając wysunięte z biustonosza piersi, zaprosiła do środka. Siadłyśmy na przygotowanych w przedpokoju taboretach i czekałyśmy. Zapytała bliźniaczkę, co dzieje się z ich mamą, bo dawno jej nie widziała. Blondynka zaczęła szlochać, ale ciemna uszczypnęła ją w rękę odpowiadając, że mama jest chora. Gospodyni stwierdziła, że wszyscy chorują, pogoda jest zdradliwa i spytała, czy mama też ma grypę. Ciemna szybko odpowiedziała, że tak, mocno ściskając rękę blondynki, ale tym razem to nie pomogło. Zaczęła płakać – tak mocno, że zerwałam się z taboretu. Złotowska była szybsza. Przytuliła ją mówiąc, że wszystko będzie dobrze. Wtedy zaczęły płakać obydwie. Mama była kilka dni w domu, ale znów musiała jechać do szpitala. Ma raka piersi w końcowym stadium. Zrobiło mi się zimno. Złotowska siadła między nimi, przytuliła każdą do jednej z wysuwających się piersi. Potem powiedziała cicho, że płacz mamie nie pomoże. Trzeba wziąć się w garść, być silnym i wierzyć, że wszystko będzie dobrze. Ona sama spotkała ludzi, którzy zdaniem lekarzy powinni być na tamtym świecie. Trzeba dać mamie siłę – tego potrzebuje najbardziej.

Patrzyłam przerażona i zaskoczona. Wydawało mi się, że robi się ciemno. Wtedy Złotowska poprosiła, żebym zaprowadziła bliźniaczki do domu. Po drodze przypomniałam sobie, że zapomniałam żurku. Musiałam po niego wrócić

Otworzyła mi drzwi, poprawiając piersi. Ale to nie było już ważne. Dziś zobaczyłam ją w innym świetle. Dostrzegłam, że jest nie tylko wścibską starą panną, ale też człowiekiem.

Spytała, co u Rolki, bo dawno nas nie widziała razem, ale nie odpowiedziałam. Potem, podając mi żurek, spojrzała prosto w oczy i powiedziała, że te dwie potrzebują przyjaciół.

To było trudne do zrobienia. Ludzie nie stają się przyjaciółmi z dnia na dzień. Razem z Rolką coś byśmy wymyśliły, ale bez niej sama potrzebowałam wsparcia.

Kilka dni później spotkałam bliźniaczki w autobusie. Płakały, więc podeszłam bliżej. Ciemna – patrząc na mnie tępym wzrokiem – wyszeptła, że mama umarła. Nic nie dało się zrobić. Drapnęło mnie mocno w gardle. Zachciało mi się płakać. Pomyślałam o mojej mamie. Przeraziłam się, że mogłabym ją stracić. Poczułam, że nie potrafię bez niej żyć. Odprowadziłam je do domu. W drodze powrotnej spotkałam Rolkę. Miała taką minę, że wystraszyłam się, że z ciocią Janką coś się stało. Ale Rolka przytuliła się tylko do mnie mocno i powiedziała, że nie może beze mnie żyć. Poczułam, jak ją kocham i że taki łajdak jak Serdel tego nie zniszczy.

Sąsiedzi zbierali na pogrzeb, a między piętrami snuł się zapachem rozgrzanego wosku smutek. Niedługo po pogrzebie spotkałam tatę bliźniaczek. Był połową siebie i zrobił się siwy. One same chodziły teraz wszędzie razem, nawet do sklepu.

Któregoś razu zobaczyłam przez okno, jak ojciec z córkami stoją przed samochodem i się kłóć. W którymś momencie rozjuszony uderzył ciemną w twarz tak mocno, że upadła na maskę samochodu. Działo się coś niedobrego. Sąsiedzi próbowali pomagać. Moja mama też tam była – zaniósła ciasto, ale nie chciał przyjąć. Potem nikomu nie otwierano już drzwi. Pan Henio, który z nim pracował, powiedział, że zdziwaczał i jest nie do poznania.

Tego wieczoru znów było u mnie w domu głośno. Nie wytrzymałam i z płaczem zatrzaskałam drzwi mieszkania. Pobiegłam na schody, a tam siedziały bliźniaczki. Wciśnięte w siebie i przestraszone. Powiedziały, że ojciec zwariował. Wyrzucił wszystko z szaf i tłucze naczynia. Pobiegłam do Rolki. Tam było spokojnie. Wujek Janusz był w domu. Postanowił iść na górę i porozmawiać z ojcem bliźniaczek. Na wszelki wypadek wziął ze sobą butelkę wódki.

Dziewczyny się uspokoiły i zaczęły mówić. Dowiedziałyśmy się z Rolką, jak miały na imię. Jasna była Beata, a ciemna Monika.

Kiedy okazało się, że mama jest chora, ojciec zaczął się zmieniać. Nie opiekował się nią. Albo krzyczał, że powinna wcześniej iść do lekarza. Że narobiła bigosu, to niech sama go zje. Albo płakał, prosząc, żeby nie odchodziła. Nie odwiedzał jej w szpitalu. Kiedy umarła – oszalał. Zaczął zamykać lodówkę na kłódkę. Mówił, że za dużo jedzą i brakuje pieniędzy. Były ciągle głodne. Na siódmym mieszkała przyjaciółka mamy – pani Natalia. U niej jadały obiady.

Ciocia Janka powiedziała, że mogą w każdej chwili tutaj przyjść. Gdyby było coś nie tak albo gdyby były głodne. Wujka Janusza nie było dość długo. Wrócił trochę podпиты. Powiedział, że sąsiad się uspokoił i położył go spać. A bliźniaczki zostaną na noc u nich. Jutro rano pójdą razem sprawdzić, jak wygląda sytuacja.

Zazdrościłam bliźniaczkom, że mogą spać u Rolki. Też chciałam tam nocować, ale musiałam wracać do domu. Następnego ranka Rolka zadzwoniła do drzwi, zanim zdążyłam się ubrać. Była przerażona. Tata bliźniaczek powiesił się na pasku w szafie. Wujek Janusz wezwał policję. Tego dnia nie poszłyśmy do szkoły.

Świadkowie Jehowy

Pani Natalia i jej mąż byli nauczycielami sportu. Nie chodzili do kościoła, bo byli świadkami Jehowy, ale wszyscy im się kłaniali. Bo nauczyciel to nie sklepikarz. Pani Natalia była wszystkiego ciekawa i miała tyle chęci, żeby próbować. Uwielbiałam z nią rozmawiać. Po kilku minutach chciało się coś robić, zmienić. Zajęła się bliźniaczkami po śmierci mamy. Dopóki pani Natalia nie zaszła w ciążę, miałam z nią sport. Lubiłam ją. Wszyscy ją lubili, bo przy niej rzeczy niemożliwe wydawały się możliwe.

Nie lubiłam biegać. Zawsze potem bolały mnie piersi. Wiedziałam, że wyglądam śmiesznie, bo mam za długie nogi. Krótki dystans był do zrobienia, ale sześćset metrów mnie paraliżowało. Przekonała mnie, że dam radę... i dałam.

Tylko rozmów o Biblii nie lubiłam. O tym, że jesteśmy tu, żeby przygotować się na koniec świata, a potem życie wieczne. Że powinniśmy czytać Biblię, bo w niej są odpowiedzi na wszystkie pytania. Po pierwsze – bałam się tego. A po drugie – nie mogłam uwierzyć, że ktoś odpowie mi na pytanie, dlaczego Dorota musiała umrzeć.

Mieli z mężem syna. Mówiła często, że chciały mieć córkę. Kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, była bardzo szczęśliwa. Urodziła córeczkę. Przychodziła do szkoły z wózekczkiem, żeby nam ją pokazać. Dziewczynka wyglądała zupełnie jak pani Natalia, tylko była

miniaturowa. Cały wieżowiec się cieszył. Nie trwało to długo. Okazało się, że Zosia – bo tak miała na imię dziewczynka – ma raka szpiku kości. Zaczęła się chemioterapia, ale nie pomogła. Wyniki krwi pogarszały się w szybkim tempie. Potrzebna była transfuzja krwi, ale na to rodzice – świadkowie Jehowy – się nie godzili. Bo krew należy do Boga. Przetaczanie cudzej krwi odbiera szansę na raj i życie wieczne. Pani Złotowska opowiadała, że przyszli raz po żurek, a ona akurat jadła kaszanekę. Stali w progu i nie chcieli wejść do środka. Bo jeść kaszanekę to grzech śmiertelny. Krew należy do Pana.

Pani Natalia była coraz smutniejsza. Za każdym razem, jak widziałam Zosię, było jej coraz mniej. Zrezygnowali z chemioterapii, licząc na to, że wyniki się poprawią. Nie poprawiły się. Potem pojawiła się szansa na uratowanie Zosi. Znalazł się pasujący dawca szpiku. Ale lekarze w takim stanie, w jakim była, nie chcieli robić operacji bez transfuzji.

Kiedyś jechałyśmy windą z mamą i panią Natalią. Pani Natalka wyglądała okropnie. Miała prawie przezroczystą skórę i ciemne sińce pod oczami. Trzymające poręcz wózka ręce drżały. W ciszy stojącej windy słychać było, jak Zosia ciężko oddycha, a w wózekku prawie już jej nie widać. Zobaczyłam, że mamie szklą się oczy i usłyszałam, jak mówi: „Kobieto, ratuj dziecko”. Pani Natalka spojrzała nieprzytomnie i odparła, że robi co może. Reszta jest wolą Pana.

Pierwszy raz usłyszałam wtedy, że mama krzyczy na kogoś obcego. Chwyliła tamtą za ramiona i zaczęła nią potrząsać pytając, czy rzeczywiście tak czuje. A potem, że życie jest największym prezentem. Że nosiła to dziecko w brzuchu i czy poradzi sobie kiedyś z myślą, że pozwoliła mu umrzeć? Po policzkach pani Natalki płynęły łzy. Po moich też. Ciało mi dygotało, jakbym to ja musiała podjąć jakąś ważną decyzję. Musiała decydować o czymś życiu. Wtedy winda ruszyła.

Pani Natalia przestała wychodzić z Zosią na spacer. Od Złotowskiej można było się dowiedzieć, że jest coraz gorzej. A pani Natalia próbuje przekonać męża. Potem, że założyła sprawę w sądzie, którą wygrała i Zosię zoperowano. Aż w końcu, że było za późno i dziewczynka nie przeżyła.

Sąsiedzi znów zbierali pieniądze. Ale inne było to zbieranie – takie bez słowa. Na pogrzebie byli wszyscy. Ten pogrzeb też był inny. Pani Natalka zdecydowała, że Zosia będzie leżeć na katolickim cmentarzu. Po jednej stronie wykopanego dołu stała ona z synem, a za nią wszyscy sąsiedzi. Po drugiej stronie stał ojciec Zosi, zupełnie sam. Trumienka była malutka, jak dla lalki i błyszczała w słońcu bielą. Wydało mi się nie na miejscu, że właśnie teraz świeci słońce. Patrzyłam, jak spuszcza ją w dół na białych wstęgach. Wydało mi się, jakby z trumienki wyszły anioły. Przytulając malutką uśmiechniętą Zosię lecą do nieba, a wiatr szarpie ich płaszcami, podnosząc poły do słońca. W końcu zniknęły, a w mojej głowie został obrazek uśmiechniętej twarzyczki Zosi. Takiej samej, jak pani Natalki, kiedy się jeszcze śmiała – tylko tyciej, miniaturowej.

Krótko po pogrzebie pani Natalia z synem wyprowadzili się. Nikt nie wiedział, gdzie, nawet Złotowska. A potem, zanim usypana na cmentarzu ziemia się uleżała i jeszcze nie było nagrobka, do mieszkania na dziewiątym wprowadziła się inna kobieta.

Wujek Janusz przyszedł do taty na wódkę. Powiedział, że z ojca Zosi „ostatni chuj”. Potem, że dobrze mieć coś takiego jak Biblia i zrzucić na to odpowiedzialność. I jeszcze, że musi się go zapytać, czy tę nową babę też dzięki Biblii znalazł. A potem już były normalne rozmowy o parszywości życia i głupocie marzeń. Na koniec znów czytałam Maurów, a tata płakał, że nie jest maszynistą lokomotywy.

Dwa dni później na drzwiach mieszkania i na samochodzie męża pani Natalki pojawił się napis „jebać Żyda”. A na masce leżała cała góra kaszanki.

Pani Doktor

Kiedy wujek Janusz znalazł ojca bliźniaczek w szafie, w pierwszej chwili nie wiedział, co robić. Wyrzucił siostry za drzwi, wpadł do kuchni, chwycił ostry nóż i przeciął pasek. Później położył go na łóżku. Myślał, że jeszcze żyje, kazał bliźniaczkom biec po panią doktor. Była w domu i przyszła natychmiast. Niestety, było za późno. Wtedy wujek wezwał policję.

Ciocia Janka zabrała mnie, Rolkę, bliźniaczki i panią doktor na pierwsze piętro do swojego mieszkania. Pani doktor dała bliźniaczkom syrop uspokajający. Ciocia upiekła poprzedniego wieczoru pachnącą szarlotkę. Teraz dała nam pełen talerz i kazała iść do pokoju Rolki. Sama została z panią doktor w kuchni. Bliźniaczki się nie odzywały. Zjadły po kawałku ciasta, potem wtuliły w siebie i zasnęły. Widocznie syrop był mocny. Siedziałyśmy z Rolką cicho, nie chcąc rozmawiać o tym, co się stało, ale nie mogąc rozmawiać o niczym innym. Każda musiała to najpierw w sobie poukładać. Wciąż miałam przed oczami moment, jak wynoszą go sztywnego, z nogami ugiętymi w kolanach. Wkładają do trumny i nie wiedzą, jak te nogi wyprostować. Spojrzałam na śpiące siostry i powiedziałam tylko, że dobrze, że mają siebie, że są dwie. Rolka przytaknęła, z oczu zaczęły jej wypływać łzy. Przytuliłam ją, a ona wzięła pamiętnik i zaczęła pisać. Bardzo byłam ciekawa, o czym rozmawia się w kuchni. Drzwi były zamknięte. Siadłam cichutko pod nimi i słuchałam.

Mama mówiła, że ludzie potrzebują czasu, żeby pewne rzeczy zaakceptować. Tym bardziej, że dowiedzieli się o tym nagle i nieoczekiwanie.

Wiedziałam, o czym mówiła. Nie o tym, co stało się dziś, ale o sprawie z Jadźką, która po nieudanym ślubie wyprowadziła się z wieżowca. Rodzice musieli zamknąć sklepik. Jej mama pracowała teraz w spożywczym koło mojej szkoły. Krótco po tym wydarzeniu na drzwiach pani doktor ktoś napisał „jebać Żyda”. Wyglądało na to, że „jebać Żyda” nic z Żydami nie miało wspólnego albo nie tylko. Jak ktoś czymś rozzłościł blokową rodzinę, to był Żydem i trzeba było go jebać, czyli utrudniać mu życie. Potem długo jeszcze pod drzwiami pani doktor podrzucano fragmenty damskiej bielizny.

Pani doktor zaczęła płakać, mówić, że odkąd Jadźki nie ma, nie może znaleźć sobie miejsca. Wiedziałam, o czym mówi, czułam to samo, kiedy Serdel mnie opuścił. Ale nie potrafiłam sobie wyobrazić, że można tak czuć, kiedy odejdzie kobieta. Nie wiedziałam, jak to jest, kiedy kobieta kocha kobietę. I myślę, że moja mama też nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Wariatka

Pani Agata mieszkała na dziesiątym. Była bardzo chuda, miała długie, ciemne włosy spięte na czubku głowy w ciasny, duży kok. I nigdy nie widziałam jej bez papierosa. Była księgową i pracowała w tej samej firmie, co moja mama. Mama mówiła, że jest zimna i jedyne, o czym można z nią porozmawiać, to dzieci. Miała dwóch synów. Niewiele o nich wiedziałam, bo byli młodszy. Jedyni chłopcy w szkole, którzy każdego dnia mieli świeże koszule i krawaty – sztywni i samotni. Poza tym musieli mieć dobre stopnie. Słyszałam, że jak dostali słabszą ocenę, to bali się wracać do domu. Kiedyś patrząc na nich pomyślałam, że gdyby byli kobietami, pewnie nosiliby włosy upięte w wysoki, ciasny kok.

Najbarwniejszą postacią w tej rodzinie był mąż pani Agaty – ojciec chłopców – pan Witek. Pan Witek bujał w obłokach. Ojciec często zastanawiał się, jak takiego idiotę mogą trzymać na kierowniczym stanowisku. Czasami pan Witek przychodził z wódką, ale ojciec kazał mówić, że go nie ma. Kiedy wypił – rozbierał się prawie do naga krzycząc, że człowiek z natury jest doskonały i nie ma co obciążać się kajdanami. On zrzuca kajdany i w końcu czuje się wolny.

Ojciec najwyraźniej się z nim nie zgadzał. Szczególnie, że w takich momentach biegł do mamy, do kuchni i chciał z nią tańczyć. Ciągle powtarzał, że jest bohaterem i powinien dostać pokojową nagrodę Nobla, bo żyje z wariatką. Obydwoje byli dziwni, tylko różnie.

Wszyscy współczuli pani Agacie, bo z jej mężem mieli więcej problemów. Biegł do piaskownicy i robił z dziećmi babki, a potem sypał piaskiem, śmiał się i krzyczał, że dobrze jest być dzieckiem. Złotowska powiedziała, że jest niegroźny, więc sąsiedzi przestali zwracać uwagę. Pani Agacie kłaniali się grzecznie. Tylko nikt nie chciał jeździć z nią windą. Ja też nie, bo pachniała jak długo stojąca nieopróżniana popielniczka.

Tego dnia byłam zmęczona i postanowiłam jechać windą. Pech chciał, że w ostatniej chwili weszła do niej pani Agata. I że winda się zacięła. Stałyśmy w milczeniu. W końcu pani Agata zapytała, jak w nowej szkole. Zaskoczyło mnie to, bo kończyłam już liceum. Ale skąd ona mogła to wiedzieć. Odpowiedziałam, że zaczyna się matura, więc sytuacja jest dość napięta. Przy słowie matura spojrzała dziwnie mówiąc, że jej córka też robiłaby maturę. Stała bez słowa wpatrzona w ścianę z napisem „ostatnia kurwa”. Nie odrywając wzroku od ściany powiedziała, że bardzo tu gorąco. Jednym ruchem ręki rozpuściła kok, a drugim odpięła dwa górne guziki białej bluzeczki. Siadła na podłodze, zdjęła buty i szeroko rozstawiła nogi. Wciąż nie odrywając wzroku od ściany, zaczęła się szeroko uśmiechać i gładzić dłonią brzuch. Nie wiedziałam, co się dzieje, chciałam na wszelki wypadek wcisnąć się w kąt. Ten ruch ją zaniepokoił. Rozejrzała się przerażona wokół, prawą rękę przycisnęła mocniej do brzucha, a lewą chwyciła się ściany i zaczęła podnosić. Kostki dłoni ściśniętej na brzuchu zaczęły robić się białe, a twarz czerwona. Spojrzała wzrokiem, który przeszył mnie strachem, sycząc „nie zabierzesz mi go”. Instynktownie odparłam, że nie – nie zabiorę. Znów osunęła się na podłogę. Po kilkunastu minutach wstała jakby nigdy nic i spięła włosy w wysoki, duży kok. Winda ruszyła. Powiedziałyśmy sobie do widzenia i poszłyśmy każda w swoją stronę. Czułam, że muszę z kimś porozmawiać, ale rodziców nie było w domu. Spotkałam Złotowską. Jej mogłam powiedzieć, i tak wiedziała wszystko...

Wyjaśniła, że pewnie pan Witek nie pilnuje i pani Agata przestała brać lekarstwa. Spojrzałam zdziwiona. Złotowska ściszyła głos i opowiedziała, że pani Agata została pobita i zgwałcona w siódmym miesiącu ciąży. Straciła dziecko. Od tamtej pory musi brać leki. Jak ich nie weźmie, to wydaje jej się, że nosi w sobie dziecko i ktoś chce je zabrać. Mam się nie martwić. Ona pójdzie do pana Witka i opowie, co się stało.

Potem mama poszła na górę żeby sprawdzić, czy nie potrzebują pomocy. Nie było jej godzinę. Wróciła zmęczona mówiąc, że pani Agata zachowuje się normalnie. A jeśli ktoś potrzebuje pomocy, to pan Witek. I że dziwi się, że ta kobieta to wytrzymuje.

Rolka westchnęła, że to przerażające, co niektórzy ludzie muszą przeżyć. A potem dodała, że czegoś się boi, ale sama nie wie, czego.

Minęło kilka dni, ale nic się nie działo. Ojciec był chory, leżał w łóżku, brał lekarstwa, które niewiele pomagały. Mama wysłała mnie na dziesiąte do pani Juty po bańki, chciała je ojcu postawić. Bo bańki pomagały zawsze.

Pani Juta mieszkała z córką Magdą. Podziwiałam Magdę. Jak coś postanowiła, to uparcie się tego trzymała. W szkole podstawowej przeżywano ją „pulpet”. Postanowiła schudnąć i tak się stało. Przestała jeść słodczyce, zaczęła uprawiać sport, a nawet tańczyć w grupie baletowej. Jej mama była sprzątaczką w szkole. Bardzo miłą osobą, ale nie lubiłam do nich przychodzić. Bo mówiła do mnie tylko o Magdzie. O tym, jaka jest wyjątkowa. Nigdy nie spytała, co u mnie. A ja czułam, jakby mnie w ogóle nie było.

Wjechałam windą na górę. Ruszyłam w stronę pani Juty i zauważyłam, że na korytarzu pod drzwiami mieszkania siedzi pani Agata. Tak jak wtedy, w windzie. Rozpuszczone włosy

opadały na piersi. Nogi były szeroko rozstawione, a dłonie z namaszczeniem głąskały brzuch. Drzwi od mieszkania były otwarte. Nagle wstała i zaczęła tańczyć, mocno kręcąc miednicą i podnosząc do góry spódnicę.

Zauważyła mnie. Podeszła i zaczęła uderzać rękoma w moje piersi. Kręciła głową tak mocno, że jej włosy smagały boleśnie moje policzki. I powtarzała: „nie zabierzesz mi go”. Próbowałam złapać ją za ręce i uspokoić. Mówiłam, żeby się nie bała, że nie zabiorę jej dziecka. Ale to nie pomagało.

Nagle odepchnęła mnie i zanim zdołałam znów złapać równowagę, była już w mieszkaniu. Wbiegłam za nią. Stała na parapecie otwartego okna w kuchni. Trwało to kilka sekund. Potem już jej nie widziałam. Usłyszałam tylko huk czegoś spadającego na trotuar i krzyki dochodzące zza okna. W mieszkaniu nikogo nie było. Ledwie łapiąc oddech, na miękkich nogach wyszłam na korytarz. Tu wpadła na mnie pani Juta. Szepnęła „dziecko, jak ty wyglądasz, jedź do domu” i popchnęła w stronę windy. Szłam, widząc twarz z rozszerzonym uśmiechem i długie, przyklejające się do niej włosy. I wciąż słyszałam huk, jakby ktoś zrzucił z dziesiątego piętra setkę arbuzów. Stałam przed windą, nacisnęłam guzik i powtarzałam sobie, że żyję, że wszystko będzie dobrze.

Nie wiem, jak znalazłam się w łóżku z Rolką i mamą.

Długo nie mogłam patrzeć w górę. Długo po korytarzach wieżowca snuło się milczenie i wydawało się, że wszyscy wstrzymali oddech.

Trwało to dość długo, aż znów zaświeciło słońce. W niedzielę wszyscy byli w kościele, a pani Złotowska siedziała w oknie, opierając się wygodnie o poduszki. A w przerwach znów kiśiła żurek.

Magda zaczęła przyprowadzać do domu chłopaka. Krótco po tym szczęśliwa pani Juta opowiadała każdemu, że będzie babcią. Komitet blokowy organizował zbiórkę pieniędzy na ślub.

Poznałam Marka i było mi ciepło. Nie przeszkadzały mu moje długie nogi. Patrząc na nie, rozgrzewał skórę, a palce zaczynające swój spacer przy kostkach popychały ciepłą falę do góry, aż piersi wydawały się rosnać. Nie mówił, że jestem problemem.

Wielka płyta trzymała w pionie dziesięć pięter – nie zamierzając się złożyć.

Siedzieliśmy z Rolką na podeście przed klatką. Następnego dnia zaczynały się wakacje. Jechaliśmy razem pod namiot. Same, bo byliśmy już pełnoletnie i obydwie miałyśmy maturę. Po wakacjach zaczynałyśmy studia.

Nagle wpadłam na szalony pomysł. Nigdy nie byliśmy na dachu.

Skrzypiąca winda unosiła nas powoli w górę. Posuwała się – odwiedzając wszystkie piętra. Przez szpary w drzwiach wpadały zapachy. Na trzecim ktoś gotował kapuśniak. Na piątym ktoś robił wielkie pranie, pachniało płynem do płukania. Na siódmym guzik został naciśnięty zbyt późno i winda się nie zatrzymała. Słysząc było mamrotanie, że na czekanie na nią traci się pół życia. Na dziesiątym na windę czekała Magda. Przytrzymałyśmy jej drzwi, żeby mogła wjechać wózeckiem z rozgaworzonym synkiem. Przez moment mój wzrok zatrzymał się na wydrapanym na ścianie wyznaniu miłosnym dla Serdela. Poczułam ulgę, a przez głowę przemknęła myśl, że to już było.

Weszliśmy na drabinkę, podniosły klapę i wdrapały się na dach.

Powietrze pachniało świeżo – wszystkie smrody codzienności zostały na dole. Niebo było czyste i wypełnione tysiącem migających punkcików. Leżeliśmy, oddychając głęboko i czując, że będzie dobrze... Ja będę lekarzem, a Rolka dziennikarką.

WOJCIECH KOŁSUT



foto Katarzyna Kołsut

WOJCIECH KOŁSUT urodził się w 1955 roku w Częstochowie. Jest absolwentem Instytutu Wychowania Artystycznego w Częstochowie na kierunku malarstwo. Uprawia malarstwo, rysunek i małe formy rzeźbiarskie.

Swoje prace prezentował na wielu wystawach w kraju i za granicą, w tym m.in.: w BWA w Poznaniu i Gnieźnie (1987), na Bielskiej Jesieni (1988), na Festiwalu Malarstwa w Szczecinie (1988), w Arsenale w Warszawie (1988), w Dessa Galery w Tokio (1989), w Rozgrad w Bułgarii (1989), na Interart w Poznaniu, na Biennale Miniatury w Toruniu, w Dijon we Francji; w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie (dawniej BWA): Triennale Sztuki SACRUM, „Kolekcja Chwili”, „Integracje”, „Artyści Częstochowy XX wieku”.

Prace Wojciecha Kołsuta znajdują się w zbiorach Miejskich Galerii w Częstochowie, Poznaniu, w Bibliotece Papieskiej w Watykanie oraz w kolekcjach prywatnych w Niemczech, Francji, Japonii i Anglii.

W 2005 roku W. Kołsut założył Galerię AWERS, która początkowo mieściła się w Klubie Jazzowym „Paradoks”, a obecnie stała ekspozycja jego obrazów znajduje się w Klubie Muzycznym „Tori”.

Fascynacja twórczością Tadeusza Kantora zaowocowała powstaniem w 1991 roku Teatru Wojtka Kołsuta, który ma w swoim dorobku kilkanaście premier oraz udział w licznych festiwalach, w tym m.in.:

- Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych – Jelenia Góra 1992;
- Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” – Częstochowa 1994;
- Warszawska Wiosna Teatralna „Sztuka Ulicy” – Warszawa (1997, 1998, 1999, 2003, 2004);
- Przegląd Teatrów Ulicznych – Toruń (1995, 1996, 1997, 1998);
- Festiwal Teatralny – Tychy (1996, 2003);
- „Passage U” – Francja 1997;
- Dominikańskie Spotkania Teatralne – Gdańsk 1998

oraz „Malta” w Poznaniu, Festiwal Teatralny w Bydgoszczy, Festiwal „La Strada” w Kaliszu. Zimą 2000 r. Teatr Wojtka Kołsuta wystąpił w teledysku Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”.

W 2004 roku Wojciech Kołsut wykonał scenografię do francuskiej premiery spektaklu „Iwona Księżniczka Burgunda” wystawionej na Uniwersytecie w Dijon we Francji.

Wystawił kilkanaście premier inspirowanych twórczością własną, jak i innych artystów, w tym m.in. Zdzisława Beksińskiego („Podróż do wnętrza – sen 061”, prezentowany w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie), Jacka Malczewskiego, Gustawa Klimta, Vincenta van Gogha („Życie według Vincenta”). „Urodzinowy kołaz”, prezentowany w OPK „Gaude Mater”, „Ognie namiętności” – wystawiony podczas Nocy Kulturalnej w 2012 r.

Współpracował z II LO im. R. Traugutta, z Gimnazjum nr 5, a od 2017 roku współpracuje z Zespołem Szkół Technicznych im. Jana Pawła II, realizując spektakle z okazji rocznic wydarzeń historycznych: Krwawego Poniedziałku, zbrodni katyńskiej, agresji sowieckiej 17 września oraz wyzwolenia obozu w Auschwitz.

Wojciech Kołsut ma w swoim dorobku również twórczość filmową:

- „O tych, co odeszli, dla tych, co przyjdą” – nagroda „Gazety Wyborczej” w konkursie „Częstochowa w kadrze” 2005;
- „Profesor” – 2006;
- „Walizka o kolorze lekko zielonym” – II nagroda w konkursie „Częstochowa w kadrze” 2012;
- „Rocznica” – 2014;
- „Podróż do świata lalek” – film zrealizowany z Sebastianem Puchałą na 100-lecie urodzin Tadeusza Kantora;
- „Ławeczka, czyli spowiedź Teofila K.”.

W 2017 roku otrzymał Nagrodę Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie teatru i filmu, a w 2019 Wyróżnienie Miasta Częstochowy „Tym, co służą Miastu i Ojczyźnie”.



Wojciech Kotsut, „Podróże Sary”, technika własna

Katarzyna Kołsut

JESTEŚMY W DRODZE

PONAD 40 LAT TEMU ZAMIESZKAŁAM Z WOJTKIEM – malarzem, rzeźbiarzem, rysownikiem, scenarzystą, reżyserem, aktorem i nauczycielem. Nasze mieszkanie to pracownia. Zapach farb i werniksu towarzyszy mi od wielu lat. Wojtek przywiązuje się do miejsc i przedmiotów (przez 30 lat pracował w jednej szkole, ucząc plastyki), a jednocześnie mam wrażenie, że ciągle jesteśmy w drodze.

Początek lat 80. nie sprzyjał debiutom artystycznym. Przełomem stał się dopiero udział Wojtka w wystawie Arsenał 88 w Warszawie. Rytm naszego życia wyznaczały wernisaże, premiery, happeningi i inne wydarzenia artystyczne. W obrazach stworzonych przez Wojtka różnymi metodami oraz kompozycjach przestrzennych jest coś, co nie pozwala przejść obok nich obojętnie – fascynuje lub odpycha.

W pierwszym okresie twórczości w obrazach Wojtka dominowała czerń – wspomina o tym Piotr Głowacki w katalogu wystawy I. Triennale Sztuki SACRUM (1991 r.):

Literackie obrazy Wojtka Kołsuta są najbardziej ekspresyjne. Figuratywne i posługujące się gotowymi elementami, jak deski i tkaniny, tematycznie posługują się „Ikoną”, mitami i problematyką egzystencjalną. Dominanta czerni jeszcze bardziej uwypukla ich apokaliptyczność.

Od wielu lat z bliska obserwuję proces powstawania jego dzieł, zmiany w środkach wyrazu i sposobach kształtowania jego artystycznej struktury. Specyficzna estetyka formy collage’u – czasami są to stare deski, fragmenty przedmiotów trudnych do określenia – te wszystkie ułamki świata rzeczywistego nabierają nowego znaczenia, z nich powstaje ten drugi świat. Ciągłe poszukiwania i eksperymenty powodują, że droga twórcza Wojtka wciąż się zmienia. Raz jest to ślepa uliczka, a innym razem droga, która otwiera nowe możliwości.

Po 2000 roku nastąpiła wyraźna zmiana w malarstwie Wojtka. Odszedł od dominującej czerni i monumentalizmu na rzecz znacznie rozjaśnionej palety i kontrastowych barw. Od kilku lat w obrazach dominuje szarość, miedź i złoto, pojawiają się realistyczne przedstawienia postaci.

Na początku lat 90. nastąpiła fascynacja teatrem – Wojtek założył teatr uliczny, Teatr Wojtka Kołsuta. Malowanie obrazów to samotna praca – tworzenie teatru to działania zespołowe. Razem z Wojtkiem pisaliśmy scenariusze, szylałam kostiumy według jego projektów, zajmowałam się planowaniem wyjazdów na festiwale w Polsce i za granicą, współpracowałam z organizatorami różnych przedsięwzięć teatralnych. Przez nasz dom przewinęło się wielu młodych ludzi występujących w Teatrze Wojtka Kołsuta. Dla niektórych z nich ta przygoda stała się początkiem dorosłej drogi artystycznej. Spektakle Teatru opierały się głównie na efekcie wizualnym – plastyce ruchu, efektownej scenografii, efektach specjalnych (głównie ognia, który był zawsze obecny w przedstawieniach i odgrywał znaczącą rolę). Były to duże widowiska, robione z rozmachem i niezwykle spektakularne. Teatr brał udział w najważniejszych festiwalach teatralnych. Grał na Malcie w Poznaniu, La Stradzie w Kaliszu, uczestniczył wielokrotnie w Warszawskiej Wiośnie Teatralnej, Toruńskim Lecie Teatralnym czy w Sztuce Ulicy w Warszawie. Dostawał pochwały i nagrody, np. nagrodę za poetykę spektaklu „Powrót do miasteczka

snów” na XXII Tyskich Spotkaniach Teatralnych czy na tychże Spotkaniach kilka lat później wyróżnienie za spektakl „Życie według Vincenta”. Wskaźnikiem popularności Teatru były zaproszenia na kolejne festiwale oraz liczny udział widzów w spektaklach.

Wojtek, „niespokojny duch”, artysta wiecznie poszukujący nowych inspiracji i wrażeń, postanowił spróbować swoich sił w produkcjach filmowych. Pierwszy film „O tych, co odeszli, dla tych co przyjdą”, który został nagrodzony w 2005 roku na festiwalu „Częstochowa w kadrze” otworzył rozdział filmowy. Kolejne filmy: „Walizka o kolorze lekko zielonym”, „Rocznica”, „Świat lalek”, „Profesor” – uzyskiwały przychylnie opinie widzów.

Wydarzenia dnia codziennego, opowieści rodzinne powracające w marzeniach sennych materializują się w obrazach, rysunkach i rzeźbach. Poszczególne przedmioty i sytuacje nabierają nowego kontekstu. Przez lata tworzenia mój Teatr i malarstwo tak się wzajemnie przenikają, że dziś tworzą nierozzerwalną całość. Część przedmiotów „grających” w spektaklach ma dla mnie emocjonalne znaczenie. Zegarki, pamiątki rodzinne, suknie ślubne, obrazy będące częścią scenografii mają również autonomiczny charakter –

tak o sobie i o swojej twórczości napisał kiedyś Wojtek we wprowadzeniu do jednego ze spektakli.

Po okresie pandemicznej izolacji i pewnej stagnacji nastąpił powrót Wojtka do rysowania i malarstwa. Jeżeli chodzi o Teatr, to także nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

Obrazy Wojtka można oglądać na co dzień w Klubie „Tori” (ul. Raclawicka 2), gdzie ma swoją autorską galerię.



Wojciech Kołsut,
„Aureus”,
technika własna

Olga A. Wiewióra

ZAPISKI Z CZASU ZARAŻY – O TOMIE WIERSZY *MAŁE NOWE CIAŁA* ALEKSANDRA WIERNEGO

S POTKAŁAM SIĘ Z OPINIĄ, ŻE WIERSZE odnoszące się bezpośrednio do aktualnych wydarzeń są pozbawione uniwersalizmu, a ich żywot w przestrzeni literackiej trwa krótko i jest daremny. Są zbyt dosłowne, zbyt natarcywe, zbyt wyraźnie określają stosunek podmiotu lirycznego do zastanej rzeczywistości i jako przejaw drażniącej niepodważalności sądów przestają przynależeć do sztuki, dryfując niebezpiecznie w kierunku jej tendencyjnej imitacji. Opinia tym jednak różni się od faktu, że jest subiektywna i niejednokrotnie faktem przeczy. Bo jeśli sięgnąć do źródeł – niemal każdy poeta, niezależnie do miejsca urodzenia czy języka, odnosił się do zastanej rzeczywistości, tę twórczo odtwarzał, często tkwiąc w samym środku czasu i wydarzeń. Tak więc kwestia oceny, czy słowo jest poezją, czy jedynie niesie komunikat, nie wynika z samego tematu, lecz tkwi w sposobie ujmowania go, formowania poetyckiego obrazu świata. Nie ma zdarzeń zbyt dosłownych na tyle, aby niemożliwym stało się ujęcie ich w symbol i nadanie im metaforycznego sensu. To tylko kwestia lirycznego olśnienia.

Przeczytałam *małe nowe ciała* Aleksandra Wiernego – w samym środku kolejnej fali zachorowań i rosnącej w błyskawicznym tempie krzywej zgonów, w tramwaju, o 7 rano, kiedy tłum pasażerów gęstnieje z przystanku na przystanek, do szkół, do biur, do maszyn, w maseczkach, i bez, niedbale zsuniętych pod nos, zmiętoszonych w kieszeniach, z torebek, nie pierwszej świeżości, ale chroniących przed gryzwą... Nie potrafię określić, jak tło miejskiej komunikacji wpłynęło na intensywność odczytywania sensów wierszy. Wiem, że towarzyszył mi dojmujący smutek i poczucie nieobecności. Patrzyłam na ludzkie automaty, ruchome mechanizmy z zaprogramowaną opcją interakcji, którym zawirusowano system. Nie brałam pod uwagę tych tysięcy światów przemierzających moje miasto każdego dnia, we wszystkich kierunkach, z Błeszna na Północ, ze Stradomia na Wyczerpy, z Parkitki na Raków... Aleksander Wierny twierdzi, że to „jednorazowy przebłysk”, że już nigdy więcej. Być może, choć zrobił coś, co stało się udziałem niewielu – a z tych Alberta Camusa w *Dżumie*, Andrzeja Szczypiorskiego w *Mszy za miasto Arras*, Jarosława Marka Rymkiewicza w *Moim dziele pośmiertnym* czy Tadeusza Różewicza w tomie *Matka odchodzi* – ujął w symbol i nadał metaforyczny sens zarazie, populacyjnemu doświadczeniu śmierci, miesiącom izolacji i pandemicznej traumie. I zrobił to w sposób zasługujący na szczególną uwagę.

Język - eholalie

Żeby dobrze improwizować, trzeba do perfekcji opanować podstawy, wszystko jedno w jakiej dziedzinie. Bo improwizacja jest sednem tworzenia, a tworzenie to przełamanie schematów. W pierwszym czytaniu tom zaskakuje formą, którą autor utrzymuje w ryzach od pierwszego do ostatniego wersu. Konstrukcja utworów intryguje właśnie tym, że nie kombinuje z formą wolnego wiersza – wręcz przeciwnie jest na wskroś schematyczna, ograniczona rygiem rytmu i powtórzenia. Autor stosuje ją z rozmysłem i wytrwale tak, iż można odnieść wrażenie,

że kształt wiersza gra tutaj rolę zamierzonego eksperymentu, konstrukcyjnej prowokacji – ma określony cel i sam w sobie znaczy. Tutaj warto zauważyć, że przyjęcie właśnie takiej formy lirycznej wypowiedzi, zdecydowanie zawężającej swobodę stylu, generuje wobec lirycznego „Ja” (autora?) określone wymagania i trudności. To poruszanie się po formalnej przestrzeni wiersza zminimalizowanej do niewielkich rozmiarów ściśle wymierzonych rytmem, w której także język wypowiedzi zostaje poddany redukcji, skondensowaniu, co narzuca autorowi wstrzemięźliwość wobec estetycznej zabawy liryczną biżuterią środków stylistycznych, werbalną dyscyplinę i precyzję w konstruowaniu treści. Treść każdego wiersza posiada przypisany sobie, odrębny zestaw pojęć, które powtórzone w kilku wersjach zarysowują pewien wariantywny obraz poetyckiej mikroprzestrzeni; oddziałują na siebie, tworząc interpretacyjne kontrapunkty. Wersy zdają się pocięte na równe kawałki jak bale drewna ułożone w stos:

„ptak rośnie w płucach połyka oddech
 ptak wypycha mnie sobą nadyma się
 ptak nie przestaje przeć pcha skrzydłem
 ptak łyka moje leki wzmacnia go ich moc

ptak przegania z przestrzeni w środku
 ptak zjada mięśnie ptak zżera tłuszcz
 ptak pcha skrzydłem coraz mniej mniej
 ptak nadyma się twardnieje jak pięść”.

[z wiersza *ptak*]

Jeśli jednak przyłożymy ten sposób wypowiedzi lirycznej do tematu, do tła zdarzeniowego, całej pandemicznej otoczki, owa gra powtórzeń zaczyna brzmieć złowrogo. To nie język lirycznego „Ja” jest ograniczony – to „Ja” liryczne zostało ujęte w karby czegoś znacznie silniejszego niż gramatyczna struktura języka i naturalna umiejętność mowy. To „Coś” – zakamuflowane, nieujęte w słowo, więzione w gardle, paraliżuje, odbiera głos. W sytuacji lirycznej zło czai się poza parkanem wiersza, pojawia się nagle jak czarny pies-widmo i próbuje wdrzeć się do środka życia:

„przekrzywiony psi łeb jest już blisko
 już niemal dotyka naszych stóp lecz
 zbyt wielkie ciało zostało na zewnątrz
 więc jeszcze jesteśmy tutaj bezpieczni

rozmawiamy tutaj całkiem bezpieczni
 choć wokół nas wątleje drewniany płot
 przez który nigdy nie przeszło żadne zło
 ale dzisiaj czarny pies wsadził tu łeb”.

[z wiersza *wewnątrz wierzymy*]

W oczekiwaniu na nadejście zagrożenia narasta napięcie, a wraz z nim rośnie strach. Jest tylko strach – ten został nazwany, a więc istnieje. Pozostałe słowa brzmią jak echolalie – seria powtórzeń umysłu, którego myślenie zostało zaburzone i który nie jest w stanie odbierać świata w jego rzeczywistej postaci, a w „puste” miejsce wstawia pojęciowe protezy na zasadzie „kopiuj/wklej”. Podmiot liryczny zdaje się poddawać paranoi lęku, działać w katatonicznym napięciu.

Wykonuje proste czynności w sposób mechaniczny niczym automat, a sparaliżowany trwogą umysł odcina kolejne obszary jego aktywności:

„już się nie widzimy żeby nie zarażać
nad płotem pojawia się pół przechodnia
przez pół dnia często jeszcze rzadziej
tylko strach jest tu cały przez cały czas

tylko strach jest cały przez cały czas tu
po obydwu stronach płotu ale po mojej
urządzam ogród warzywny przekopuję
wierzę że zrobię wielkie zapasy jedzenia”.

[z wiersza *cały strach*]

W tym ujęciu język także staje się sumą protez – nie potrafi albo nie chce ująć rzeczywistości w sposób rozbudowany, daje jedynie jej wycinkowy substytut. Unika definiowania zjawisk za pomocą pojęć o abstrakcyjnym znaczeniu, zanurza się w okrutną dosłowność, bo tylko świat nazwany istnieje. I dopóki liryczne „Ja” ten świat nazywa, dotąd i ono jest. Koncentruje się na tym, co tu i teraz. Posługuje się eufemizmami i skrótami myślowymi, a w ten sposób język wiersza przybiera kształt mowy ezopowej – czytelnego szyfru dla wtajemniczonych, a zarazem komunikatu pozarozumowego, strumienia świadomości zakłócającego logiczne rozumowanie i interakcję z otoczeniem:

„cofa się spotkana w sklepie znajoma
bo za dużo mówię o skałach w płucach
głośno liczę ilu umarło w mojej sali
ilu wyszło kiedy leżałem w szpitalu

język choroby jest jak język poezji
bo odpycha obcych i wielu znajomych
więc przechodzę na wspólną stronę
a właściwie wracam i zaraz zamilknę”.

[z wiersza *wracam*]

Znaczenie - algorytmy

Kolejny trop prowadzi nas w sferę znaczeń – symboliki obrazów świata zawartego w mikroprzestrzeni wiersza. To światy małe i podręczne, skupione na detalach albo zachłannie uczezione okruchów dnia. Proporcjonalnie do redukcji języka minimalizacji ulega także terytorium znaczeniowe. „Ja” liryczne i „Ty” liryczne – zbiorowość adekwatna do rozmiarów opisywanej przestrzeni – „tkwimy razem wewnątrz i patrzymy” [z wiersza *bóg*]. Ustawienie ról dla tej zbiorowości na uczestnika i świadka zdarzeń, przeżywającego i przeżywanego, decydującego i decydowanego zawiesza znaczenia i sensy pomiędzy aktywizmem lub biernością działania.

Terytorium zostało podzielone na trzy nierówne części: pierwsze najbliższe, najbardziej osobiste na chwilę przez nadejściem choroby, drugie obce i groźne, związane z pobytem w szpitalu i czasem tuż po nim (wyleczenie), wreszcie trzecie przynależne do zewnętrznej przestrzeni,

w zetknięciu z którą dochodzi do pewnego przeorganizowania wewnętrznego u podmiotu mówiącego (skutki uboczne, powikłania).

Terytorium pierwsze, otoczone płotem, który w istocie niczego nie odgranicza ani przed niczym nie chroni, jest odwołaniem do jednego z najwymowniejszych motywów biblijnych i jego twórczą transformacją – to Eden, choć w kieszonkowej skali przydomowego ogródka. „Ja” i „Ty” liryczne – Adam i Ewa – jeszcze z nadzieją, że uda się uniknąć katastrofy, koncentrują swoją uwagę na pracy w nim – przekopują grządki, sieją nasiona, przyglądają się wegetacji roślin i życiu zwierząt. Poświęcają swój czas i uwagę temu, do czego zobowiązał ich Stwórca. Nie pragną zakazanego owocu – ten przyjdzie do nich sam, niezależnie od ich woli:

„teraz tylko czekamy i tylko patrzymy
bo za płotem biegają dzikie zwierzęta
między nagle rozrośniętymi roślinami
rządzą nami niewidzialne ziarna zarazy”,
[z wiersza *wielka niedziela*]

„małe nowe ciała w naszych starych ciałach
licznie się lęgną i mnożą bo lgniemy do siebie
nie mamy na nie rady i nie mamy modlitwy
więc staramy się nie bać żeby dalej tu trwać”.
[z wiersza *stare ciała*]

Ów niezakłócony rytm świata przyrody, niezmienny, odwieczny, reguluje czas życia i decyduje o śmierci. Wszelkie magiczne obrzędy, buddyjskie medytacje, modlitwy i suplikacje mają ochronić przed zarazą, która już w nich jest i kiełkuje według naturalnych reguł, niezależnych od człowieka. Jedynym imperatywem jest trwanie pomimo wszystko, pierwotna wola życia.

Z rajskiego ogrodu Adam trafia do szpitalnej sali – przestrzeni na kształt czyścica, gdzie ważą się losy. To obraz za Grochowiakiem turpistyczny, za Rymkiewiczem odarty z piękna ujętego w klasycznie proporcje, upiornie zwyczajny, sterylny i obojętny, a jeśli nie swojski, to niemal oswojony, jakbyśmy nagle wszyscy znaleźli się w środku:

„wenflon cewnik pielucha maska z tlenem
przedmioty ostatnie rzeczy najważniejsze
zielonkawe zasłonki najpierw osłaniają
bo przywiezione ciało chce swojej przestrzeni
[...]
teraz zielonkawe zasłonki całkiem zasłaniają
wenflon cewnik pieluchę maskę z tlenem
przedmioty ostatnie rzeczy najważniejsze
zielonkawe zasłonki zasłaniają plastik ciała”.
[z wiersza *zielonkawe zasłonki*]

Ten ruch przedmiotów w przestrzeni, sekwencyjność ułożenia – ich odrębny, niezależny od człowieka byt, to na swój sposób nowoczesna wariacja motywu *dance macabre* i alegorii Śmierci. Wierny podejmuje próbę wyznaczenia na nowo cech dla średniowiecznego teatrum umierania: już nie żałobny całun – lecz plastikowy worek, już nie trup – lecz przedmiot, już nie ciało – lecz mechanizm poruszający się według zadanego algorytmu. Medycyna wkracza –

bez triumfalizmu, lecz metodycznie i skutecznie – w sferę *sacrum*. Według własnych prawideł określa tabu i dogmaty, stając się nową religią. Ma moc panowania nad maszyną ciała. Już nie duch, a miarowy sygnał akcji serca oddziela życie od śmierci, już nie tabernakulum, a zielonkawe zasłonki strzegą momentu przeistoczenia. Lecz czym jest wobec tego *sacrum*? Czy *sacrum* w ogóle istnieje? Nagle w XXI wieku stajemy wobec zagadnienia, które nurtowało świat łacińskiej cywilizacji i na przestrzeni wieków przybierało kształt od uczonych rozpraw, przez polityczne targi, po makabryczną rzeź. To pytanie o istnienie Boga i jego istotę – *summa theologiae* chrześcijańskiego świata, któremu wieszczą zmierzch i upadek. Pytanie, które wciąż pozostaje bez odpowiedzi. Przeciwstawia mu się nowoczesny świat bez Boga, czy też świat, gdzie bogiem może być każdy z nas:

„optyk albo polityk na wielkim telebimie
obok bardzo ruchliwego skrzyżowania
my tkwimy w samochodzie i patrzymy
na spokojną szczerą twarz w okularach
[...]
obok bardzo ruchliwego skrzyżowania
optyk albo polityk na wielkim telebimie
świeci pod ogromnym i ciemnym niebem
ale tylko przez chwilę bo coś go zastępuje”.
[z wiersza *bóg*]

W przejmującym obrazie szpitalnej sali z wiersza *tylko jeden* pośród chorych „rozkrzyżowanych” na łózkach jedyną żywą istotą wydaje się figura Chrystusa z krzyża tuż nad wejściem, który każdej nocy „dmucha w ścianę / prosto w ich płuca / ale w niektóre noce niektórzy się duszą / liczą na niego liczni na dole niektórzy już nie”.

Ten, który zwyciężył Śmierć, teraz obnaża swoją bezsilność. To wyraz zwątpienia, niemal zaprzeczenie oznaczające dla człowieka jako istoty stworzonej na obraz i podobieństwo Boga bezbrzeżną samotność we wszechświecie. Autor rozprawia się z wątpliwościami w iście Ockhamowskim stylu. Nie tworzy dodatkowych założeń – proces poznawczy rozciąga pomiędzy *theos* i *anthropos*. Pobrzmiewa echo żelaznej zasady agnostycyzmu, że to człowiek jest miarą wszechrzeczy. Lecz nawet jeśli nie mamy wystarczających narzędzi poznawczych do uznania istnienia lub nieistnienia Boga i czynimy człowieka punktem odniesienia i nadrzędnym kryterium poznania – kimże jest ów człowiek? Czy rzeczywiście w zgodzie z normą personalistyczną jest „kims”, jeśli jedyne, co pozostaje, to „na łózkach czarne worki pełne szczelne / i znowu żywią żyły i zabierają siki i gówno” [z wiersza *wielkie sprzątnie*]? Istota ludzka zostaje zredukowana do fizjologii, a wiara w Boga zostaje zastąpiona wiarą w ciało:

„zgniotły mnie nagle skamieniałe płuca
wycisnęły mięso tłuszczy siłę i wiarę
[...]
większe kości kłują skórę kiedy się kładę
nie umiem zapomnieć o ich rozmiarze
mam mniej tłuszczy mięśni mniej wiary
w ciało bardziej nim jestem niż używam”.
[z wiersza *znikanie w przestrzeni*]

„Ja” liryczne jest tylko ciałem i jako takie zostaje ocalone z zarazy, „bo ciało jest jedyne i innego nie będzie / a to jest ważne bo mamy tylko siebie / tylko pod tym niebem na ten krótki czas” [z wiersza *model*]. Nie doświadcza uzdrowienia, bo został zaledwie ocalony. Na skutek choroby, brutalnej ingerencji w jego istotę cielesną, umysłową i duchową, zachodzi w nim pewna wewnętrzna przemiana, a jeśli użyć pojęć z zakresu medycyny, zachowanie podmiotu lirycznego zdradza oznaki powikłań, upośledzonej sprawności:

„wiedzą o nas wszystko ale to nieważne
przetwarzają nas potem tworzą od nowa
na swój obraz i według swoich potrzeb
ale to nieważne choć mają mój model

mają twój model ulepiony z gliny cyfr
ożywiony tchnieniem ducha algorytmu
ale to nieważne choć wiedzą wszystko
o naszych danych które przetwarzają”.

[z wiersza *model*]

Człowiek wychodzi z zarazy nie tylko w pewnym stopniu okaleczony fizycznie. Także jego psychiczna kondycja ulega przeobrażeniu wbrew jego woli. Ów proces dzieje się poza nim, poza jego kontrolą. W kolejnych wierszach obserwujemy proces dehumanizacji i automatyzacji jednostki ludzkiej. Percepcja zmysłowa, logiczne rozumowanie, uczucia wyższe i emocje, procesy pamięciowe zostają zastąpione czy też zainfekowane wirusem algorytmu – schematem zaprogramowanych czynności, które mają zakończyć się określonym rozwiązaniem. Zakażony człowiek nie jest już w stanie działać samodzielnie, zgodnie z wolną wolą, nie jest już obrazem Boga. W odniesieniu do chrześcijańskiego paradygmatu to nihilistyczna wizja, w której:

„na końcu nie ma światła ani ciemności
na końcu nie ma końca nie ma granicy
nikt nie próbuje szkodzić ani pomagać
a mnie już nie brak niczego ani nikogo”.

[z wiersza 23,5]

A więc nicość wokół i w nas, „nagle piekło / które nas już pochłonęło” [z wiersza *nagle piekło*]. Lecz jeśli nie „ciemny krzyż z jasnym chrystusem”, cóż może nieść człowiekowi ocalenie? Bo przecież coś musi! W świat humanoidów, płynnej rzeczywistości, opresyjnej i klaustrofobicznej przestrzeni zawężonej do zaprogramowanych czynności wdzierają się las – autentyczny, nie wirtualny:

„las sechł żółkł czeźł las prawie zdechł
potem podeszła pod niego słodka woda
więc gdy go teraz zwiedzasz jak galerię
żyje puszcza pąki błyszczą i śmierdzi”.

[z wiersza *las*]

Z prostoty umierania kiełkuje złożoność życia. Z cząstek doświadczeń rodzi się suma stworzenia. Jeśli wciąż istnieje coś, czemu można przypisać kategorię *sacrum*, jest niezmierzone,

stałe, nieprzeniknione i wciąż się odradza – to natura. Co ważne, u Aleksandra Wiernego przyroda stanowi panteistyczną, boską całość i źródło naturalnej wolności dla człowieka [czy w duchu Spinozy?]:

„wszystko poszło źle i wszystko nie tak
więc powinniśmy spróbować jeszcze raz
niech stare kości znów obrosną mięsem
niech drewno kapliczki powróci do drzewa”.
[z wiersza *szatan*]

Brzmienie - repetycje

Nim w grudniu 1964 roku doszło do nagrania kanonicznego albumu „A Love Supreme”, John Coltrane – prekursor *free jazzu* i obok Milesa Davisa uznany za ojca tego gatunku muzycznego w ogóle – walczył z uzależnieniem od heroiny. W 1957 roku przeżył duchowe nawrócenie i od tego momentu wszystko podporządkował doskonaleniu się w grze na saksofonie tenorowym. Podkreślał, że Bóg, oprócz samej muzyki, jest w jego życiu sprawą najważniejszą. Zainspirowany afrykańskimi tradycjami muzycznymi i stylem afrykańskich śpiewów wprowadził do swoich utworów partie wokalne. Dał temu wyraz w „A Love Supreme”, kompozycji złożonej z czterech fragmentów łączących się w całość, w której każdy z instrumentów improwizuje wokół czteronutowej frazy wokalnejszej „a love su-preme” – tak twierdzą znawcy życia i twórczości artysty. Mnie jednak intryguje pewna zbieżność brzmieniowa przywołanego gatunku muzycznego i zamysł ideowy albumu w odniesieniu do omawianych wierszy.

Bo jeśli na formę wiersza, uproszczoną, zrytmizowaną, operującą powtórzeniem, nałożymy muzyczną strukturę określonego gatunku – wymowa owej formy traci schematyczny rys. Nabiera szczególnego wyrazu brzmieniowego. Żeby dobrze improwizować, trzeba do perfekcji opanować podstawy – Aleksander Wierny posługuje się techniką improwizacji w dziedzinie liryki ze znakomitym wyczuciem tonacji i siły dźwięku słowa. Umiejętnie dobiera tempo i ekspresję do opisywanych obrazów, trafnie stosuje znaczeniowe repetycje i dlatego w tym jednym tomie rozpisany niemal na kształt jazzowego *jam session* odnajdziemy utwory o różnej skali napięcia emocjonalnego, choć dalekie od operowania na ekstremach, skomponowane w przemyślaną, spójną całość tematyczną, znaczeniową i brzmieniową.

Zastanawiający wydaje się fakt, że do opisu stanów i sytuacji traumatycznych autor nie wybrał muzycznego tła na kształt monumentalnego oratorium czy operowej syntezy. Wdaje się, że właśnie ta skala brzmienia byłaby najwłaściwsza w oddaniu rozmiarów zarazy. A jednak nie – zdecydował o brzmieniu na swój sposób konfesyjnym, jednostkowym i osobistym – pokazał traumę nie poprzez zborowość, lecz nadał jej indywidualny charakter, jak jazzowy solista.

W odniesieniu do jazzu nie bez znaczenia pozostaje fakt, że gatunek ten wywodzi swoje korzenie z afrykańskiej muzyki ludowej towarzyszącej religijnym obrzędom, tańcom czy codziennym zajęciom, na którą silnie wpływał protestantyzm, a szczególnie protestanckie psalmy i hymny. Gospel i jazz czerpią inspiracje z tych samych źródeł. Nie przez przypadek wiersze w tomie *małe nowe ciała*, choćby przez swój wyznaniowy charakter, nasuwają skojarzenia z religijną pieśnią czy modlitwą. Repetycje fraz, ich rytmiczna struktura bliskie są litanii czy godzinkom.

Tytuł albumu „A Love Supreme” w dość wolnym tłumaczeniu oznacza najwyższą miłość, odnosi się do supremacji miłości jako najwyższego uczucia w hierarchii, swoistej dominacji i panowania miłości ponad wszelkim stworzeniem. Kolejne utwory układają się w pewną

fabularną opowieść, której zawartość tematyczna zostaje określona w tytułach utworów: I *Aknowledgement* [pol. wyznanie/przyznanie się], II *Resolution* [pol. deklaracja/przyrzeczenie], III *Pursuance* [pol. czyn/wypełnienie], IV *Psalm*. Kompozycja układa się w spójny obraz grzesznika w chwili przyznania się do winy, żalu za grzechy i obietnicy zadośćuczynienia. Wypełnienie złożonego przyrzeczenia przynosi oczyszczenie i zostaje zwieńczone dziękczynnym psalmem. Miłość – obok wiary i nadziei – wyzwala z grzechu i przynosi przebaczenie. Muzyka opowiada historię człowieka w określonym momencie jego życia. Z podobnym zabiegiem fabularyzującym temat mamy do czynienia w tomie wierszy A. Wiernego – część I *Nadejście zarazy*, część II *Choroba i uleczenie*, część III *Krajobraz po zarazie*. Trzy odrębne wątki stanowią konsekwentnie i logicznie realizowane rozwinięcie tematu nadrzędnego – wiersze budują liryczną fabułę, której akcja rozwija się zgodnie z ciągiem przyczynowo-skutkowym. Zgodnie z chronologią czasu podążamy za „Ja” lirycznym i obserwujemy kolejne stadia jego życia, motywacje, postawy, sposoby radzenia sobie z doświadczeniami krańcowymi. I gdzieś w tym wszystkim tkwi pytanie o praprzyczynę wszystkiego:

„powiesiłaś tybetańskie flagi modlitewne
nad tarasem sąsiedzi wołą wielkanoc
ja nie wiem więc tylko słucham muzyki
a love supreme a love supreme a love”.
[z wiersza *wielka niedziela*]

Bo jeśli nie filozofia, jeśli nie Bóg, to może właśnie miłość jest zdolna ocalić nas od nieistnienia?

kwiecień, 2022



aleksander wierny

**małe
nowe
ciała**

Aleksander Wierny, *małe nowe ciała*, wyd. Galeria Sztuki Współczesnej Biuro Wystaw Artystycznych w Olkuszu, wyd. I, Olkusz 2021, ss. 42.

Andrzej Piechocki

DELACJA Z KRAKOWA

JEDEN Z TEGOROCZNYCH SIERPNIOWYCH WEEKENDÓW spędziłem w Krakowie. Od razu na dworcu uderzył mnie obraz zbitej masy podróżnych przemieszczających się w podziemnym pasażu dworca. Tłum międzynarodowy, kolorowy, różnorodny, przy tym dziwnie niespokojny, kompulsywny, nieprzewidywalny, nerwowy, jakby wyczuwał nadejście ciężkich czasów. Twarze w tej ludzkiej fali były odmienne od obliczy ciekawskiej ciżby znanej mi sprzed pandemii i wojny w Ukrainie. Zaginęła luz beztroskiej turystyki, obawiam się, że na długo. I bądź tu, chłopie, optymistą! Co nas może uratować od czarnowidztwa i społecznej depresji? Myślę, że tylko poczucie humoru, dystans do samego siebie, ironia, może nawet ironia na granicy szyderstwa.

Wracając do Krakowa: w tym mieście dzisiaj trwa zmaganie pomiędzy współczesnym modernizmem i progresją a obskurantyzmem i ksenofobią tworzoną na podbudowie ciężkiej wersji polskiego katolicyzmu. Konfrontacja odbywa się na wielu płaszczyznach, między innymi w kulturze. W ten zatarg wpisują się dwie wystawy, które miałem szczęście obejrzeć, a mianowicie: jedną w Muzeum Narodowym – „Nowy początek. Modernizm w II RP” oraz drugą w MOCAK-u zatytułowaną „Polityka w sztuce”.

Każda wystawa w gmachu głównym Muzeum Narodowego stojącego w alei Mickiewicza to zawsze jest doniosłe wydarzenie, uświęcone przez miejsce i intelektualne otoczenie. Prawdę mówiąc, to wybierałem się na ekspozycję pod szyldem „Malczewski”, ale ta była właśnie zeszała z afisza. Przez przypadek trafiłem więc na coś bardziej ekscytującego, jak już wspomniałem – na polski przedwojenny modernizm.

Nazwa tego umownego okresu w dziejach sztuki pochodzi od angielskich słów *modern i art*. W Polsce po 1918 roku nastąpiła wielostronna reakcja na progresywne procesy, które niosły ze sobą postęp techniczny i społeczny rozwój. Na przełomie XIX i XX wieku część światowych elit intelektualnych widziała w postępujących dynamicznie zmianach technologicznych fizyczną i duchową degradację. Nie bez przyczyny ukuto wtedy termin dekadentyzm. Czytając krytyczne zapisy z tamtego okresu, widzi się podobieństwo poglądów z tym, co dzisiaj głoszą luminarze postnowoczesności.

Artyści międzywojnia wraz z wieloma reformatorami z innych dziedzin, odczuwając na własnej skórze skutki zachodzących zmian uznali, że sztuka powinna wziąć udział w procesie naprawy zmieniającego się świata.

Modernizm w II RP, jako potężna intelektualna fala, to była jedna z tych kilku rzeczy, która się Polakom udała przed wrześniem 1939 roku. Pojawiły się potężne postaci. Dzisiaj przedstawioną ekspozycję zdobią prace tak sztandarowych dla tego czasu artystów, jak między innymi: Xawery Dunikowski, Witkacy, Władysław Strzemiński, Tadeusz Makowski, Zofia Stryjeńska, Jonasz Stern, Katarzyna Kobro, Maria Jarema.

Zespół kuratorski „Modernizmu w II RP”, złożony z wybitnych znawców tej dziedziny, celowo odszedł od encyklopedycznego charakteru ekspozycji, tworząc w zamian opowieść o dynamice, charakterze i atrakcyjności tamtych artystycznych zachowań. Na wystawie znalazło się ok. 500 obiektów – dzieł sztuki, przedmiotów codziennego użytku, książek, projektów, makiet. Ma ona prezentować różnorodność i oryginalny charakter modernizmu w naszym kraju w okresie międzywojennym. Moderniści byli zafascynowani techniką, stąd nie może

budzić zdziwienia dobór eksponatów tworzących wystawę. Znajdziemy tam lampy z warszawskiej firmy A. Marciniak – Fabryka Żyrandoli Elektrycznych, jest też słynny plakat Wojciecha Kossaka reklamujący Polskiego Fiata, swoje miejsce mają radioodbiorniki zaprojektowane i wyprodukowane w krajowych zakładach. Wszystko jednak przebił słynny motocykl marki „Sokół”. Umieszczono go centralnie na lśniącym niebieskim podium. Z wrażenia nie sprawdziłem, czy była to „sześćsetka”, czy „tysiak” – nieważne, liczy się piękno. Zapamiętałem: jednoślada cały w lśniącej czerni, niklowany reflektor, srebrny silnik, bak z czerwonymi sztyldzikami, no i... no i te siodełka pokryte skórą w kolorze pomarańczy. „Sokół”, stojąc tak dumnie, był jak rzeźba dorodnego konia, piękny niczym jeden z czterech Rumaków Lizypa.

Poniesiony modernizmem, przenieśliśmy się na drugą stronę Wisły. Przez Most Kotlarski dojechałem tramwajem do Zabłocia, które jeszcze dwadzieścia lat temu było jedną z najbrzydszych przestrzeni Krakowa. Dominowały tam różnorakie zakłady produkcyjne przetykane magazynami, straszyły bazy budowlane, budy i szopy w peerelowskim wydaniu.

Oblicze tego miejsca zaczęło się zmieniać, gdy Steven Spielberg zrealizował swój słynny film zatytułowany „Lista Schindlera”, bo właśnie w tej dzielnicy, na ulicy Lipowej 4 stały budynki przedwojennej fabryki wyrobów emaliowanych. Z biegiem lat Zabłocie zmieniło swój wygląd i klimat. Powstała nowoczesna architektura – atrakcyjne miejsce do mieszkania, nauki i pracy dla młodych ludzi dobrze czujących się w kapitalizmie.

Moim celem był MOCAK – Muzeum Sztuki Współczesnej – szczególne miejsce na muzealnej mapie Krakowa. Nazwa pochodzi od angielskiego *Museum of Contemporary Art in Kraków*. Ważnym zadaniem tego obiektu jest próba zmniejszenia uprzedzeń wobec sztuki najnowszej. Muzeum powstało kilkanaście lat temu, kiedy to Gmina Miejska Kraków przejęła i wykupiła grunty wraz z budynkami na terenie dawnej Fabryki Schindlera. Dzięki wyobraźni i determinacji kilku ówczesnych decydentów powstał wyjątkowy kompleks, niespotykany w polskiej przestrzeni kulturalnej. Autorami projektu są włoscy architekci z pracowni Claudio Nardiego, którym udało się nawiązać do zastanego kontekstu urbanistycznego; pamiętano o postindustrialnej przeszłości krakowskiej dzielnicy Zabłocie. MOCAK – to struktura rozproszona, ale jednocześnie harmonijna, stanowią ją obiekty wykonane z szarego betonu w zarysie dachów szedowych. Dzisiaj rysunek dachów pilastych jest znakiem graficznym tej galerii. Wprowadzenie sztuki współczesnej w przestrzeń industrialną jest praktyką stosowaną obecnie w Europie.

Nie byłbym sobą, gdybym nie odniósł tego do Częstochowy, miasta, którego gospodarze uparcie lekceważą (żeby nie użyć innego słowa) jego przemysłową przeszłość (*vide*: mur kolei wiedeńskiej przy ulicy Piłsudskiego i postępująca dewastacja budynków przemysłowych dawnej fabryki Motte).

Krakowski MOCAK został otwarty w 2011 roku. Od tamtego czasu udostępniono tam cały szereg wystaw, które narobiły wiele szumu w artystycznej Polsce. Nadal w tak zwanej galerii otwartej możemy tam zobaczyć jedną z prac Doroty Nieznalskiej. Otóż, w pobliżu portierni fabryki wyrobów emaliowanych stoi dumnie kawałek muru zbudowany z cegieł pochodzących z rozbiórki hali w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Do cegieł przytwierdzona jest tabliczka z następującym napisem: „Dar Gdańska dla Krakowa”. Ta autorska propozycja Nieznalskiej jest przykładem zdystansowanego podejścia do patosu, wpisuje się też w ideę anty-pomnika; kryje się za tym drwina z bezrefleksyjnego podejścia do budowania mitu i legendy. Kopiowanie, odtwarzanie, preparowanie artefaktów przypominających oryginały lub wręcz opisywanych jako oryginalne stało się polską metodą.

Dzisiejszej „Polityki w sztuce” też nie sposób minąć obojętnie. Kuratorki wystawy – Maria Anna Potocka, Agnieszka Suchar i Martyna Sobczyk – konsekwentnie trzymają się tezy, że sztuka dzisiaj powinna służyć kontrolowaniu i krytykowaniu władzy. Pamiętając o tym,

zgrupowały w kilku salach muzeum prace ponad siedemdziesięciu artystów z kilkunastu krajów świata. Znajdują się tam eksponaty, jak przystało na muzeum sztuki współczesnej, wykonane różnymi technikami; szeroki zakres, od zdjęć i filmów video, przez malarstwo w technice klasycznej, grafikę ekspresyjną w technice mieszanej, po ekspozycje przestrzenne, które odbieram jako współczesną rzeźbę. Dwa dzieła przykuły moją uwagę, pierwsza rzecz to ratunkowa szalupa, w skali jeden do jeden, cała wykonana z obuwia uchodźców znalezionego na plażach południowej Europy. Widać tam dziecięce buciki, jest obuwie kobiet, pełno różnokolorowych i w różnych rozmiarach sandałów, pepegów, trampek i adidasów. Szkutnictwo naszych czasów.

Drugą mocną rzeczą z tej wystawy, która siedzi mi w głowie, jest zawieszony na niklowanym stelażu błękitny treningowy worek bokserski z namalowanym centralnie złotym wieńcem gwiazd dwunastu. Ta praca jest ostrzeżeniem: może się tak zdarzyć, że wielu znanych nam skądinąd „krzepkich eurosceptyków” przejdzie od metafory do czynu i potraktuje wytypowaną część społeczeństwa jak worek bokserski.

W pobliżu ekspozycji z workiem zostały zainstalowane dwa podświetlone kasetony znane z europejskich lotnisk. Na pierwszym z nich widnieje napis „Others”, a na drugim „EU Citizens”. Śmiało! Wybór należy do nas.

Sierpień 2022 r.



Wojciech Kotsut, „Czarodziej II”, rzeźba z masy papierowej srebrzonej, technika własna

Tomasz „Aztzenty” Barański

NA PODBÓJ STOLICY NASZEGO WOJEWÓDZTWA

Ja wiem, że w wakacje powinno się nad morze albo w góry tudzież inne Mazury, że nie wspomnę już o kurortach nad Adriatykiem czy Morzem Czarnym, ale mnie trafiło się do... Katowic. Taka ogromna aglomeracja śląska pełna samochodowych spalin i różnych wyziewów przemysłu ciężkiego może jednak okazać się ciekawa. Szczególnie imponuje mi tutaj przejazd pociągami przez wiadukty, sięgające swą wysokością połowy okazałych okolicznych budynków i te rozliczne kamienice, mogące opowiedzieć wiele ludzkich historii. Westchnąłem, bynajmniej nie po raz pierwszy, porównując moje rodzinne pocziwe miasto z tym całym ogromem. W dodatku gdyby nie życzliwość Romana, którego poznałem zaledwie rok temu na Festiwalu Łazików Marsjańskich w Kielcach, nie zdecydowałbym się wybrać na zwiedzanie niezliczonych tutejszych atrakcji ze względu na ich zbyt skomplikowane rozmieszczenie w samym mieście, jak i poruszanie się w samych tych instytucjach – na przykład podziemia w Planetarium to istny egipski labirynt albo labirynt Minotaura na Krecie. Kłopotem mogło okazać się też kupno biletów wstępu, które ze względu na sezon letni rezerwować trzeba było dużo wcześniej.

Najważniejsza dla mnie była wizyta w Muzeum Śląskim ze względu na czasową wystawę z okazji setnej rocznicy urodzin Józefa Szajny, dla Romana zaś wizyta w Planetarium – Śląskim Parku Nauki. Astronomia i wszystko, co z nią związane to także moja wielka pasja – wszak spotkaliśmy się z powodu łazików – więc zobaczenie nowej ekspozycji w Planetarium im. M. Kopernika stanowiło i dla mnie łakomy kąsek. Ale po kolei.

Jeśli chodzi o Muzeum Śląskie, to jego stałe zasoby były mi od dawna dobrze znane, jednak wiele się zmieniło, ponieważ Muzeum przeniosło się nie tak dawno do nowej, supernowoczesnej siedziby. Byłem ciekaw nowego budynku, no i nie zawiodłem się, odpowiada on nowoczesnym trendom współczesnej architektury. Spory, niezbyt wysoki szklany prostopadłościan zielonkawego koloru, ciągnący się chyba na sto metrów, sprawiający wrażenie, że całe życie instytucji toczy się w jego podziemiach. Jak się później dowiedziałem, na potrzeby muzealne adaptowano też znajdujące się w pobliżu dziewiętnastowieczne budynki.

Odnośnie wystawy, która miała być gwoździem programu, to spieszę donieść, iż dla uczczenia setnej rocznicy urodzin Józefa Szajny Muzeum Śląskie przygotowało retrospektywną wystawę pt. „100 x TeArt. Wolność Józefa Szajny”. Tytułowe słowo zawiera zbitkę słów kluczowych dla twórczości Szajny: teatr i sztuka. Gdyby jednak znalazł się taki „Trąbalski”, który nie kojarzy tego, jaką rolę odegrał Józef Szajna w sztuce współczesnej, to informuję za przewodnikiem po wystawie, że był on jednym z najwybitniejszych artystów świata. Urodził się 13 marca 1922 roku w Rzeszowie. Malarz, scenograf, reżyser, teoretyk teatru, twórca nowatorskich spektakli. Swoje prace przedstawiał na kilkuset wystawach indywidualnych i zbiorowych niemal na całym świecie. Twórca i dyrektor Centrum Sztuki Studio Teatr – Galeria w Warszawie. Doktor *honoris causa* kilku uniwersytetów. Uczestnik walki antyfaszystowskiej, więzień obozów koncentracyjnych Auschwitz i Buchenwald. Po wojnie studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Na przełomie lat 50. i 60. XX w. prowadził awangardowe działania plastyczne w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie. W 1962 roku współrealizował z Jerzym Grotowskim

„Akropolis” S. Wyspiańskiego w Teatrze 13 Rzędów w Opolu. Jego spektakle autorskie to m.in. „Faust”, „Replika”, „Witkacy”, „Dante”, „Cervantes”, „Majakowski”, „Ślady”, „Deballage”.

Sala ekspozycyjna została podzielona na siedem kręgów znaczeniowych. Tematami są doświadczenia obozowe, znaki i metafory charakterystyczne dla twórczości Szajny, teatr paniki i sklejony świat – pojęcia odnoszące się do teatru i narracji plastycznej. Wyodrębniono też obszary ilustrujące myśli: „Człowiek jest podmiotem, nie przedmiotem świata” oraz „Przez pracę staję się optymistą”. W ostatniej części pt. „Teatr jest moją intymnością” zawisły wybrane obrazy z ważnego cyklu „Epitafia i apoteozy”. Najważniejsza instalacja „Reminiscencje” to nie tylko rzecz o pamięci, ale ostrzeżenie przed zagładą, możliwą także dziś. To świat wielkiej ciszy, która obrazuje nagle przerwane życie.

Teatr budował Szajna według zasady układania ciągów obrazów, co jest widoczne w aranżacji. Pola narracji wyznaczają teatralizowane ekspozytyory o zróżnicowanej wielkości. Wejście na salę prowadzi przez wyciętą w czarnej ścianie sylwetę – symboliczną pustkę, najbardziej rozpoznawalny znak Szajny. Na rewersach ekspozytorów wyświetlono animację autorstwa Ewy Kucharskiej. Artystka ożywiła w swej pracy fragmenty mrowisk, zdjęć obozowych i sylwet. Wśród drgających obrazów oglądający wkracza w głąb Szajnowskiej rzeczywistości, rzucając cień ku wyjściu, widząc wybijający się napis: „Mrowiska to my wszyscy, jest nas na świecie coraz więcej bezimiennych, zagubionych, wyobcowanych i małych”. O los człowieka narażonego na obsesje Szajna upominał się najgłośniej. Wrażenia dopełnia ekspresyjna, nieregularnie rytmiczna muzyka Aleksandra Lasonia skomponowana do spektaklu „Ślady”.

Teraz o fascynującej przygodzie, jaką było zwiedzanie Planetarium – Śląskiego Parku Nauki. O ile sobie przypominam, to w czasach mojej młodości Planetarium było częścią Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku – dziś nosi nazwę Planetarium i Obserwatorium Astronomiczne im. Mikołaja Kopernika albo, jak pisałem wcześniej, Planetarium – Śląski Park Nauki.

Teraz mała dygresja: skąd Ślązacy – mieszkańcy metropolii wiedzą, która ulica czy nawet który budynek znajdują się na terenie Katowic, Chorzowa, Siemianowic czy Sosnowca? Rozmawiałem niegdyś z mieszkańcem Piekar, który twierdził, że to „dziura”, a ja mu na to, że przecież tramwaj tam jeździ i wystarczy pół godziny, żeby znaleźć się w samym centrum metropolii – na co on tylko pokiwał głową... Dowiadywałem się w tej kwestii także u Romana, który energicznie wyjaśnił, że to dla nich bardzo ważne, i że on w sumie mieszka blisko Siemianowic, uważając się za katowiczana, oraz że istnieją tu różne lokalne spory... I tak dalej nie wiem, która ulica czyja. A może granica przebiega przez środek ulicy?

Z powrotem do Planetarium; działa ono od 1955 roku. Jest największą i najstarszą placówką tego typu w Polsce. W 2018 roku dzięki środkom własnym województwa śląskiego oraz funduszom z Unii Europejskiej rozpoczęła się przebudowa i modernizacja, która zakończyła się w czerwcu 2022 roku. Planetarium – Śląski Park Nauki to obecnie jedna z najnowocześniejszych w Europie instytucji popularyzujących astronomię, sejsmologię i meteorologię. Listę naszych atrakcji ustalił Roman, rezerwując odpowiednie wejściówki. I tak jako pierwsza trafiła nam się impreza pod nazwą „Wieża widokowa – *camera obscura*”. Dzięki wieży można wzniesć się ponad korony drzew otaczających Planetarium i zobaczyć panoramę, rozciągającą się wokół najwyższego punktu w Parku Śląskim. Podróż na szczyt wieży odbywa się za pomocą specjalnej zaciemnionej windy. Wyznam, że to niesamowite obserwować na okrągłym ekranie zmieniające się jak w kalejdoskopie obrazy.

Następnym punktem była „Ekspozycja stała – Astronomia”. W nowym budynku, który znajduje się niemal w całości pod ziemią, prezentowane są interaktywne stanowiska dotyczące właśnie astronomii, sejsmologii i meteorologii. Zwiedzanie odbywało się pod opieką przewodnika, który w bardzo przystępny sposób opowiadał o różnych doświadczeniach

fizyko-astronomicznych (m.in. o budowie atomu), ukazywano też w obrazowy sposób – przy pomocy strumieni wody – jak fotony docierają do ludzkiego oka. Można też było przekonać się, jak działają średniej wielkości amatorskie teleskopy. Wrażenia były ogromne, jakbym odbył trójwymiarową wyprawę w kosmos.

Całkiem zaś zaskakująca okazała się „Ekspozycja stała – Geofizyka”; można było między innymi odczuć symulowane trzęsienie ziemi i wstrząs górniczy. To akurat wydarzenie podobało mi się chyba najbardziej, gdyż umieszczono nas, zwiedzających, w pomieszczeniu przypominającym pokój mieszkalny z wytapetowanymi ścianami, kanapami, stolikiem i telewizorem, po czym cała ta izba „odjechała” ze dwa metry od drzwi wejściowych i rozpoczął się spektakl, którego punktem kulminacyjnym było odtworzenie prawdziwego trzęsienia ziemi w konkretnym miejscu o magnitudzie ok. 4 stopni w skali Richtera. Przyznam, że podziało to na moje zmysły i wyobraźnię i gdyby tak miało być w rzeczywistości, bałbym się – odczułem dotknięcie natury, która nie zawsze bywa przyjazna.

Widziałem też, jak wygląda Ziemia z kosmosu i inne planety oglądane z bliska. Obrazy takie są ogólnie znane, ale tutaj prezentowane są w szczególnej formie, bardzo dobrej jakości, w pięknych barwach i niezwykle realistycznie. Poczulem też, czym różnią się strefy klimatyczne na naszej planecie. Urządzono cztery pomieszczenia: w jednej panował klimat jak na Grenlandii, w drugiej jak na Antarktydzie, w trzeciej klimat był upalny i suchy, jaki występuje na Saharze, w czwartej zaś upalny i bardzo wilgotny, jaki występuje w Tajlandii. Był to chyba pierwszy w moim życiu spektakl, w którym bodźce podziały nie tylko na wzrok i słuch – doszło odczucie temperatury, suchości i wilgotności.

Poza tym były jeszcze: spacer wśród gwiazd, cewka Tesli, miotająca pioruny ponadmetrowej długości czy kolumna pogodowa. Wreszcie samo Planetarium. Jego hybrydowy analogowo-cyfrowy system projekcyjny pozwala wyświetlić na największym w Polsce ekranie sferycznym około 100 000 milionów gwiazd i dowolne ruchome obrazy w rozdzielczości True 8K. Dzięki najnowocześniejszej technologii widzowie mogą odczuć niezwykle realistyczną podróż do najwspanialszych zakątków Wszechświata. Powierzchnia metalowego perforowanego ekranu sferycznego wynosi prawie 800 metrów kwadratowych. Na jego sztucznym horyzoncie znajduje się zrekonstruowana panorama, przedstawiająca otoczenie Planetarium Śląskiego z 1955 roku – wtedy był to płaski i pusty teren – dziś całą panoramę zasłoniły drzewa wysokopiennne.

Po standardowej podróży po rozgwieżdżonym niebie i opisie najważniejszych gwiazdozbiorów odbył się kolejno pokaz multimedialny pt. „W poszukiwaniu ciemnej materii”. Pokaz ten miał na celu zapoznanie widzów z przedstawioną w tytule tematyką – ciemna materia jest obecnie największym problemem współczesnej astronomii, budzącym wiele sporów (zdążyłem się zorientować, iż w tym temacie astronomowie po prostu są bezradni). Film ukazywał też główne nurty współczesnej nauki, np. słynny zderzacz hadronów Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych CERN, położony na granicy szwajcarsko-francuskiej nieopodal Genewy, który zbudowany jest w formie koła o długości prawie trzydziestu kilometrów, gdzie elektrony rozpędzane są do prędkości światła w celu ich zderzeń – jest to jednocześnie największa maszyna służąca do badań naukowych, jaka kiedykolwiek została zbudowana przez człowieka.

Sala główna Planetarium zawsze robiła duże wrażenie (pamiętam też z wcześniejszych pobytów tutaj, jak wielkie wrażenie robiła dyskretna muzyka Jeana-Michela Jarre’a), oprócz tego super wygodne fotele, klimatyzacja... Reasumując: nie trzeba szukać daleko, aby interesująco spędzić czas. Gdy na koniec jeden z przewodników zapytał, skąd zwiedzający przybywają, to moją odpowiedź, że jestem z Częstochowy, skwitował, że... z daleka. Naprawdę?

Jestem bardzo wdzięczny Romanowi, który niestrudzenie woził mnie swoją dacią po bardzo zakorkowanych ulicach, bez którego nie odbyłbym tak niezwykle ciekawej wycieczki.

Barbara Strzelbicka

BALANS DLA RÓWNOWAGI. O książce- -wywiadzie Tadeusza Piersiaka z Jerzym Kędziorą

JERZY KĘDZIORA JEST ARTYSTĄ ZNANYM I UZNANYM w Częstochowie, w kraju i na świecie, co przeczy powiedzeniu, że najtrudniej jest być prorokiem we własnym kraju. W rodzinnym mieście jest miejsce dla ekspozycji jego prac i zna je bodaj każdy częstochowianin – to te, które ogląda się z zadartą głową, choć jest także wyjątek – posąg legendarnego Częstocha, stojący na Starym Rynku. „Balanse” mają w sobie fascynującą tajemnicę, wymykają się prawom fizyki i bujają w powietrzu, choć przedstawiają ludzkie postacie. Jak one się trzymają tam, na górze i czy przy silnym wietrze nie spadną? – to pytania, od których nie sposób się uwolnić. Rzeźby łączą nas ze światem, z miejscami, do których zawędrowała twórczość Jerzego Kędziory, tworząc powód do poczucia jedności z nimi. Jedna z uczestniczek spotkania promującego książkę-wywiad z artystą wyznała, że gdziekolwiek spotyka rzeźby balansujące, czuje się jak w domu.

Jerzy Kędziora jest artystą wybitnym, świadomym swojej odrębności i swojego znaczenia, jednak nie prezentuje ani fałszywej skromności, ani tym bardziej zadufania. Udzielił wywiadu, a właściwie wielu wywiadów, bo książka jest zapisem wielu rozmów, Tadeuszowi Piersiakowi, postaci znanej i uznanej w Częstochowie, dziennikarzowi, w przeszłości kierującemu miejskimi instytucjami kultury, w tym Muzeum Częstochowskim, gdzie się Panowie w 1977 r. poznali przy okazji organizacji wystawy – T. Piersiak był wówczas na początku swojej drogi zawodowej, zaś J. Kędziora nieco bardziej zaawansowany.

Książka, którą T. Piersiak nazywa wywiadem-rzeczka, zaś jej podtytuł informuje, iż jest to *Przyczynek do biografii Jerzego Jotki Kędziory*, przedstawia życie, a może raczej obrazki z życia artysty w kolejności od wydarzeń najnowszych do najstarszych. Mowa tu oczywiście o biografii artystycznej, dyskretnie chroniącej życie prywatne, ujawniającej jedynie takie jego szczegóły, które miały istotny wpływ na życie twórcze. Jest to w pewnym sensie próba przedstawienia rzeźby w materii językowej. Rzeźba wymaga innych predyspozycji niż sprawność werbalna – choć i tej Jerzemu Kędziorze nie brakuje – na pewno jednak jest mocno wspierana przez przenoszących rozmowę z dyktafonu na papier – czego nie widać, jak nie widać szwów w dobrze skrojonym ubraniu. Prowadzący wywiad tylko na początku sformułował dłuższe pytania, potem ograniczył się do krótkich, tworząc pole dla aktywności bohatera i jest w książce niemal przezroczysty, starając się jedynie stworzyć ramy dla świata opowieści Jerzego Kędziory.

W tym świecie, pełnym barwnych ludzi i ciekawych zdarzeń artysta pozwala czytelnikowi zanurzyć się, a przebywanie w nim jest nie tylko ciekawe, ale także przyjemne. To świat nasycony twórczą energią – Jerzy Kędziora jest człowiekiem niezwykle kreatywnym, realizującym się na wielu polach, poszukującym i stale się rozwijającym. Nie chciał zdradzić tajemnicy rzeźb balansujących, z których znany jest na całym świecie.

Na spotkaniu promującym książkę (21 września b.r., sala reprezentacyjna Ratusza) Tadeusz Piersiak oddał głos gościom – jakby swoje już zrobił i przeszedł do części „pytania publiczności”.

Artysta nieco się zachnął, twierdząc, że miał inne oczekiwania: spodziewał się, że ciężar konwersacji przejmie prowadzący, a on nie będzie musiał mówić zbyt dużo. Niestety, to pragnienie nie zostało spełnione, goście mieli konkretne pytania do bohatera wywiadu, zwłaszcza że na spotkaniu byli obecni starzy znajomi, nazwani „chłopakami ze Stradomia” – dzielnicy, w której wychował się rzeźbiarz. Zarówno w książce, jak i na spotkaniu Jerzy Kędziora opowiedział wiele anegdot, świadczących o poczuciu humoru i o poczuciu dystansu wobec siebie.

Prace rzeźbiarza są niezwykle inspirujące, o czym świadczą dwa literackie przykłady. Udowodnił to Janusz Strojec, czytając na spotkaniu cykl swoich wierszy zatytułowany *Balansę*. Twórczo zainspirowana została także autorka „kryminału z Krakowem w tle” *Kolacja bałwochwalców* Ewelina Karpińska-Morek, czyniąc Jerzego Jotkę Kędziorę bohaterem swojej książki, opisując jego pracownię oraz balansujące nad Kładką Ojca Bernatka postaci, a także ozdabiając okładkę fotografią jednej z rzeźb. Dodajmy, że w Grodzie Kraka Jerzy Kędziora ma pracownię, mieszczącą się w szpitalu psychiatrycznym im. Józefa Babińskiego, gdzie rzeźby balansują w szpitalnym parku i pomagają pacjentom osiągnąć równowagę.

5 września b.r. bohater wieczoru obchodził 75. urodziny. Z okazji jubileuszu otrzymał od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego prof. Piotra Glińskiego list gratulacyjny, którego goście wysłuchali na stojąco, zabrzmiało też gromkie „Sto lat!”.

Książka jest pięknie wydana, co jest niewątpliwą zasługą Studia Kaktus Jarosława Katusa, bogata w fotografie ze zbiorów Jerzego Kędziory, starannie zredagowana przez Janinę Piersiak i Katarzynę Jezerską, a jej wydawcą jest Muzeum Częstochowskie. Publikacja została dofinansowana przez Miasto Częstochowę.



Tadeusz Piersiak, *Po drodze na igrce Częstochy. Przyczynek do biografii Jerzego Jotki Kędziory*, Muzeum Częstochowskie, Częstochowa 2022.

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

HIPOCHONDRYCY I NEURASTENICY

„Jeśli człowiek sam sobie nie jest lekarzem,
to po prostu jest głupcem”.
(Hipokrates)



HIPOCHONDRIA... HMM... PROBLEM NAJTRAFNIEJ CHYBA WYŁOŻĄ MEDYCY, pozwolę sobie zatem odwołać się do pewnej komedii Moliera, w której pojawia się świetna scena konsylium. Pan de Pourceaugnac, tytułowy bohater utworu, diagnozowany przez dwóch wielce dumnych ze swej wiedzy lekarzy, usłyszał, iż jest „nieszczęśliwie napastowany (...), nękanym rodzajem szaleństwa, który nazywamy z wielką słusnością melankolią hipochondriaczną”. Przypadłość owa, której objawy medycy dostrzegli w twarzy i ciele pana P., „powstaje ze skazy w którejś okolicy kałduna (...) w szczególności zaś śledziony, której gorącość i zaognienie doprowadza do mózgu chorego obfitość materii sadzowatej, gęstej i nieczystej”. Choroba wprawdzie bardzo poważna, ale pan P. nie powinien się trapić, bo jak zapewniali obaj eskulapowie:

„Wnet ustąpi cała bieda,
Uleczymy cię z ochotą,
Przybyliśmy tylko po to”.

Kuracja, która pozwoliłaby „usunąć tę pletorę uciskającą mózgowie”, powinna zawierać „hojne krwiopuszczanie żylné”, należało także „zaaplikować cholagoga, malangoga et caetera”, by kiszki przeczyścić dokładnie, tudzież kąpiele z dodatkiem serwatki.

Zdaniem pewnych swej diagnozy medyków pana P. dopadła groźna „melankolia hipochondriaczną”, tymczasem ów naiwny nieco, prowincjonalny kauzyperda był zupełnie zdrowy.

Przybył do Paryża, by z woli Oronta ożenić się z jego córką Julią. Serce panienki jednak dawno już zdobył Erast, należało więc niechcianego zalotnika wszelkimi sposobami skłonić do ucieczki, a ojca dziewczęcia przekonać do zmiany decyzji. Spisek – jak łatwo się domyślić – powiódł się znakomicie.

Molier miał złe doświadczenia z lekarzami, stąd częste w jego komediach uszczypliwości pod adresem medycyny i ówczesnych metod leczenia.

Wątek ten pojawił się także w jego ostatniej sztuce – *Chory z urojenia*. Argan, bohater utworu, panicznie boi się chorób i śmierci, uzależnił się tedy od lekarzy, aptekarzy, wierząc, że odsuną od niego zagrożenie. Pokojówka Antosia podkpiwa z jego zaślepienia: „Ten pan Wonny i pan Czyściel nieźle sobie hulają po pańskim ciecie. Odkryli w panu istną dojną krowę”.

Faktycznie sporo kosztowała Argana choćby „doskonała klistyrka przeczyszczająca z dubeltowego senesu, rabarby, miodu różanego” czy „kordialny ochronny napój (...) z dwunastu granów benzoardu” i inne specyfiki, które ordynował doktor Czyściel, by pacjenta nie dopadła bradypepsja, dyspepsja, apepsja i podobne przypadłości. Argan nie chciał uwierzyć swemu bratu Beraldowi, który radził, by raczej zaufał naturze albo „posłuchał w tej kestii której komedii Moliera”. Skupiony na sobie i swoich dolegliwościach Argan planował wydać swą córkę Anielę za Tomasza Biegunkę, by „wejść w powinowactwo z lekarzami, (...) mieć konsultacje i recepty pod ręką”.

Potrzeba było przemyślanej intrygi, by udowodnić Arganowi, jak był oszukiwany, nawet pod własnym dachem i przekonać go, iż sam może zostać swoim lekarzem.

Rolą Argana dawno już ciężko chory komediopisarz pożegnał się ze światem, zmarł tuż po czwartym przedstawieniu sztuki. Pochówek Moliera, na polecenie biskupa Paryża, odbył się nocą, w tajemnicy, nie zapomniano mu historii pobożnego obłudnika, którą ongi przedstawił w *Świętoszku*.

Przyczyn, dla których człowiekowi zaczyna towarzyszyć lęk, że zapadnie albo już zapadł na jakąś poważną chorobę, jest wiele, choćby owe „dysonanse życia”, które zdaniem Emilii Korczyńskiej, jednej z bohaterek *Nad Niemnem*, przekreślają wszelkie marzenia, zatrują ducha i ciało. Rozczarowania takie stały się jej udziałem już niedługo po ślubie, czyniąc ją smutną, samotną, a z czasem „czuła się coraz częściej napastowana przez różne bóle, dolegliwości, osłabienie, które zawsze przewidywała z daleka, spotykała z przestachem i usiłowała odeprzeć mnóstwem starań i środków”. Lękała się ruchu, gwaru, słońca i wiatrów, które sprowadzić mogły migreny lub zawroty głowy. Jedynie w swoim pokoju, pełnym zapachu rezedowych perfum i lekarstw, wygodnie wyciągnięta na szeszlunku, czuła się najbezpieczniej. Towarzystwa dotrzymywała jej Teresa Plińska, powiernica, także nieco przeczulona na punkcie swego zdrowia i lektorka romansowych powieści, a w razie gdy nadchodziła migrena czy *globus histericus*, Terenia spieszyła podać krople laurowe czy proszki bromowe.

„A bywają i inne wiatry – wyznał Anzelm Bohatyrowicz, kolejny z bohaterów powieści w czasie rozmowy z Justyną Orzelską – nie te, co w polu świszczą, ale te, co przez drogę życia człowieka przelatują”. Nerwowe rozdrażnienie, dotkliwe bóle, które lat kilka gnębiły Anzelma, czyniąc go kompletnie niezdolnym do czegokolwiek, lekarze złożyli na karb hipochondrii. Jemu owa choroba „duszna (...) więcej niżeli cielesna” przywodziła na pamięć tragiczne przeżycia z czasu klęski powstania styczniowego i niespełnioną miłość.

„Wybitną hipochondryczką” koledzy po piórze nazywali Zofię Nałkowską, która mocno niepokoiła się o swoje zdrowie, doszukiwała się różnych chorób, które podsuszała jej bujna wyobraźnia, a jednocześnie panicznie bała się, by diagnoza lekarska nie potwierdziła jej przeczuć. „Przeleżałam (...) w łóżku na jakąś nową chorobę” (...), „doznaję jakichś niemiłych przestraszeń i sensacji nerwowych” (...), „z lubością rozmyślałam o samobójstwie”, (...) „miałam (...)”

przez godzinę (...) straszliwy jakiś, niespodziewany i nieumotywowany ból zębów, wszystkich naraz. Boję się już wszystkiego, co mnie spotkać może”.

W listach do znajomych, a także w *Dziennikach*, które pisała już od młodości, by „pozostać dla ludzi żyjącą po śmierci”, podobnych skarg pojawia się sporo. Zofia nie znosiła – nie bez racji zresztą – gdy ktokolwiek wątpił w jej dolegliwości, wszak to, co dla otoczenia wydaje się być śmiesznym czy irytującym urojeniem, neurastenik odczuwa jako faktyczne dotkliwe cierpienie. Potwierdzają to słowa Argana – tu przywołam znów fragment komedii Moliera – skierowane do brata, wypominającego mu nadmierną troskę o zdrowie: „Chciałbym, żebyś się znalazł w mojej skórze, zobaczylibyśmy, czybyś tyle szczebiotał”.

Różne „dysonanse życia” nie ominęły także Nałkowskiej. Zofia miała spory temperament, pragnienie silnych wzruszeń, jednak gorące miłości, jakimi obdarzyła obu mężów i kilku innych, często sporo młodszych panów, którzy tylko – jak mawiała – „otarli się o jej życiorys”, nie przyniosły spełnienia, stąd poczucie krzywdy, upokorzenia.

Niezwykłe ambitnej pisarce sukcesy literackie wydawały się także zbyt nikłe w stosunku do spodziewanych. Gnębił ją też podobno nieustanny „ryczący brak pieniędzy”, nasilały się fobie, rozdrażnienie – „stykanie się z ludźmi jest mi jak sypanie soli na rany”. Co jakiś czas wracała do myśli o samobójstwie, „która daje pewien spokój, jedyne, powiedziałabym, życiowe oparcie”, zmarła jednak nagle na wylew krwi do mózgu.

„Patrzcie, na skarpie długaśna osoba!
Twarz u niej blada jak u Wertera,
Jak groszki zielone ma oczka,
Nos jak armata, nozdrza rozwiera” –

taki autoportret pomieścił Hans Christian Andersen w młodzieńczym tomiku wierszy. Świadomość osobliwego dość wyglądu własnego ciała była jednym z powodów, dla których całe życie czuł się nieszczęśliwy, samotny, niezasługujący na miłość.

Rodzinnie Odense opuścił kilka lat po śmierci ojca. W przykusym garniturku przerobionym ze starego tatkowego paltota przybył do Kopenhagi, wiedziony przemożnym pragnieniem, by dostać się do Teatru Królewskiego, w jakimkolwiek charakterze. Teatr oczarował go od czasu, gdy jako zupełny szkrab obejrzał wraz z rodzicami „Garncarza politykiem” Holberga i śpiewogrę „Dunajska panna”. A potem nawet tylko z tytułów z afiszów wyobrażał sobie akcję kolejnych spektakli i był wtedy „ze swoimi myślami i marzeniami, jakby rzeczywisty świat w ogóle nie istniał”.

W Kopenhadze zaczął szukać – nie bez powodzenia – dobroczyńców, którzy pomogliby mu spełnić marzenia. Przyszło przeżyć wiele rozczarowań, nie został – z różnych względów – ani śpiewakiem operowym, ani tancerzem baletu. Przeżył niejedno upokorzenie, pamiętano wszak o jego niskim społecznym pochodzeniu, ale cały czas przyświecała jedna myśl: „Łaknę uznania jak skąpiec dźwięku złota”. Zmagał się z przeciwnościami losu, ale i dręczącymi lękami. Bał się popaść w obłęd jak jego dziadek, wyśpiewujący piosenki własnego pomysłu uliczny wesołek, którego mieszkańcy Odense nazywali „długi wariat”.

„Ja tylko wyglądam jak umarły” – tej treści karteczkę Hans Christian zwykł był zostawiać przy łóżku, przerażeniem bowiem napawała go myśl, że mógłby zostać pochowany w letargu. Ratunkiem przed depresją, natrętnymi myślami, koszmarnymi snami, w których wielokrotnie widywał martwe dziecko, stały się podróże. Pojawiły się wprawdzie nowe niepokoje, wyobrażał sobie na przykład, że zostanie zamordowany przez towarzyszy podróży albo w hotelu wybuchnie pożar, na wszelki więc wypadek woził zawsze ze sobą linę. Bał się, że złapie jakąś infekcję albo straci bagaże, sam przyznawał: „O, jak ja potrafię się zadrećcać”.

O zdrowie zawsze przesadnie się troszczył, wiele mówił o nawet najbardziej intymnych sprawach, lubił, gdy słuchano go z uwagą, wyrażano współczucie, w przeciwnym razie stawał się osowiały, nieszczęśliwy. Niepokój Hansa Christiana często budził na przykład penis, w swych pamiętnikach wielokrotnie notował: „Penis w złym stanie (...), Penis wciąż bolesny, obym tylko czegoś nie złapał w ubikacji na statku”. Biografowie sporo uwagi poświęcili niejasnej seksualności Andersena, abstynencji seksualnej, którą z rozmaitych przyczyn wybrał i znaczkom +, które w zapiskach pisarza oznaczać miały momenty, w których uprawiał masturbację. Zdarzało mu się, zwłaszcza w starszym wieku, bywać w domach publicznych, ale – „nie grzesząc czynem, ale owszem, w myślach” – jak przyznawał. Rozmaite seksualne frustracje znalazły potem wyraz w długiej baśni *Driada*.

Cierpień przez niemal całe życie przysparzały mu także zęby: „Opuchlizna dziąseł niepokoi mnie (...), obym tylko nie dostał infekcji”.

Baśń *Ciocia Bólzęba* stała się literackim zapisem owych dokuczliwości.

Wysłuchany w sobie, dramatyzujący swoje losy Hans Christian stale znajdował objawy budzące strach, choćby „to uczucie słabości, to szczypanie w kręgosłupie, pewnie mam zanik rdzenia, albo wariuję”.

Mijające lata, ostatnie, chwilowe jedynie próby ucieczki od samotności pogłębiały smutki. „Często wraca pragnienie nagłej śmierci” – pisał. Nie był mu jednak pisany taki koniec, zabił go rak wątroby.

Wiele trosk dotyczących zdrowia powstaje w głowie pod wpływem przeczytanych czy zasłyszanych wiadomości. Jean-Jacques Rousseau każdą chorobę, o której przeczytał w medycznych księgach, przypisywał sobie, o czym świadczyć miały różne absurdalne objawy, o których chętnie opowiadał. „Nieszczęścia realne – przyznawał – mało wywierają na mnie wpływ, daleko więcej trapią mnie te, które wymyślam sam, oczekiwane nieszczęścia straszniejsze są dla mnie aniżeli te, których doświadczam”.

Pierwsze lata życia Jeana-Jaques’a miały niewątpliwie ogromny wpływ na nerwowe rozdrażnienie, nieufność, wszelkie niepokoje, sprzeczności charakteru, które towarzyszyły mu przez resztę życia. Jean-Jacques był młodszym synem genewskiego zegarmistrza, matki – podobno niezwykle pięknej – nie poznał, zmarła bowiem kilka dni po jego urodzeniu. Ojciec, z powodu jakiejś sprawy pojedynkowej, musiał uciec z Genewy i już nigdy w życiu syna się nie pojawił. Dziesięcioletnim chłopcem zajął się krewny, surowy pastor, który chciał przysposobić go do jakiegoś rzemiosła. Znudzony Jean-Jacques, gnany chęcią przeżycia przygód, poznania innego świata, uciekł rychło, włóczył się po Szwajcarii, korzystając z pomocy rozmaitych dobroczyńców. Upodobanie do samotnych wędrowek, znajomość leczniczych ziół, które wówczas poznawał, pozostała mu na resztę życia. Jedną z osób, które wprowadzały go wówczas w życie, była niejaka pani Warens, początkowo trochę matkująca, z czasem i kochanka. Rousseau ciągle szukał dla siebie miejsca i zajęcia, nigdzie dłużej nie wytrzymał. Chwytał się różnych rzeczy, skomponował nawet – ciesząc się podobno powodzeniem – operę w stylu pasterskim, której tekst w całości, a muzyka w znacznej części była jego dziełem. Marzył o wielkiej miłości – z owych tęsknot zrodziła się *Nowa Heloiza* – związał się jednak – ku zdziwieniu przyjaciół – z prostą, matołowatą nieco Teresą Levasseur, którą nazywał „jedyną prawdziwą pociechą, jaką mu niebo zesłało w niedoli”. Na świat przyszło pięcioro dzieci, wszystkie – dzięki pomocy położnej Gouin, doświadczonej w załatwianiu podobnych spraw – trafiły po urodzeniu do przytułku. Rousseau nigdy się ich dalszym losem nie zainteresował. „Zdecydowałem się (...) bez cienia skrupułu” – pisał. Mówiono czasem, że Jean-Jacques nie był ich ojcem, miały być owocem przygód miłosnych Teresy. Rousseau o wymyślonych przez siebie chorobach mówił wiele, o prawdziwych pono milczał. A wedle pewnych opinii, skutkiem wiatru rdzenia

pacierzowego, miał być impotentem. Wytykano mu hipokryzję, odpowiedzią na zarzuty, ale i obroną, spowiedzią odsłaniającą najczarniejsze zakamarki duszy miały być *Wyznania*. Jak twierdził Rousseau w liście do Sophie d’Houdetot – „Od znanych mi ludzi odróżniam się tym, że popełniając błędy, zawsze je sobie wyrzucam”.

Niespokojne życie zakończył Jean-Jacques nagle, pojawiły się nawet, bezpodstawne raczej plotki, że je sobie odebrał. Zmarł w Ermenonville, w posiadłości swego żarliwego wielbiciela markiza de Girardin. Markiz urządził tam ogród na wzór opisanego w *Nowej Heloizie*. Ciało Rousseau złożono do grobu na „Wyspie Topoli”, pośrodku jeziora. W przyszłości szczątki pisarza były – w zależności od tego, jak zmieniał się odbiór jego pism – kilka razy przenoszone.

„(...) niewolnik jestem,
W niewoli u przeklętych lęków,
W więzieniu strachu i struchlenia” –

wyznał Julian Tuwim, od wczesnej młodości nękany różnymi przypadłościami o podłożu psychosomatycznym, nawracającymi depresjami. Wiele owych słabości było efektem nie-dobrej atmosfery panującej w rodzinnym domu poety. Przyszedł na świat w Łodzi, w niezamieszanej rodzinie spolszczonych Żydów. W młodzieńczym wierszu *Rym* zapisał:

„Z okien swych widzę mdły nieba łach (...)
Mury fabryczne, spękany dach
I rozrzucone wszędzie kominy”.

Mama, mocno przewrażliwiona, różne swoje lęki przelewała na dzieci, Julka i jego siostrę Irenę, dzięki niej jednak – jak przyznawał Tuwim – został poetą. W *Kwiatach polskich* pojawiło się takie wspomnienie:

„(...) nieśmiała,
Panieńsko smutna i nerwowa (...)
Pani Adela Tuwimowa”.

Źródłem cierpień i matki, i syna była też owa słynna myszka, ogromne znamię, które szpeciło policzki Juliana.

Po tacie Izydorze, drobnym urzędniku bankowym, odziedziczył Julian lingwistyczne zainteresowania. Chciał być podziwiany, kochany, od Losu oczekiwał wyjątkowych doznań:

„Do krwi rozdrapię życie,
Do szczętu je wyżyję,
Zębami w dni się wpiję”.

Przeniesienie się do Warszawy otworzyło wiele możliwości, ale i nasiliło poczucie wyobcowania, w niespokojnej atmosferze międzywojnia zaczęły się niewybredne ataki agresji, obelgi:

„(...) a dla mnie szubienicy żądał
Poeta polski Pierd-Piertkiewicz (...)
Kto żyw, ten błotem mnie smarował”.

Zgorszenie budziły niektóre – młodzieńcza *Wiosna* czy *Do generałów* – utwory Juliana, co wspominał w przejmujących słowach:

„Moją miłość, mój sakrament,
Pierwsze słowa mojej pieśni,
Na plugawe kły chwycili
I na strzępy mi roznieśli”.

Atmosfera taka nasilała rozmaite niepokoje, w listach do przyjaciół skarżył się: „dają mi się we znaki moje przypadłości lękowo-agorafobiczne”. Czasem nie był w stanie wyjść z domu, leżał w mieszkaniu na tapczanie w półmroku. Zaczął nadużywać alkoholu, ucieczki szukał w pracy, w zagłębianiu się w swoje bogate księgozbiory. Psychiatria upatruje przyczyn agorafobii w różnych problemach seksualnych. Mówiono więc, że piękna żona Stefania nie była wierna, niektórzy w bezdzietności pary – córka Ewa była dzieckiem adoptowanym dopiero po wojnie – chcieli widzieć homoseksualne upodobania Juliana.

Potem nadeszły gorsze dramaty: śmierć ojca, nieudana próba samobójcza mamy, która zaczęła się leczyć w szpitalu psychiatrycznym w Otwocku, wybuch wojny, pospieszna ucieczka z kraju i tragiczna wieść o śmierci Adeli:

„Zastrzelił ją faszysta,
Kiedy myślała o mnie (...)
Nabił – zabił tęsknotę (...)
Trupa z okna wyrzucił”.

Tułaczka wojenna nasiliła depresję, lęk przed przyszłością, starością, powrót do kraju był kolejnym rozczarowaniem. Z marzeń młodzieńczych niewiele się spełniło... Wcześniej uświadomił sobie:

„(...)chodzę, patrzę. Trwam (...)
Czekam bez nadziei. (...)
Wiecznym kołowrotem
Będą przechodzić jutra w niezmiennej kolei,
Aż jedno z nich nie przyjdzie. Wiem. Pamiętam o tem”.

Jan Lechoń przyznawał, że charakter miał niełatwy, był „kapryśny, egotyczny, neurasteniczny”, znajomi – Zdzisław Czermański choćby – potwierdzali: „był ciężkim neurotykiem. (...) Psychicznie niewytrzymały”.

Od lat najmłodszych miał skłonność do melancholii, załamań, bał się, że popadnie w obłęd, był mało odporny na przeciwności losu, a jednocześnie chciwy życia, pragnął sławy, rozgłosu. Zapomnienia od lęków starał się szukać w bujnym życiu towarzyskim, ale depresyjne nastroje wracały:

„Smutek taki mnie chwycił, że zda się aż skomli,
Ani przed kim się zalić, kto wie, kiedy minie”.

Udręczenie miało też źródło w inności upodobań intymnych. Stanisław Baliński, dobrze znający Lechonia twierdził, że miał on skłonności biseksualne, wstydił się odmienności, ale

nie mógł się spełnić w związku heteroseksualnym, zaręczyny z ładną, mądrą Wandą Serkowską zerwał. Młodzieńcza próba otrucia się weronalem nie powiodła się, ale przecucie, że skazany jest na tak tragiczny los, pozostało. Strach przed śmiercią, a jednocześnie swoista nią fascynacja towarzyszyły mu od młodości:

„Pytasz, co w moim życiu z wszystkich rzeczą główną,
Powiem ci: śmierć i miłość – obydwie zarówno”.

W *Dzienniku* pisany w ostatnich latach przed śmiercią zapisał, że miewał uczucie – „że śmierć jest wybawieniem, nagrodą, że jest naszym celem”. Lechoń był perfekcjonistą, maksymalistą, stale robił sobie wyrzuty, że nie rozwinął wszystkich uzdolnień, jakimi obdarzył go los: „Czy zmarnowałem mój talent plastyczny, (...) chciałbym coś jeszcze tutaj naprawić i nadrobić, choćby jakąś książkę swoją zilustrować”. Muzykalny po matce, grywał na pianinie bez nut, improwizował. „Muzyka zawsze pomagała mi przy pisaniu” – przyznawał. Motywy muzyczne odnajdziemy w wielu utworach Jana, takich choćby jak *Scherzo czy Menuet*, a kilka lat przed śmiercią stworzył nawet muzykę do wiersza Paula Verlaine’a *Chanson d’automne*.

Wybuch wojny, przymusową emigrację i coraz większą z upływem lat pewnością, że pisany jest mu „wygnańczy grób” przypłacił depresją, nasileniem dolegliwości: „Coś mi jest na pewno, ale to może być tylko «dusza», na którą najtrudniej o lekarstwa”.

Dziennik, w którym codziennie zapisywał jedną stronę – „mój wierny towarzysz, niemal przyjaciel, o którym myślę z czułością” – pozwala śledzić rozpaczliwe, ale w efekcie nieudane próby odzyskania równowagi psychicznej: „Mam poczucie prawie fizyczne interwencji obcych woli w moje życie”. Praca, bujne nawet życie towarzyskie, spokoju nie przywracały, bywały dni, kiedy: „brałem wszystkie możliwe, najsprzeczniesze w działaniu proszki – i miałem uczucie, że wariuję”. Zapisywał sny, często przerażające – „Najgorsza była jakaś figura bez głowy, która chciała się do mnie dostać, przeciekając przez zamknięte drzwi”, próbował – by lepiej zrozumieć siebie – odczytać zawarte w nich symbole, ale w sen jednoznaczny seksualnie – jak przyznawał – „boję się (...) zagłębiać”. Bo też i nie odsłonił w *Dzienniku* najszybszych zakamarków duszy, pozostał niedopisany, pełen niedopowiedzeń: „ten *Dziennik* to będzie moja fantazja na mój temat”. Ostatni zapis sprzed kilku dni przed samobójczą śmiercią poety – po której natychmiast pojawiły się domysły, narosły niewybredne plotki, brzmiał: „na walkę z sobą jest tylko modlitwa”.

W przejmującym wierszu *Lechoń* pamięć przyjaciela przywołał Stanisław Baliński:

„Stoisz sam w nowojorskim mieszkaniu i słuchasz
Moniuszkowskiej nostalgii, zakłętej w kurancie,
Który cię już pocieszyć nie może... Wybiegasz!

Jak ty się spieszysz, Leszku. Zabrakło ci celu,
Prócz drogi do jakiegoś obcego hotelu.
Wszystkie lęki się zbiegły, wróżby, przepowiednie,
Biegiesz teraz po schodach, nie tęsknisz, nie płaczesz!...
Leszku, uważaj, Leszku, bo za tobą biegnie
Twój cień w starym żakiecie, dopadł cię u szczytu,
Dotyka twoich ramion, woła: «Skacz»
I skaczesz”.

„(...) istnieje dla niego tylko on sam, wszyscy inni są jedynie numerami. Wielki szachista, ludzkość jawi mu się jako przeciwnik, któremu postanawia dać mata” – taką opinię o Napoleonie zapisała pani de Stael-Holstein, które miała okazję poznać go jeszcze przed wyprawą do Egiptu.

Zanim wszak sam Bonaparte mógł wyznaczyć jednemu z przyjaciół: „Czuję, że pisane są mi czyny, których żyjące pokolenie nawet nie przeczuwa” – musiał pokonać wiele trudności, uporać się ze swymi słabościami. „Byłem dzieckiem upartym (...). Byłem kłótlivy i skory do bójki”, respekt miał jedynie dla autorytetu matki, chciał być kochany, rozpieszczany, ale już jako dziewięcioletek rozpoczął edukację w kolejnych szkołach wojskowych, daleko od domu. Czuł się samotny, tęsknił, koledzy Francuzi dla ubogiego, wątłego Korsykanina życzliwi nie byli. Czytywał *Żywoty sławnych mężów* Plutarcha i lubił się „oddawać swoim samotnym marzeniom i przypiływom melancholii”.

Niezaspokojoną wówczas potrzebę miłości w przyszłości kołysały nieco sukcesy militarne i polityczne, ale pełni szczęścia nigdy nie osiągnął. Nienasycona pozostała też żądza potęgi, sławy, nadwornym malarzom udzielał wskazówek, jak powinni uwiecznić jego czyny i osobę. Niedługo po koronacji na cesarza – wspominając Aleksandra Wielkiego – wyznał Decresowi: „Przyszedłem na świat za późno, nie ma już nic wielkiego do zrobienia (...). Przyznaję, zrobiłem ładną karierę, ale jakaż różnica w porównaniu ze starożytnością”.

Napoleon przypisywał sobie żelazne zdrowie, pracował gorączkowo, mało sypiał, nieregularnie jadał, w okresach napięć pojawiały się dolegliwości psychosomatyczne, zwłaszcza czuły był żołądek, dokuczały gwałtowne kurczowe bóle. Łagodziły je długie kąpiele w gorącej wodzie, kamerdyner Constant dbał, by nawet nocą była ogrzana łaźienka, gorąca woda, szlafrok z białej flaneli, szlafmyce tudzież mydło z różaną esencją, proszek z koralu do mycia zębów i inne niezbędne akcesoria.

Napoleon do końca życia starał się dbać o honor, majestat, także wtedy, gdy angielski okręt Northumberland wysadził go u wybrzeży odległej Wyspy Świętej Heleny na dożywotni pobyt. Zawsze czuły na punkcie honoru Napoleon los przyjął z godnością, mimo że gubernator sir Hudson Lowe stosował różne szykany: „Skargi są poniżej mojej godności i nie odpowiadają mojemu charakterowi. Albo wydaję rozkazy, albo milczę”.

Taką postawę zachował do końca życia, choć zabójczy klimat i brak dobrej opieki lekarskiej spowodowały ogromne cierpienia, które leczono często wówczas stosowanym, zasobnym w rtęć, kalomelem (Galen już wieki wcześniej napisał: „Człowiek umiera nie od chorób, a od lekarstw”).

Doktor Arnott, który doskonale widział cierpienia Napoleona i zbliżającą się agonię, w raporcie do gubernatora – podobno z chęci pozyskania jego przychylności – napisał, że choroba Napoleona jest efektem hipochondrii.



Jarosław Kapsa

PĘPEK ŚWIATA (OPOWIEŚĆ W SIĘDMIU ODSŁONACH Z DODATKIEM WIELKIEGO FINAŁU)

KAŻDY MA SWÓJ PĘPEK, NIEKTÓRZY MAJĄ PĘPEK ŚWIATA. Pępkiem mojego świata był plac Biegańskiego, centralne miejsce śródmieścia Częstochowy, tętniące pulsem naszej prawie-wielkowiejskości. Życ mogłem w przekonaniu, że jeżeli coś nie dzieje się na placu, nie dzieje się w ogóle...



Plac Biegańskiego. Kadr z filmu „Częstochowa lata 60. XX wieku” KAS FILM

I

Zamieszkałem przy placu, we – wznoszącym się ponad Aleje – wieżowcu z windą, pod adresem: ul. Dąbrowskiego 1. Był to rok 1961, bo pierwsze, co zapamiętałem, to makieta rakiety z dykty, ustawiona z okazji pobytu Gagarina w Polsce. Gmaszysko przy placu dopiero oddawano do użytkowania. Kwitła wtedy duma z modernizmu, zmieniającego małomiasteczkowy ciemnogród w nowoczesny ośrodek przemysłowy; zachwycano się tworzeniem betonowych „drapaczy chmur”¹. Zaznaczę skromnie, że nasz był drugi w mieście; drugi jako „drapacz”

1 Takie określenie wysokich budynków, wyrażające zazdrość wobec Ameryki, przeniosło się z przedwojnia w powojnie.

i drugi jako dom mieszkalny z windą. Pierwszy był przy krzyżówce ul. POW² z ul. Szymanowskiego, na osiedlu budowanym na południe od Alei. Ten prymat wynikał z racjonalnego pomysłu; była tam kotłownia ogrzewająca osiedle, jej komin „wsadzono” w wapiętrzący się nad centrum „drapacz chmur”. Nasz „drapacz” nie wynikał z tego typu racjonalnych powodów. Alei nie zniszczyła wojna, stanowiły estetycznie logiczny ciąg zabudowy; korciło nowatorów, by coś tu spieprzyć. Wymyślono więc 8-piętrowy parawan z cegły i betonu, który przesłaniać miał panoramę na Jasną Górę. Ktoś pewnie przytomnie zaprotestował, więc w linii Alei stworzono paskudę trzypiętrową, a wyższe boczysko zepchnięto odrobinę w głąb ul. Dąbrowskiego. Z kościoła św. Zygmunta nadal można było widzieć Klasztor, a z murów Jasnej Góry komin na Zawodziu; zatem, mimo śmiałych planów, wszystko pozostało w normie.

Projekt architektoniczny twórczo łączył nowe ze starym. Zgodnie ze sztuką, od frontu, na dole miały być lokale użytkowe, zaprojektowano je z uwzględnieniem potrzeb ciała i ducha. W niższym budynku, tym przy Alejach, na dole, ciało służyła restauracja „Astoria”. W moim bloku dwie dolne kondygnacje oddano duchowi, wprowadzono tu Międzynarodowy Klub Prasy i Książki (eMPiK, który grzechem byłoby mylić z tym obecnym Empikiem). I to było dobre, a nawet słuszne. By było jeszcze słuszniesze, na dachu „wieżowca” zaprojektowano taras widokowy, skierowany przezornie na wschód (bo panorama wschodnia ukazywała przemysł, a nie ciemnogrodzkie religianctwo). Zapleczem obu budynków, małego i dużego, było ogromne podwórkó, a raczej połączone harmonijnie dwa podwórkó, wolne w latach 60. od samochodów. Przestrzeń dzieliła stojąca na środku przedwojenna kamienica z kamienia wapiennego, z kranem na zewnątrz i – również zewnętrznymi – toaletami przytulonymi dyskretnie do ściany. Drugie podwórkó, za opisaną kamienicą, zamykała szara bryła hali Zakładów Graficznych. Pierwsze było bardziej eleganckie, oprócz trylinki pojawiały się trawniki, wdzięku dodawała stacja transformatora i „grzybki” – wyloty wentylacyjne schronów. Można było też tu przejść skrótem do ul. Raclawickiej, mijając po drodze barakowaty przedwojenny jednopiętrowy budynek mieszkalny z malowniczymi drewnianymi galeriami. Dla dzieci też się coś na podwórkach znalazło: piaskownica i dwa trzepaki. I starczy, bo chłopcy bawili się w wojnę, a dziewczynki w gumę lub klasy...

Wyjście na ul. Raclawicką przenosiło w podmiejskość; była to wtedy, zaślepiona od północnej strony, cicha uliczka zatopiona w zieleni ogrodów. Także i ul. Dąbrowskiego, pokryta klinkierem, nieobciążona ruchem samochodowym, otoczona przedwojennymi kamienicami, sprawiała wrażenie przyjaznej dla ludzi. Przyjazność podkreślać miał umieszczony na rogu z ul. Raclawicką I. Komisariat MO.

II

Człowiek jest tylko przechodniem w wiecznie trwającym świecie. Miejsce, uważane przeze mnie za pępek świata, nie od razu się takowym stało. Raczej powoli, spokojnie dojrzewało do swej roli. Droga z Częstochowy do Częstochówki prowadziła ulicą Jasnogórską, na miejscu obecnego placu była pewnie jakaś łączka lub lasek. Ambitnemu przeorowi Jasnej Góry o. Andrzejowi Gołdonowskiemu³ przyszło w XVII w. do głowy otoczyć klasztor kościołami; na zachód od Jasnej Góry ufundował kaplicę św. Rocha, na południe kościół przy klasztorze św. Barbary, a na wschód kościół św. Jakuba. Nazwa świadczyła o proroczej wizji połączenia ruchu pielgrzymkowego na Jasną Górę z drogą do Santiago de Compostela. Po szwedzkim potopie przy kościele powstał szpital, co raczej w tamtych realiach oznaczało hospicjum –

2 Podaję współczesne nazwy ulic, by nie mącić Czytelnikom w głowach.

3 Żyjący w latach 1596-1660 przeor klasztoru św. Barbary i prowincjał zakonu oo. paulinów.

umieralnie dla ubogich. Świątynię otoczył mały cmentarzyk, dzięki hospicjum szybko się powiększający. Znikł on po zburzeniu starego kościoła, ale co niektórzy podejrzewali, że mieszkaliśmy nad kośćmi XVII- i XVIII-wiecznych nieboszczyków.

Miejsce to w czasach upadku I Rzeczypospolitej dalekie było od pretendowania do roli miejskiego centrum. Zresztą, co to było za miasto, ta Częstochowa: kilkanaście murowanych domów i spalony ratusz. A Częstochówka... chyba dla żartów August II ją miastem nazwał...

Brzmi to niepatriotycznie, ale Częstochowa swoją miejskość ponoć zawdzięcza carowi Rosji, a lokalizację miejsca centralnego Żydówce ze Starego Miasta. Trzymam się tu gawęd Stanisława Rumszewicza⁴, adwokata i amatora krajoznawstwa. Wedle jego opisu w sierpniu 1822 r. cara Aleksandra krótszą drogą z rynku przy Warcie na Jasną Górę poprowadziła Roza Ginsburg; dzięki temu władca zdecydował o wytyczeniu Alei. W tej opowieści niezbyt zgadzają się daty; Aleje już w 1818 r. wykreślił kaliski urzędnik Jan Berhardt, a decyzję o połączeniu starej i nowej Częstochowy podjął rząd suwerennego państwa⁵ Królestwa Polskiego. Nie jest mi jednak znana opowieść o pobycie w Częstochowie ks. Druckiego Lubeckiego⁶, więc – oczarowany wdziękiem Rozy, przyszłej pani Landowskiej – trzymam się Rumszewicza.

Męczył moją świadomość lokalną inny szczegół. Berhardt wytyczył Aleje w szczerym polu, po nowatorsku wyznaczył szerokość 44 m, wydzielił szerokość parceli pod zabudowę, kazał posadzić drzewa itd. W planie wykreślił miejsca na 3 rynki: obecny plac Daszyńskiego, plac Biegańskiego i błonia jasnogórskie. Zabudowa jednak pojawiała się z wolna, pierwsze rozlało się Stare Miasto, tworząc bogatymi kamienicami I Aleję; III Aleja do połowy XX w. pozostała półwiejską, z niskimi domkami, jakby przeniesionymi z centrum Żarek. Z jakiego więc powodu na placu, nazwanym rynkiem św. Jakuba, zdecydowano się budować okazały, jak na małe miasto, gmach ratusza? Magistrat usadzono na przedmieściu, domyślając się jedynie, że tam się przeniesie życie częstochowskie. Zlekceważono rzeczywiste centrum: Stary i Nowy Rynek.

Przez pierwsze 50 lat po zjednoczeniu Częstochowy z Częstochówką (oficjalnie datowanym na 19 sierpnia 1826 r.) nic nie potwierdzało słuszności tego mniemania. Był Ratusz, elegancki, z pawilonami po obu stronach; w jednym były magazyn i straż miejska, w drugim areszt dla opojów i chuliganów. Przed Ratuszem posadzono drzewka, krzewy i kwiatki. Z tyłu w drewnianych szopach trzymano konie i bryczkę prezydenta. Dalej – były pola, na których uprawiano ziemniaki i kapustę na potrzeby urzędników magistrackich. Po drugiej stronie placu był, podniszczony czasem, kościół św. Jakuba⁷, otoczony cmentarzem oraz niską zabudową klasztoru sióstr mariawitek⁸ i szpitaliku dla biednych. I nic więcej. Nie było ulic Dąbrowskiego, Kilińskiego, Śląskiej; między obecną ulicą Wolności a ul. Pułaskiego żadna poprzeczna droga nie przecinała Alei. Bo i po co? W kierunku północnym miasto kończyło się na ul. Jasnogórskiej, dalej była struga płynąca wśród bagna⁹, niosąca zanieczyszczenia z Jasnej Góry. Druga podobna rzeczka płynęła obecną ulicą Waszyngtona, wyznaczając południową granicę

4 Zacny mecenas Rumszewicz w czasie I wojny światowej publikował, ku pokrzepieniu serc, w „Gońcu Częstochowskim” opowiadki o mieście i regionie; piękne, lecz nie zawsze zgodne z faktami.

5 Było to państwo z wyznaczonymi granicami, z własną Konstytucją, rządem, Sejmem, wojskiem, a więc nie mniej suwerenne od PRL.

6 Franciszek Ksawery książę Drucki Lubecki (1779-1846) był członkiem Rządu Królestwa Polskiego, ministrem finansów; jemu przypisywana jest inicjatywa połączenia Częstochowy z Częstochówką.

7 Murowano-drewniany, przypominał świątynię św. Mikołaja z Przyrowa.

8 Zgromadzenia Sióstr Życia Maryi, katolickiego zakonu żeńskiego, założonego w Wilnie w XVIII w., którego nie wypada mylić z powstałym w XX w. kościołem mariawickim.

9 Obecna aleja Jana Pawła II.

miejskiej zabudowy. Na miejscu obecnego Urzędu Miasta był, do końca XIX w., wyznaczony plac na składowanie odpadów. Sam rynek św. Jakuba (po wybudowaniu ratusza nazwany placem Magistrackim) nie był brukowany – by pielgrzymi nie grzęźli w błocie, podsypywano go żwirem.

III

Jeśli coś jest dziś i było wczoraj, to znaczy, że było od zawsze. Taki model pamięci cechuje nie tylko częstochowiaków. Racjonalność budowana jest na udokumentowanych „kamieniach milowych”; skoro w 1826 r. połączono miasta, skoro wybudowano ratusz, to od tego czasu jest tu (i będzie) centrum. Też bym tak chciał, cóż jednak poradzę, gdy fakty temu przeczą. Do I wojny światowej rzeczywiste centrum miasta było na placu Daszyńskiego – Nowym Rynku. Tu był najważniejszy dla mieszkańców plac handlowy, tu krzyżowały się trakty komunikacyjne prowadzące w kierunku Warszawy, Krakowa, Kielc (przez Wyczerpy), Tarnowskich Gór (ulicą 1 Maja). Na wschód od rynku było przeludnione, zamieszkałe przez 30 tys. ludzi Stare Miasto, będące – ze względu na charakter mieszkańców – dużym sztetlem. Żydowska i nowobogacka była I Aleja. Wzdłuż Krakowskiej i Ogrodowej budowały się domy czynszowe pracowników zakładów włókienniczych. W obrębie tego centrum był kościół parafialny św. Zygmunta i synagoga; potem przybyła także katedra katolicka, a nowa synagoga przesunęła centrum do ul. Wilsona.

Znów narażę się na gniew lokalnych patriotów, ale przesunięcie starego centrum do obecnego centrum było wynikiem działań rosyjskiej administracji. Częstochowa była miastem garnizonowym, strategicznie istotnym ze względu na bliskość granicy pruskiej. Miasto nad Wartą było zbyt przeludnione, by pomieścić żołnierzy i służące im instytucje. Wojsko zaczęło zajmować i zabudowywać nieruchomości w III Alei, w tym stary klasztor s. mariawitek przy św. Jakubie. W 1875 r. kościół zburzono, a na jego miejscu powstała okazała cerkiew. Konsekwencją tego była budowa budynków parafialnych zajmujących narożnik Alei i ul. Nowowiejskiego. Po powstaniu styczniowym zabrano s. mariawitkom kolejny, nowy, klasztor i na jego miejscu utworzono gimnazjum rządowe, kształtujące przyszłych carskich urzędników. Na przełomie XIX i XX w. ustaliła się lokalizacja koszar; konny pułk Mitawski znalazł się na Stradomiu, piechota i artyleria w koszarach wybudowanych przez Karola Zawadę na północ od strugi (obecnej al. Jana Pawła), straż graniczna – w budynku pod parkami. Konieczność dogodnego połączenia z koszarami Zawady spowodowała, że przed I wojną światową wytyczono i utwardzono drogi: ulice Dąbrowskiego i Kilińskiego; szybko obrosły one murowaną zabudową.

Otoczenie placu Magistrackiego stawało się wielkomiejskie. II Aleja konkurowała z I okazałością kamienic. III była jeszcze taka „wiejskawa”, ale i tu przybywało eleganckich budynków. Miasto, rozwijając się wzdłuż ulic Dąbrowskiego i Kilińskiego, dotarło do strugi. Jeszcze w końcu XIX w. granicę wyznaczała prawosławna kapliczka św. Mikołaja¹⁰, w XX wieku miejskość rozlała się za rzekę.

Czas Polski niepodległej przyspieszył ten proces centrotwórczy. Tak jak za cara decydowały o tym względy wojskowe i administracyjne. Był plac Magistracki miejscem parad wojskowych, dawna cerkiew służyła jako kościół garnizonowy. W budynkach parafii prawosławnej i instytucji wojskowej zlokalizowano wojskowe instytucje polskiej armii. Wybudowano budynek Kurii Biskupiej, a po sąsiedzku Wilkoszewski wystawił Dom Prasy. Instytucje miejskie nie mieściły się w Ratuszu, zajmowano kolejne lokale wzdłuż ulicy Dąbrowskiego. Zwarta zabudowa

10 Usytuowana na skrzyżowaniu ul. Dąbrowskiego z Jasnogórską, w sąsiedztwie teatru, do lat 80. XX w. służyła jako cerkiew wspólnocie częstochowskich prawosławnych

miejska zaczęła się rozlewać po obszarze na południe od ulicy Waszyngtona; prestiżową lokalizacją miała być nowa ul. Śląska. Przebiciem tej ulicy wchodziło w obszar zajmowany przez eleganckie wille podmiejskie i gospodarstwa ogrodnicze.

Wstydliwą było sprawą, ale przez pierwsze dziesięciolecie Niepodległości nasza główna ulica – Aleje – utwardzona była prymitywnie: wysypana wapiennym szutrem. Samochodów przybywało, parad wojskowych też, a pył wapienny brudził nogawki spodni urzędniczych, paskudził eleganckie sukienki pań, bielił oficerki i pantofelki. Wreszcie w 1930 r. z inicjatywy wiceprezydenta Stanisława Nowaka pokryto Aleje asfaltem, a główny plac Magistracki kostką granitową specjalnie sprowadzoną z niemieckiego Dolnego Śląska. Przy okazji wybudowano także podziemny szałet¹¹ w kształcie trumny, więc miejsce stało się europejskie.

IV

Naprawdę życie zbiorowe wszystkich warstw tutejszych ukazuje się w pełni tylko na odkrytym powietrzu, to jest: w alejach ciągnących się przez całe miasto, długości przeszło wiorstę mających. Można tu spotkać osoby z nastrojonymi w domu minami przed lustrem, stosownie do zasobów finansowych i zewnętrznych strojów. Jest to, tak zwany, zbiornik popisów toalet, przede wszystkim z ostatniej mody, które wzajemnie ocierają się o siebie. Defilada ta, niemająca innego deptaku, odbywa się rano od 10 godziny i przeciąga prawie do północy, nieraz wśród duszącego pyłu. Można tu spotkać tożsame osoby o każdej dnia porze; zdaje się jakby one nie miały mieszkania¹² –

pisał autor przewodnika po Częstochowie, opisując obyczajność lat 90. XIX w.

Po I wojnie światowej „Bęc-Bęcwałski” z „kurierka” częstochowskiego rozszyfrowywał podziały w Alejach (pisownia oryginalna):

Aleja 3-cia i park: od samego zmroku na wszystkich ławkach czułe pary, parki i pareczki. Stłumione szepty, czasem wybuchy wesołości, od czasu do czasu wykrzykniki. Zanotuję tylko jeden: – A powiedz pan to komu, to panu tak parasolką! Więc i ja będę dyskretny, no nie powiem. bo... nużbym i ja za to oberwał parasolką? Tylko proponuję zmienić nazwy rynków Starego i Nowego oraz Alej w sposób następujący: Rynki niech się nazywają Starą i Nową „Dolinami Syonu”. 1-a Aleja winna nosić nazwę „Alej Giełdy”, 2-ga „Aleją Wielkiego Świata”, a 3-cia, no oczywiście, tylko „Aleją Miłości”¹³.

Placu naszego w tym opisie brak, stanowił widać jedynie przecinek między Aleją Wielkiego Świata a Aleją Miłości. Nic dziwnego: rynkiem nie był, bo na nim nie handlowano; placem nie był, bo nie otaczał go czworobok kamienic ze sklepami na parterze; nie był placem kościelnym ani placem magistrackim, tylko tak trochę tym i tamtym. Przez środek leciał deptak i jezdnie Alei, nawet numeracja Ratusza była przywiązana do tej *main street*¹⁴. Plac starano się doszlachetnić poprzez okazjonalne parady, ale już pomniki wybierały sobie lepsze

11 W latach 30. wybudowano trzy duże publiczne szalety: na pl. Daszyńskiego, placu Biegańskiego i pod Jasną Górą. Wiedzano, że bez nich miasto nie jest miastem.

12 Feliks Romanowski, *Przewodnik po Częstochowie*, Częstochowa 1893, s. 7.

13 Bęc-Bęcwałski, *Nasze Kino. Podróż po Alejach* (felieton), „Kurier Częstochowski” nr 88 z 21 maja 1921, s. 3.

14 Określenie, jakim – w ślad za Amerykanami – obdarzamy główne ulice naszych miast.

lokalizację. W dodatku, jak to bywa w życiu, co tu polepszano, to od razu wyrównywano spięprzeniem. Jakby anioł chciał centrum wielkomięskie w górę ciągnąć, a diabeł mocno za nogawkę trzymał.

Obok Ratusza straszyl areoszt, zazwyczaj przepełniony mętnym tłumem i jego zapachami. Zanim popadł w ostateczną ruinę, dokonał odważnej autokompromitacji, opisywanej w prasie ogólnopolskiej jako „brawurowa ucieczka Szpicbródki – króla kasiarzy”. Skoro nawet król nie chciał tu siedzieć, wybudowano nad Wartą (Sekwaną) nowy areoszt; a stary – *o temporas, o mores!* – przekazano Caritasowi na schronisko dla bezdomnych. Takowych nie brakowało, więc pawilon przeludnił się błyskawicznie, rażąc elegancki ogół wyglądem i zapachem beneficjentów. Autokompromitacji też nie uniknął. Mieszkający tu podjasnogórscy żebracy nadzwyczajnym zaufaniem darzyli wyznaczonego przez Caritas gospodarza. Tak go cenili, że zamiast trzymać uciulane złotówki, jak Bóg przykazał w sienniku lub bucie, powierzyli stróżowi całą gotówkę. Ten, od nadmiaru, popadł w desperację, zabrał pieniądze i rewolwer, po czym wyjechał do Katowic i ślad po nim zaginął. Żebracy, ludzie dobrzy, bronili długu imienia swego opiekuna, mówiąc: albo się biedak zastrzelił, albo – z pewnością – wróci. Nowa wojna rozwiązała ten problem i zniszczyła ostatecznie pawilon.

Ratuszowi też świństwo od tyłu zrobiono, sadowiąc tam smoka: potężną, zionącą lokomobilę – pierwszą miejską elektrownię. Okna przez to musiano myć codziennie, bo tak ten smok smogiem czadził. Dopiero po przewrocie majowym lud urzędniczy odetchnął: miejsce elektrowni, wyrzuconej na Zawodzie, zajęła poradnia antygruźlicza doktora Rosenfelda.

Pełna zawijasów była też historia przebijania ul. Śląskiej. Pierwszą zaporą była fabryka celulozowa Landaua¹⁵. Gdy ją ominięto, zaczęły przybywać prestiżowe budynki, takie jak bank na rogu z ul. Waszyngtona czy Poczta projektowana przez samego Adolfa Szyszko-Bohusza. Cóż jednak z tego, skoro bruku nie było i przechodnie grzęzli w błocie. A jak już położono klinkierową nawierzchnię aż do Poczty i kościoła ewangelickiego, to ten „salon miejski” stał się miejscem niezbyt zbieżnym z intencjami władz miasta. Co tu kryć: wyroiły się prostytutki i dolinarze, zmieniając ulicę w częstochowski „pigalak”.

Inne były problemy po północnej stronie. Dopiero w 1924 r. ostatecznie zlikwidowano pozostałości po starym przykościelnym cmentarzu. Na głowę księdza Wojciecha Mondrego¹⁶ spadły dwa pilne problemy. Pierwszy był prestiżowy: przebudowa, by pozbyć się charakterystycznych cerkiewnych „cebulek” – kopuł. Wyjątkowo niepatriotycznie było, że takie „cebule” straszą pod Jasną Górą w miejscu, które miało być centralnym placem. Drugi problem to uporządkowanie zieleni; świątynia zatopiona była w gąszczu drzew i krzaków. Gąszcz ten wykorzystywali miejscowi pijaczkowie, a co gorsza – pary bezślubne; innymi słowy w miejscu świętym bywała i Gomora, i Sodoma. W dodatku Sodoma i Gomora z politycznym akcentem, bo żarliwe debaty radnych, zwłaszcza chadeków i socjalistów, przenosiły się w zielen przykościelną, tocząc się z pomocą pięści, okutych butów, kastetów, pałek i noży. W 1930 r. dzięki wiceprezydentowi Nowakowi zielen uporządkowano, a w 1937 r. subwencja premiera Sławoja-Składkowskiego pozwoliła rozpocząć remont świątyni. Zapalczywi politycy przenieśli się do I Alei, by tam bić Żydów.

Otoczenie placu – III Aleja, ul. Dąbrowskiego, Kilińskiego i Śląska – było katolickie. Nie przeszkadzało to funkcjonowaniu w budynku na narożu Dąbrowskiego i Raclawickiej świeckiego żydowskiego gimnazjum. Naprzeciw gimnazjum były urzędy magistrackie, a to gwarantowało spokój. Nie awanturne, lecz lepsze – katolickie i żydowskie towarzystwo

15 Na terenie przed obecnym Urzędem Miejskim, między ul. Waszyngtona a Alejami.

16 ks. Wojciech Mondry (1887-1960) – pierwszy redaktor „Niedzieli” był od 1921 r. rektorem kościoła garnizonowego, a od 1937 r. proboszczem nowej parafii św. Jakuba.

załudniało od frontu tutejsze kamienice. Budowa teatru zaspokajała ponadreligijne aspiracje wielkomiejszczańskie.

Przed wojną plac stał się tak ważny, że Rada Miasta zdecydowała się nadać mu imię – plac Pierackiego. Nie pytajcie tylko historyków, czym ten zastrzelony sanacyjny minister spraw wewnętrznych zasłużył się naszemu miastu. Wielu mamy takich patronów ulic, placów, skwerów, którzy nawet nie wiedzieli, nad jaką rzeką leży Częstochowa.

V

Wojna wzmocniła centralność placu. Naznaczyła tragedią. Pod Ratuszem zabijano ludzi 4 września 1939 r. W sąsiedztwie placu przy ul. Kilińskiego była „katownia” gestapo. Tu spłonął radziecki czołg „wyzwalający” miasto. To ostatnie uwypuklono, stawiając w 1945 r. pierwszy na placu pomnik w postaci czołgu. Wysadził go trotylem druh Zygmunt Łęski, by odrobinkę godności przywrócić zgwałconemu przez „wyzwolicieli” miastu. Niezrażona tym władza odbudowała go, wzmacniając dyktę cementem. Plac z czołgiem stał się miejscem licznych demonstracji: przeciw Niemcom, przeciw „niemieckim slugosom” z AK, NSZ, KWP, przeciw stonco, amerykańskiej zgniliźnie itd. By było wiadomym, o co chodzi, wojenną nazwę Adolf Hitler-Alee i Adolf Hitler-Platz zamieniono na swojski Plac Generalissimusa Stalina. Alei nie nazwano imieniem Budowniczego Światowego Pokoju, by Wódz Socjalizmu nie prowadził ludu na Jasną Górę.

Ślady wojny wyznaczyły nowy krajobraz. Po jednej stronie był czołg z dodanymi niezbyt proporcjonalnymi figurkami czołgisty, robotnika i chłopki. Układ figurowy był dla ogółu czytelny: żołdat wyciągał rękę, robotnik podawał mu flaszkę, kobieta – zakąskę. Prawdzie historycznej zaprzeczał tylko brak zegarka na żołnierskiej ręce... W pobliżu pomnika postawiono tablice z twarzami przodowników pracy oraz – dla równowagi – z piętnowanymi bumelantami i chuliganami. Ku ucieście częstochowian w październiku 1956 r.¹⁷ na tablicy z chuliganami znalazł się sam patron – Józef Stalin. Mobilizacji mas służyły odziedziczone po Niemcach „szczekaczki” – megafony nadające inspirujące komunikaty o wojnie koreańskiej i budowie Nowej Huty.

Po drugiej stronie placu wojna zostawiła inną pamiątkę: schrony przeciwlotnicze. Pokryte trawą, a zimą śniegiem, dla nas – dzieciaków placowych – stanowiły superatrakcję; prawdziwe tło ulubionych zabaw w wojnę. Zresztą, bez obrazy katolików, cały plac kościelny był naszym miejscem zabaw. Próbował nas pogonić kościelny, a ratowała tolerancja „dobrej duszy”, proboszcza ks. Ojrzyńskiego¹⁸. Wszyscy, dziatwa wierząca i niewierząca, uwielbialiśmy go za to, co nie przeszkadzało w obrzucaniu go czasem śnieżkami, gdy znalazł się niefortunnie na linii naszych walk. Parafia św. Jakuba nieuchronnie, wraz z rozwojem miasta, stawała się „imperium, nad którym słońce nie zachodzi”, zagarniając centrum, Tysiąclecie, a nawet Północ. Dobry ksiądz Ojrzyński pewnie osobiście ochrzcił jedną czwartą powojennych częstochowianków, a każdy z nich – jak sądzę – wspomina go równie ciepło.

Wojna pozbawiła nasz plac konkurencji, ludobójstwo częstochowskich Żydów zdegradowało I Aleję i zniszczyło Stare Miasto. Rozbudowywane centrum administracyjne moszczono w sąsiedztwie placu. Na ul. Śląskiej ulokowano Komitet Miejski PPR oraz siedzibę MUBP¹⁹,

17 Na placu wtedy miała miejsce manifestacja studentów i młodych robotników domagająca się destalinizacji.

18 ks. Tadeusz Ojrzyński (1913-1997) był proboszczem od 1957 r. Dzięki niemu kościół został odrestaurowany wg projektu S. Pospieszalskiego; wybudował także budynek parafialny przy ul. Kilińskiego.

19 Miejski Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.

a do – opróżnionych przez Niemców²⁰ – apartamentów wprowadzono nowe elity władzy. Najważniejszą zmianę narzuciła realizacja przez DBOR²¹ osiedla mieszkaniowego Śródmieście: bloków między III Aleją a Waszyngtona, a następnie od ul. Waszyngtona na południe, by połączyć ten „nowy świat” z podobnym osiedlem Sobieskiego. Dawna dzielnica ogrodniczo-willowa stała się modernistycznym blokowiskiem. Z uznaniem jednak trzeba podkreślić fachowość projektantów: było to blokowisko zatopione w zieleni, z czytelnym układem komunikacyjnym, z właściwym zapleczem usługowym. Walorem, niedocenianym, było rozcięcie gęstej śródmiejskiej zabudowy szerokim pasem zieleni: od zadrzewionego placu kościelnego św. Jakuba, przez obecny skwer Solidarności, po skwer przy Sobieskiego (ten z obecnym betonowym pomnikiem). Także zabudowa po wschodniej stronie skweru Solidarności: budynek dyrekcji Zrzeszenia Rud Żelaza (dziś Urząd Miejski), bloki przy ul. Tuwima i Kopernika starannie otoczono zielenią.

Budowa osiedla Śródmieście nadała centralnemu placowi południową fasadę. Jej socrealistyczna ozdobność wyrażała się niskim tarasem, deptakiem przed witrynami sklepów. Aż się prosiło, by na nim ulokować osłonięte parasolkami kawiarenki...²² Władza miała jednak inny pogląd na sprawy handlu, gastronomi i życia prywatnego. Plac miał przede wszystkim służyć defiladom i manifestacjom, a do tego zbędne są kawiarenki.

VI

Uformował się za czasów Gomułki i Gierka podstawowy rys naszego „pępka świata”. Z Ratusza wyprowadzono w 1968 r. prezydenta Kowalskiego²³ i magistrat, w jego miejsce wprowadzając Włodzimierza Błaszczyka i jego muzeum. Na pocieszenie panią Kowalską nazwano roznegliżowaną niewiastę, opalającą się przy fontannie naprzeciw nowej siedziby magistrackiej. W tym samym czasie zapewniono nam kilka dni frajdy, rozbierając pomnik-czołg na placu: można było się w tym dyktowo-cementowym wraku bawić w „czterech pancernych”. W miejsce ponurego czołgu wykwitł potężny słup, taki fallus z betonu z ustawionym na samej górze żołdatem z pepeszą; lud go pieszczotliwie ochrzcił „Wańką”²⁴. Przy okazji zlikwidowano tabliczki propagandowe i wyłożono otoczenie poślizgowymi płytami. Ku naszej rozpaczycy zlikwidowano także schrony na placu kościelnym; zabrany św. Jakubowi teren w części także pokryto poślizgową nawierzchnią. Całość placu oświetlono wysokimi lampami z talerzami reflektorów, idealnymi dla boisk piłkarskich.

Prestiżowym stało się otoczenie placu. Przy tarasie-deptaku z tyłu Ratusza umieszczono Pewex – sklep, gdzie z pomocą dolarów lub bonów dolarowych można było przenieść się do kapitalistycznej uludy luksusu. W zbudowanym na południowo-zachodniej pierzei bloku

20 Okupanci niemieccy w 1942 r. wysiedlili polskich mieszkańców kwartału między ul. Sobieskiego i Alejami, między ul. Śląską a ul. Pułaskiego, tworząc tam „dzielnicę niemiecką”.

21 Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych powołana w 1948 r. do realizacji osiedli na Rakowie i w Śródmieściu.

22 Przeniesiono tu zegar z ul. Kilińskiego. Pierwotnie reklamował on warsztat na ul. Kilińskiego w sąsiedztwie knajpy dla dorożkarzy; mimo to stał się punktem spotkań par. Po wojnie przeniesiony zegar na ul. Szymanowskiego pełnił identyczną rolę: chłopak umawiał się z dziewczyną „pod zegarem”, nie musząc tłumaczyć, gdzie to jest i po co się umawia.

23 Przewodniczącym Prezydium MRN (stanowisko odpowiadające obecnemu prezydentowi miasta) był do 1968 r. Tadeusz Kowalski, usunięto go za „złe wychowanie syna”, uczestnika marcowych manifestacji w Warszawie.

24 Autorem pomnika był Marian Konieczny, który podobnymi twórcami obdarował pół Polski, m.in. Warszawska Nike, Pomnik Czynu Rewolucyjnego w Rzeszowie, pomnik Lenina na Nowej Hucie, Pstrowskiego w Zabrze, Jana Pawła II w Licheniu i in.



Plac Biegańskiego w latach 70., foto Częstochowa Online

był najlepiej zaopatrzony sklep spożywczy w mieście: słynna „Setka”. Na Śląskiej sklep z zabawkami (moja pierwsza miłość) i wyjątkowy sklep z instrumentami muzycznymi. Na ul. Kilińskiego – „światowej klasy” kwiaciarnia „Kwiat paproci”, a po drodze do teatru także cukiernia „Wawelu” i salon obuwia. Handlowym salonem miasta stała się II Aleja, zwłaszcza gdy na skrzyżowaniu z ul. Wolności przybyły brzydkie, ale pełne deficytowego towaru Domy Towarowe. Było więc Centrum, może uboższe niż warszawskie, ale takie, na jakie nas było stać.

Ważne, przynajmniej dla nas, było, że tej centralizacji nie zaszkodził plan małżeństwa Kotelów obracający układ urbanistyczny z równoleżnikowego w południkowy. Trasę rozwojową poprowadzono z Al. Pokoju wzdłuż linii tramwajowej, przez „światła”, na Tysiąclecie i Północ. Plac, któremu po 1956 r. nadano miano Biegańskiego, pozostał trochę na uboczu. W dodatku z socjalistycznym modernizmem kłóciły się trasy pielgrzymkowe, które – prowadząc z południa, wschodu i północy – na naszym placu wyznaczyły sobie miejsce zbiórki. W latach 60. po przegranej przez stronę świecką walce o Millenium ukształtował się pragmatyczny kompromis. Świecko-oficjalny pochód 1-majowy kończył się na placu; w nocy szybko rozbierano trybuny i dekoracje, by bez przeszkód 3 maja mogła wędrować pielgrzymka „maryjna”. Także godziny placowych manifestacji, obrzędów świeckich i defilad ustalano tak, by nie nakładały się na msze w św. Jakubie. Mała stabilizacja toczyła się pod hasłem „żyj i pozwól żyć innym”. W latach 70. władza już całkiem odpuściła: pochód 1-majowy kierowano na Tysiąclecie, potem defilady przeniesiono na plac Pamięci Narodowej; a nasz plac – zwłaszcza w czasie wizyt Papieża – był przedłużeniem błoni Jasnogórskich.

Małą stabilizację zastąpił progresywny rozwój. Miasta przestawały służyć ludziom, stawały się dodatkiem do samochodów. Ulice już nie łączyły, ale przecinały połączenia jak rzeki, oddzielając mieszkalne góry kamienia. Pierwszą ofiarą motoryzacji padł Nowy Rynek. Przebiegała przez niego zbudowana przed wojną klinkierowa „autostrada” Warszawa-Będzin. Zwiększenie ruchu w latach 60-70. zmieniło dawny rynek w wielkie rondo obsługujące ruch tranzytowy. Krzyżówką uliczną, a nie przestrzenią publiczną stały się „światła²⁵”. Samochody

25 Na skrzyżowaniu Alei z al. Wolności i al. Kościuszki była pierwsza w Częstochowie sygnalizacja świetlna; stąd tradycyjne określenie „światła”, wyrugowane ćwierć wieku temu słowem „kwadraty”.

zdominowały także plac Biegańskiego. Do lat 90. XX w. Aleje były główną drogą tranzytową przez Śródmieście: osobówki i ciężarówki, jadąc na Opole i Wieluń, musiały się tędy przedzierać²⁶. W połowie lat 70. przebito blokadę²⁷, tworząc ruchliwą arterię ul. Nowowiejskiego, odcinającą „Setkę” od Pewexu. Jezdnie poszerzono kosztem chodników; ruch rozpołowił plac, dzieląc go na część kościelną i ratuszową. Waler miejsca wykorzystano, tworząc tu najważniejsze centrum przesiadkowe komunikacji miejskiej. Wszelkie autobusy obsługujące dzielnice Częstochowy spotykały się na placu; ten system był dogodny i zrozumiały nawet dla pijanego analfabety.

Dogodność nie zmieniała faktu podstawowego. Ulegając inwazji ruchu samochodowego, plac jako plac przestał istnieć. Stał się pogrubioną częścią kiszki – arterii komunikacyjnej.

VII

W płomykach małej stabilizacji kształtował się także charakter mojej ulicy Dąbrowskiego. Zaczynała się od zagłębia gastronomicznego. „Astoria” uchodziła za lepszą restaurację, bo podawano tu świeżego tatara, a od 1974 r. coca-colę do wódki (tzw. fikofek). Biesiadowali tu urzędnicy na delegacji i – z powodu sąsiedztwa – milicjanci z „jedyńki”. W sferze ducha, w eMPiK-u, prócz księgarni, sal odczytowych, dużej czytelnicy, była kawiarenka oferująca najtańszą kawę w mieście, świeże ciasteczka i gazety przyzwoicie oprawione w deseczki. Te ostatnie, albo też te pierwsze i drugie, przyciągały emerytowanych inteligentów, dyskutujących nad szpaltami „Życia Częstochowy”, „Przekroju” i „Polityki”. Taniość czyniła tu także w okresie ślót i mrozów oazę dla młodzieży, ze szklanek po herbatce żłopiącej wino marki „wino”. W końcu lat 70. „winiarzy” uzupełnili „ćpuni”, wstrzykujący sobie „makiwarę” na mojej klatce schodowej. Dalej idąc Dąbrowskiego był legendarny „Małpi Gaj”. Przed wojną była to szlachetna kawiarnia pana Gospodarka; jej nacjonalizacja w latach powojennych doprowadziła właściciela do zawału. Uspołeczniona kawiarnia „Teatralna” oferowała krem po sułtańsku, wuzetki, kawę po turecku, wina bułgarskie i szampan „Igristoje”. To wystarczało, by przyciągać różną klientelę, w tym np. mojego kolegę, raczącego, po kremie sułtańskim, wyjść oknem. Cóż się dziwić, okna były takie duże... Klienci „Astorii”, „eMPiK-u” i „Małpiego Gaju” nie przepadali za sobą, więc czasami dochodziło do pięściarskich pojedynków na moim podwórku.

Tu jednak muszę dodać wtręt socjologiczny. Przemoc była częścią naszej normalności; bito w domu i w szkole; nikt nie uważał za coś złego, że chłopcy czasem sobie po buzi dają, byle nie nożem czy kastetem. Zazwyczaj w mieście były się „parafie”, ktoś ze Stadomia nie miał prawa pokazać się na Sobieskiego, dla „alejarzy” niebezpiecznym było zapuścić się na Zawodzie. Plac z jakiś względów traktowano jako teren neutralny. Tu dopuszczalne były tylko „solówki”: walka na pięści jeden na jednego. Moje podwórko było dobrą, bo dyskretną, areną, więc naoglądałem się miejscowych Mohamedów Ali i Kulejów. Milicja z „jedyńki” na ogół nie interweniowała; starała się żyć w przyjaźni z ludem; dowodem była „melina” z wódką *vis a vis* komisariatu. Obsługiwała głównie mundurowych, ale dzieliła się też – w miarę potrzeb – z cywilami. Pacyfizm milicji miał swoje granice, wyznaczone naciskami przełożonych. Od czasu do czasu, przy pomocy pałek, edukowano młode pokolenie; bliskie spotkania III stopnia „na jedynce” malowały nasz świat na żółto i niebiesko. Gorszi od milicjantów byli

26 Budowana od lat 30. autostrada, obecnie al. Jana Pawła II, do końca lat 80. kończyła się przy linii tramwajowej. Dopiero po 1995 r. trasa ta przejęła tranzyt od DK-1 na Opole i Wieluń.

27 Pierwotnie ul. Waszyngtona od Śląskiej na zachód miała zwartą zabudowę. Z placu do ul. Nowowiejskiego przechodziło się przez bramę kamienicy; zyskała ona miano „blokady”.

„ormowcy”, których wysyłano na miasto, by śledzili wagarowiczów. Wkurzeni swoją rolą lali każdego, kto im wszedł pod rękę. Nie cierpieli „hipisów”, więc długowłosych strzygli do zera, praktykując polowe fryzjerstwo. Milicja, ORMO, tak jak i reszta przemocy, była normalnością. Chłopak, który choć raz nie oberwał pałką, był w moim środowisku postrzegany – by uniknąć posądzenia o seksizm – jak naiwny panienek.

Ta zaprawa przydała się, gdy plac Biegańskiego po wprowadzeniu stanu wojennego zmienił się w „Gaz-Plac”. O źródło tej nazwy podejrzewam sąsiadkę, panią Irenę – istną *wonder women* lub *hic mulier*. Gdy ZOMO tłukło młodzież szkolną z okazji rozpoczęcia roku szkolnego, pani Irena odpowiedziała bombardowaniem z piątego piętra doniczkami z paprotkami. W odwecie ZOMO-le zagazowali nam klatkę schodową, fundując tydzień łez.

Wróćmy jednak do ul. Dąbrowskiego. Po wybudowaniu sądów ulica obrosła kancelariami adwokackimi, nazywanymi w PRL – zespołami. Wyjątkiem od tego prawniczo-urzędowego wizerunku był budynek szkoły siostr nazaretanek z ogromnym ogrodem na zapleczu. Była także na ul. Dąbrowskiego Szkoła Podstawowa nr 2; gdy jej budynek, wzniesiony za cara, zaczął się rozlatywać – uczniów przeniesiono do szkoły tysiąclatki na al. Jana Pawła II. W dawnej „dwójce” jest dziś wydział plastyczny naszego lekarsko-humanistycznego Uniwersytetu. Klinkier zerwano w latach 70., tworząc połączoną z ul. Nowowiejskiego trasę „szybkiego” ruchu. Nobliwy charakter prawniczo-urzędniczo-mieszkańskiej uliczki zginął pod kołami samochodów.

Finiał

ZOMO przegrało. Pomnik „Wańki” obalono. Z Alei wycofano ruch tranzytowy, zmieniając *main street* w deptak. Opornie, lecz konsekwentnie doszlachcano plac, by zyskał prestiż odpowiadający „pępkowi” naszego świata.

To działo się stopniowo. Trudno było od siebie samych, od nas – mieszkańców Częstochowy – uzyskać odpowiedź: czego my właściwie chcemy. Chcemy mieć jakieś centrum czy wystarczą nam „galeryjne” namiastki miejskości? Chcemy naśladować Kraków, tworząc sobie rynek z gołębiami i sukiennicami? Czy bliższy jest nam Nowy Świat warszawski? Plac zbudowano w 2012 r., rugując przejazd środkiem, betonując jednolitą płytą. Poraziła ona oczy ogromem pustki, demaskującej brak pomysłu, a może nawet brak potrzeby pomysłu na to miejsce.

Jest „Biegan” pępkiem i pępkiem nie jest. Jest pustką sztucznie ożywianą, płucami podłączonymi do respiratora... Świadectwem przegranej Częstochowy w pościgu za wielkomiejskością. Może tak, a może nie...

Trudno pewne rzeczy wytłumaczyć ludziom z zewnątrz. Na Rakowie, na Tysiącleciu, Zawodziu, Lisińcu częstochowiak mówił odruchowo, że idzie (jedzie) do miasta, bo wie, że w mieście nie mieszka. Dla mnie równie oczywiste było wychodzenie na miasto, tak jak na podwórko, na ulicę itd. Moja Częstochowa to Aleje i przyległości, obszar między pl. Daszyńskiego a Jasną Górą. To moje miasto ma kształt człowieka: głowę ma tam, gdzie Jasna Góra, ręce – podniesione – stanowią: ul. Pułaskiego z wygięciem ul. 7 Kamienic i ul. ks. Popiełuszki z ul. 3 Maja; Parki to zielony szalik. Nogami ten stwór opiera się na pl. Daszyńskiego o kościół św. Zygmunta. Nienazywalną część ciała tworzą „światła”, skrzyżowanie odprowadzające ścieki na północ al. Kościuszki lub na południe al. Wolności. Więc gdzie jest pępek? To oczywiste.

W czepku urodzonym, w pępku wychowanym... Czego jeszcze chcesz od życia?

PS. Autorzy podają bibliografię, informując, skąd są tacy mądrzy. W swej skromności ograniczę się do wskazania: kto chce poznać Częstochowę, niech studiuje myśli Kapsy, niech je zawsze w sercu ma.



Wojciech Kossak, „Jesień”, technika własna

Artur Gielezy

KULTURALNIE W ŻARKACH-LETNISKU



Foto Artur Gielezy

9 września 2022 r. o godzinie 16:00 w Bibliotece w Żarkach-Letnisku odbyło się „Jesienne spotkanie z poezją, muzyką i malarstwem”. Uroczystość rozpoczęła się od poczęstunku. Wśród wielu przybyłych byli goście z różnych miejscowości, m.in. z Częstochowy, Myszkowa, Poraja, Sosnowca, a także z Czeladzi. Oficjalnie spotkanie rozpoczęła Pani Dyrektor Anna Wągrowaska-Kumor, która przywitała przybyłych gości oraz podziękowała za jego zorganizowanie Pani Krystynie Bodnar-Miler, która także przywitała zebranych i przedstawiła im swój utwór. W bibliotece zostały wyeksponowane obrazy Pań Doroty Smyrak i Marii Drzewieckiej oraz rysunki satyryczne Pana Wiesława Lipeckiego, które wzbudziły żywe zainteresowanie. Mogliśmy także posłuchać wierszy gości spotkania, jak również wysłuchać bajki, napisanej przez jednego z jego uczestników. Natomiast w świat muzyki zabrała nas Pani Aleksandra Kowalska, która jest także poetką i malarką. Na zakończenie Pani Krystyna podziękowała wszystkim za przybycie. Było to bardzo ciekawe i inspirujące spotkanie w bardzo miłym i twórczym gronie.



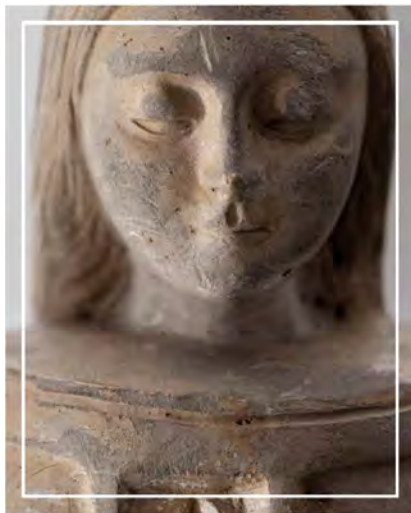
Barbara Strzelbicka

SZTUKA I RZEMIOSŁO

Czas realizacji projektu badawczo-wystawieni-
 niczego „CZYN-iąc piękno. Działalność czę-
 stochowskiej Fabryki Wyrobów Ceramicznych
 «Czyn», działającej w latach 1945-1953 przy ul. św.
 Rocha 38 w Częstochowie, oficjalnie zakończył 16
 września finisaż. Projekt realizowało Muzeum Czę-
 stochowskie, a składały się nań działania rozcią-
 gnięte na wiele lat, mające na celu zbadanie historii
 fabryki, udokumentowanie jej, zebranie i ocalenie
 pamiątek, w tym zwłaszcza wytworów „Czynu”
 oraz udostępnienie wiedzy i zbiorów społeczeństwu.
 Służyły temu działania, których zwieńczeniem była
 wystawa trwająca od 24 kwietnia do 18 września b.r.
 w Galerii Dobrej Sztuki oraz towarzyszący jej katalo-
 g, dokumentujący historię i zachowane pamiątki,
 a wszystko niezwykle rzetelnie zbadane i opisane.
 W czasie trwania wystawy odbył się cykl spotkań
 i wykładów pod wspólnym tytułem „Przeciw bana-
 łowi i tandecie. Zapomniane dziedzictwo fabryki
 «Czyn», oraz zajęcia edukacyjne i warsztaty dla
 dzieci. W realizację projektu zaangażowanych było
 wiele osób i środowisk – od Agaty Ostaszewskiej,
 córki założycieli „Czynu” począwszy, poprzez zakon ss. zmartwychwstank, Gminę Miasto
 Częstochowa – aż po Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które wsparło projekt
 środkami finansowymi.

Fabryka powstała – jak głosi tytuł cyklu wykładów – by sprzeciwić się banałowi i tandecie
 dewocjonalistów, oferowanych w Częstochowie. Pracowali w niej artyści, tworzący autorskie
 projekty, których życiorysy zawiera katalog. Obecna na finisażu Agata Ostaszewska wspo-
 mniała, że wobec niewystarczających środków finansowych w pierwszej kolejności płaciło się
 robotnikom, artystom zaś na końcu – o ile w ogóle.

Pomysł założenia fabryki wyszedł od siostr zmartwychwstank, które w czasie wojny pro-
 wadziły w konspiracji pracownię artystyczno-pedagogiczną dla dzieci i młodzieży. Istotną
 rolę odegrała s. Jozafata (Zoe) Bogolubow, założycielka Eksperymentalnego Ośrodka Peda-
 gogicznego Sióstr Zmartwychwstank, wokół którego skupiło się wielu ludzi sztuki, w tym
 także tych, którzy musieli uciekać po powstaniu warszawskim. Była też do wydzierżawienia
 dawna Częstochowska Wytwórnia Wyrobów Porcelanowych przy ul. św. Rocha 38, oficjalnie
 zamknięta 6 maja 1939 r, w pełni wyposażona, z piecem do wypalania porcelany. Propozycja
 poprowadzenia fabryki przedłożona została nauczycielce historii sztuki Kazimierze Ostaszew-
 skiej i jej mężowi Stanisławowi, ludziom o pięknych i bogatych kartach patriotycznych. Funkcję
 kierownika artystycznego powierzono Wandzie Szrajberównie, gruntownie wykształconej
 w Polsce i we Francji malarce, ceramiczce i pedagogowi, późniejszej członkini Zgromadzenia



CZYN-IĄC PIĘKNO
 DZIAŁALNOŚĆ
 CZĘSTOCHOWSKIEJ FABRYKI
 WYROBÓW CERAMICZNYCH
 „CZYN”

Sióstr Służek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanej. Do zespołu należeli też: zmartwychwstanka s. Aniela, czyli Halina Jadwiga Józefowicz, zajmująca się rysunkiem, grafiką, rzeźbą i malarstwem monumentalnym; Zofia Trzecińska-Kamińska, rzeźbiarka i medalierka; Zofia Baudouin de Courtenay, malarka specjalizująca się w formach monumentalnych i witrażystka; Donata i Stanisław Pospieszalscy, malarka i architekt, konserwator dzieł sztuki; Janina Oryńska, malarka i rysownicza; Irena Lachowicz, zajmująca się malowaniem i patynowaniem figurek – i inni. Nazwa „Czyn” pochodzi z wypowiedzi s. Zoe Bogolubow, osoby ceniącej działanie i niezwykle energicznej.

Fabryka nie przetrwała okresu tzw. realnego socjalizmu – władze nie były zainteresowane sztuką dewocyjną. Na szczęście zachowało się wiele dokumentów i fotografii, a także wiele wyrobów niezwykle wytwórni. Jak piękne to były wyroby, można obejrzeć na fotografiach w katalogu, zawierającego rzetelnie opisane dzieje „Czynu”, które są gotowym scenariuszem na film.

Finisaż kończył wystawę, której kuratorką była dr Katarzyna Sucharkiewicz, ale nie zamknął tematu tego niezwykłego przedsięwzięcia. Gościem honorowym spotkania była Agata Ostaszewska, która podzieliła się wspomnieniami i refleksjami. List od Wiceministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Szymona Giżyńskiego, częstochowianina, odczytała i przekazała na ręce dyrektora Muzeum Częstochowskiego Katarzyny Ozimek Urszula Giżyńska, redaktor naczelna „Gazety Częstochowskiej”. Nadawcą drugiego listu była przełożona Zgromadzenia Sióstr Zmartwychwstank.

Cenną pamiątką zrealizowanego projektu jest obszerny katalog, zawierający niezwykle cenny materiał dotyczący Fabryki Wyrobów Ceramicznych „Czyn”. Są tu dokumenty, fotografie, efekty badań oraz opisane zdjęcia eksponatów, ułożone w trzy grupy, tak jak widnieje to w „Cenniku wyrobów gipsowych Fabryki Wyrobów Ceramicznych «Czyn»”: Nowe modele, Sztuka ludowa, Stare modele. Katalog można – a na pewno warto – pobrać: https://www.muzeumczestochowa.pl/wp-content/uploads/2022/07/katalog_wystawy_czyn-iac_piekno.pdf

Paniom Dyrektorko Katarzynie Ozimek, Kuratorce Katarzynie Sucharkiewicz i Muzeum Częstochowskiemu serdecznie gratulujemy tego cennego przedsięwzięcia!



Pracownia malowania i odlewania wyrobów w fabryce „Czyn”, przełom l. 40. i 50. XX w.

Barbara Strzelbicka

MAŁE JEST PIĘKNE

Międzynarodowe Biennale Miniatury Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater” organizuje od 2000 roku – w tym roku miała miejsce jego 12. edycja. Pomimo różnych wydarzeń, niosących ze sobą istotne zmiany, Biennale ma się dobrze – o czym świadczy zarówno bogata wystawa, uroczystość jej otwarcia, jak i katalog, zawierający istotne informacje oraz reprodukcje prac.

Konkurs adresowany jest do artystów profesjonalnych oraz do studentów uczelni legitymujących się licencjatem. Prace w jednej z czterech technik: malarstwo, grafika, rysunek i fotografia monochromatyczna nie mogą przekraczać formatu 10 x 10 cm.

W tym roku nadeszły 384 miniatury od 141 autorów z 6 krajów. Jury w składzie:

- dr Michał Rybiński – dziekan Wydziału Sztuk Pięknych Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi – przewodniczący,
- dr hab. Olga Pałka-Ślaska – Wydział Artystyczny Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach,
- Justyna Warwas – Wydział Sztuki Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie – komisarz wystawy

do wystawy zakwalifikowało 192 prace 116 autorów oraz przyznało następujące nagrody:

- I – Arkadiusz Polewka (Szczecin) za zestaw dwóch prac „Zaćmienie”,
- II – Majka Dokudowicz (Warszawa) za zestaw trzech prac „Fragment self”,
- III – Dominika Stręciwilk (Żdanówek) za zestaw dwóch prac „Archiwum”.

Wyróżnienia honorowe otrzymali: Marzena Huculak (Olsztyn), Aleksander Olszewski (Radom), Jerzy Pietruczuk (Oświęcim), Elżbieta Radzikowska (Poznań), Tomasz Rolniak (Haczów).

Wernisaż pokonkursowej wystawy odbył się 24 września, wtedy także zostały wręczone nagrody i wyróżnienia. Protokół jury odczytała komisarz wystawy Justyna Warwas, nagrodzonym gratulowali Prezydent Miasta Częstochowy Krzysztof Matyjaszczyk, a także organizatorzy konkursu: dyrektor OPK „Gaude Mater” Robert Jasiak oraz Robert Sękiewicz, który Biennale zajmuje się od jego pierwszej edycji. Wśród gości wernisażu obecny był Tadeusz Wrona, wieloletni Prezydent Częstochowy.

Prace będzie można oglądać do 17 października w galerii OPK „Gaude Mater” od poniedziałku do piątku w godz. 10 –19. Przypominamy, że wstęp do galerii jest bezpłatny. Potem wystawa ruszy w Polskę i odwiedzi: Galerię Muzeum w Pile, Galerię BWA Tarnów, Galerię Pałacu Kultury Zagłębia, Galerię Centrum NCK w Krakowie, Galerię TEST w Warszawie.

Autorom prac – nie tylko nagrodzonych – gratulujemy, zaś Organizatorom składamy wyrazy uznania za wytrwałość i konsekwencję w działaniach związanych z promowaniem kultury wysokiej.



Barbara Strzelbicka

PARA NIE DO PARY



„Zatajony Świat” Stanisława Majewskiego, foto B. Strzelbicka

Wystawa „Dwie setki – Plucińska&Majewski. Różne drogi, jeden świat” połączyła postaci dwojga twórców, których setna rocznica urodzin przypada w bieżącym roku, bowiem przyszli na świat w 1922 roku (zmarli w odstępie jednego roku). Zaliczani są do tzw. twórców nieprofesjonalnych, jednakże różny był stopień owego braku profesjonalizmu. Artyści różnili się także rodzajami uprawianej sztuki, jednak pomimo tych rozbieżności otwarta 24 września b.r. w Pawilonie Wystawowym Muzeum Częstochowskiego wspólna wystawa zaprezentowała ich prace poniekąd na zasadzie kontrapunktu.

Janina Plucińska-Zembrzuska zdolności plastyczne ujawniła już w dzieciństwie. Rodzice, a szczególnie ojciec, dbali o edukację córki, która uczęszczała do szkoły sióstr nazaretanek, w czasie okupacji na tajne komplety, rysunku uczyła się u jednej z ciotek, a po wojnie u częstochowskich artystów – Władysława Rudlickiego i Stanisława i Wojciecha Barylskich, a na poddaszu rodzinnego domu miała własną pracownię. Na wystawie prezentowana jest mniej znana twórczość malarki, której życie nacechowane było trudami i niejednokrotnie cierpieniem, znajdującym odbicie w artefaktach. Na tę wystawę wybrane zostały rysunki inspirowane podróżami i plenerami malarskimi. Nadmienmy, że Muzeum zakończyło niedawno projekt renowacji prac artystki, która zostawiła po sobie około 800 prac.

Stanisław Majewski edukację zakończył na piątej klasie szkoły podstawowej, rzeźbić zaczął po ukończeniu lat 50, a jego twórczość bliska jest sztuce ludowej. Jego rzeźby i płaskorzeźby – świąty, bo tak je określał – zajmują więcej miejsca na wystawie. Artysta miał upodobanie do monumentalnych ołtarzy, inspirowanych formą ołtarza szafowego, i tych jest na ekspozycji wiele, jeden z nich ze względu na rozmiar pokazany jest w dwóch częściach. Twórca najchętniej przedstawiał naturę, sceny biblijne, apokryficzne i legendarne, dowolnie mieszając treści. Pokazany został także cykl 107 płaskorzeźb, będący własnością Muzeum Częstochowskiego, zatytułowany „Zatajony Świat”, ukazujący swoistą historiozofię autora. Rzeźbiarz tworzył zaledwie 14 lat, ale pracował niezwykle intensywnie, śpiąc po 3-4 godziny na dobę, dlatego też jego spuścizna artystyczna jest obfita.

Wystawa potrwa do 29 stycznia 2023 r., jej kuratorkami są Ewelina Mędrala-Młyńska i Agnieszka Ciuk-Koćwin.

Przy okazji wernisażu przekazana została gościom wiadomość o otrzymaniu głównej Nagrody im. Antoniego Kaliny w kategorii „Wydarzenie o szczególnym znaczeniu dla etnologii, antropologii społeczno-kulturowej”, przyznawanej przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, za dwuletni projekt badawczo-ekspozycyjno-edukacyjny „Koziegłowy – zapomniany ośrodek twórczości rękodzielniczej”. W uzasadnieniu podkreślono wartość naukową zadania, a także jego potencjał edukacyjny, spójność wizerunkową i estetykę wizualną.

Muzeum kierowanym przez Panią Dyrektorkę Katarzynę Ozimek gratulujemy wystaw, projektów i nagrody oraz życzymy dalszych sukcesów!



Wojciech Kołsut, „Tajemnica zielonej kamienicy”, technika własna

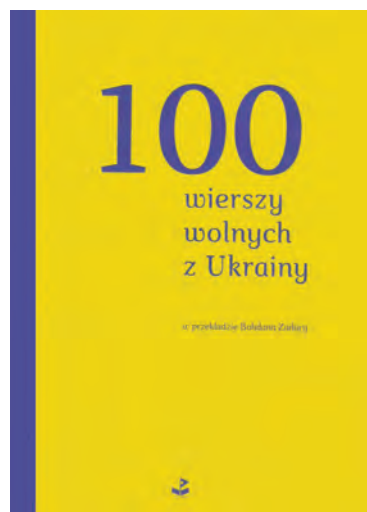
ARKADIUSZ FRANIA, *Witryna i archiwum. Z kart poetyckiej Częstochowy*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2022, wydano w serii Biblioteka Galerii.

Książka stanowi czwarty rozdział kroniki życia poetyckiego współczesnej Częstochowy. Bohaterowie ese-
jów to dziesięcioro poetów w różnych punktach drogi z witryny do archiwum. Galerię postaci otwiera para Tadeusz Gierymski – Waldemar M. Gaiński, poza tym: Barbara Rosiek, Maria Ogłaza, Stefan Żółtowski, Zbigniew Jakubowski, Helena Bobak, Jerzy Kielech, Jerzy Kowalik i Zdzisław Litwiński. Niektóre eseje drukowane były w „Galerii” – w bieżącym numerze na ss. 29-35. [BS]



100 wierszy wolnych z Ukrainy w przekładzie Bohdana Zadury, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022.

Antologia zawiera wiersze 39 poetów urodzonych w XX w. od końca lat 20. do schyłku 80. Jest to kolejna antologia z serii „100 wierszy” tego wydawnictwa i drugi zbiór poezji ukraińskiej przełożonej przez B. Zadurę (poprzedni nosił tytuł *Wiersze zawsze są wolne*). Słowo „wolność”, obecne w tytułach obydwu książek, wybrzmiewa tym mocniej, że druga została wydana już po rosyjskiej agresji na Ukrainę 24 lutego 2022 r. Tom otwiera i zamyka wiersz Serhija Żadana. [BS]



SERHIJ ŻADAN, *Historia kultury początku stulecia i inne wiersze*, z języka ukraińskiego przełożył Bohdan Zadura, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022.

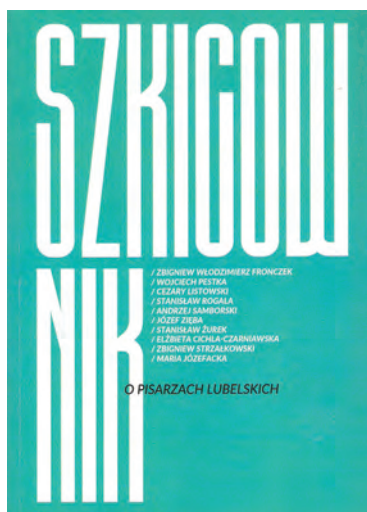
Żadan jest ważną postacią ukraińskiej sceny literackiej, kandydatem typowanym do Literackiej Nagrody Nobla. W Polsce znany jest jako poeta, prozaik, muzyk i aktywista; jest także żołnierzem na froncie wojny obronnej w Ukrainie. Na język polski przetłumaczono jego siedem powieści i cztery tomy poezji. W skład tomu wchodzi następujące części: *Życie znaczą umrzeć*, *Chińska kuchnia*, *Krucjata dziecięca* (utwór wyodrębniony), *Inne wiersze*. [BS]





Historia i los. Szkice o twórczości Władysława Lecha Terleckiego pod red. M. Kisiela, J. Warońskiej-Gęsiarz i E. Wróbel, Instytut Literatury, Kraków 2022.

Książka jest pokłosiem Ogólnopolskiego Seminarium Naukowego *Wokół twórczości Władysława Lecha Terleckiego*. W dwudziestą rocznicę śmierci pisarza, zorganizowanego przez Częstochowski Oddział Towarzystwa Mickiewiczowskiego i Towarzystwo Galeria Literacka 22 listopada 2019 r. w Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej przy dużym zaangażowaniu Tadeusza Luterka. Część materiałów ukazała się w „Galerii” 52, październik-grudzień 2019. [BS]



Szkicownik. O pisarzach lubelskich, red. Z.W. Fronczek, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Lublinie, Lublin 2021.

Starannie wydana książka, w której zostały zaprezentowane sylwetki pisarzy lubelskich: Zbigniew Włodzimirz Fronczek, Wojciech Pestka, Cezary Listowski, Stanisław Rogala, Andrzej Samborski, Józef Zięba, Stanisław Żurek, Elżbieta Cichła-Czarniawska, Zbigniew Strzałkowski, Maria Józefacka. [BS]



ZBIGNIEW BUDEK, Rozproszenie, Częstochowa 2022.

Piąta z kolei książka poetycka autora – po *Repetitorium z historii* (2008), *Seansie za dwadzieścia kilka groszy* (2011), *Słowie jak dotyk* (2015) i *Pod prąd* (2015). Autorką wstępu jest Beata Anna Symoń, książkę zredagował Janusz Strojec. Tom został zadedykowany trojgu wnucząt autora, na okładkach znalazły się ich rysunki. [BS]

Jan Ciesielski

DIALOG O STANIE

- Cześć!
- Cześć!
- Zbieractwem zacząłem się zajmować.
- To zajmujące! Zebrałeś się wreszcie w sobie?...
- Tak, zebrałem się wreszcie do kupy...
- Nie jest to zatem śmierdząca sprawa?
- Na początku jeszcze jej nie czuję. Zbieram doświadczenia.
- Pewnie i oświadczenia, i wywiadami się parasz...
- Też.
- Patrzcie, państwo, taki chłopiek roztropek, a już UOP-ek!
- Wywiady, jakich wiele w prasie, wycinam i kompletuję.
- I komuś kiedyś wytniesz numer?
- Jak będzie trzeba.
- A obcym wywiadem też się zajmujesz?
- Oczywiście! Z prasy zagranicznej – jak jest w naszym języku.
- Faktycznie, dużo czasopism z obcymi wywiadami jest teraz po naszymu...
- A będziesz w stanie racje swoje udowodnić?
- Po co? Wystarczy wstępnie.
- Na kogo masz haki obecnie?
- Patrz: żona Bęc-Walskiego, Gizela, ma 68 cm w stanie, po drugie – nie jest w stanie wolnym, Burczyński nie był w stanie wyjaśnić stanu finansowego, córka Gwizdaja jest w stanie odmiennym od innych, Opokę-Pszennego zatrzymano w stanie wskazującym...
- Masz rację, można tu jeszcze dodać stan zdrowia, życie ponad stan i stan cywilny...
- I Stan Tymiński, Karin Stanek, Stan Borys ...
- Boris Becker, Baker Józefina, Józefin Stalin, Stalińska Dorota i Zdankiewicz Felek!
- A po co to wszystko, skoro zawsze będzie racja Stanów?
- Też masz rację! Ale bo to przewidzisz wszystko?
- Ja nie, ale są ludzie, co mają przywidzenia i ja mogę im pomóc!
- A kryptonim masz nadany?
- Mam! Doświadczony Uzdolniony Prywatny Agent!
- To po rozszyfrowaniu, a utajniony?
- To zrób sobie skrót!



GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI

Copyright © TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA

REDAKCJA:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Bogdan Knop (redaktor naczelny),
Ida Jadwiga Łubińska, Olga Wiewióra, Arkadiusz Frania.

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

Małgorzata Franc, Małgorzata Nowakowska-Karczewska, Alicja Nowak,
Elżbieta Jolanta Gola, Janusz Jano Mielczarek, Marian Panek,
Tomasz „Aztzenty” Barański, Wiesława Owczarek, Jan Ciesielski, Jarosław Kapsa,
Anna Jędryka, Maciej Rudlicki.

LAYOUT: Andrzej Chmielewski

SKŁAD:

J.M. Krasucki, Jarosław Leszczuk (redaktorzy techniczni)

DRUK:



Drukarnia Usługowa „Gryf”
ul. Garibaldiiego 14 a
42-200 Częstochowa
www.gryf.czyst.pl

PRINTED IN POLAND.

WYDAWCA:



Towarzystwo Galeria Literacka
ul. Metlera 4
42-224 Częstochowa
www.galerialiteracka.pl

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168

Nr rachunku: mBank 06 1140 2004 0000 3302 7814 7608

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328



Wojciech Kossut, „Gorgona i Czterej Królowie”; płaskorzeźba z masy papierowej miedziowanej, technika własna



Wojciech Kołsut, „Chawele Panna Młoda”, technika własna